

George Bidwell

# Michał i Pat

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 1

Ksiądz Piotr O'Leary podszedł do rozslonecznionego okna i podniósł napełnioną do połowy szklaneczkę. Bogaty bursztynowy kolor trunku przypominał promienie, które w wiejskim kościółku sączyły się przez witraże, przezjasno-brunatny płaszcz strażnika niebieskich kluczy.

— Pozwól mi na tę słabstkę — usprawiedliwiał się półgłosem ojciec O'Leary przed swoim świętym patronem. — To nie będzie majówka dziś po południu, a iść muszę.

Przechylił głęboko szklaneczkę, wypił z satysfakcją. Jeszcze raz przelknął, smakując ostatnie krople, ostatnie tchnienie woni, wszelkie zalety i wszystkie czar trunku. Mięsiłą dużą dłonią pogładził się po piersiach i po brzuchu — który zaczynał się wyraźnie rysować, za wyraźnie jak na trzydziestoletniego mężczyznę — śledząc drogę błęgiego wewnętrznego ciepła. Dla ojca O'Leary'ego, jak dla większości Irlandczyków z krwi i kości, whisky była nie tylko trunkiem, była duchowym przeżyciem. A uciekał się do niej częściej niż do innych pociech.

Ksiądz podszedł do okna. Za ledwie wczoraj objął w posiadanie kościół i plebanię, położone obok siebie. Za ledwie tego ranka odprawił swoją pierwszą mszę jako proboszcz parafii Kilegad w hrabstwie Meath. Nazwa Kilegad oznaczała „kościół białych” i nawiązywała do białych sutann cystersów, którzy tu niegdyś mieli swój zakon. Wieś leżała mniej więcej w połowie drogi między miasteczkami Trim i Navan, nad

rzeką Boyne wpadającą do Morza Irlandzkiego koło Droghedy. Na wschód, za rzeką, widniał spłaszczony szczyt Tary, przedwiecznej siedziby irlandzkich królów. Budynki kościelne, które miały obsługiwać prawie tysiąc parafian w różnym wieku, były w opłakanym stanie, jak się przekonał ojciec O'Leary: drzwi i ramy okien prosiły się o farbę, dziury w dachu załatano tymczasowo słomą, niegdyś okalające cmentarz ogrodzenie reprezentowały teraz tylko z rzadka sterzące słupy, nagrobki były przewracane, groby zdeptane przez nieuważnych ludzi i żarłoczne wieprzki. Całość mieściła się na końcu wiejskiej drogi, przed zakrętem.

Ale to nie parafian z Kilegad należało winić za żałosny stan ich kościoła. Wtłoczeni między młyńskie kamienie chciwego dziedzica i obecnego rządu, z trudem zmagali się z nędzą. Ojcu O'Leary'emu nikt nie potrzebował mówić — gdyż położenie wieśniaków niewiele się różniło w poszczególnych hrabstwach Irlandii — że jego parafian przeważnie nie można było nazwać samowystarczalnymi gospodarzami. Egzystowali poniżej najskromniejszych europejskich wymogów. Uprawiali tak mało roli, że na opłacenie wygórowanego czynszu i dziesięciny szły zbiory zbóż w całości i w całości masło, które wytwarzali, i w całości bydło, które zdołali odchowić. Chleb i mięso pojawiały się na ich własnych stołach tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie — chyba że kradli albo zajmowali się kłusownictwem. Żywili się ziemniakami i maślanką. Ile pieniędzy mógł ich proboszcz znaleźć na tacy po niedzielnej mszy?

Jedna z przyczyn niedoli wieśniaków — i proboszcza także — widniała na drugim końcu wiejskiej ulicy, jeśli można było nazwać ulicą ten trakt, gdzie się po kostki grzęzło w błocie albo dla odmiany w pyłe unoszącym się tumanami. Ojciec O'Leary mógł dostrzec nawet z daleka, że ten drugi kościół był świetnie utrzymany — tynki w idealnym stanie, sztachety niedawno naprawione, brama świeżo pomalowana. Ku większej chwale boskiej? Raczej ku hańbie zaborców Irlandii. Kościół protestancki w Irlandii służył ledwie jednej dwudziestej mieszkańców, a z tych jeszcze mniejszej propor-

cyjonalnie liczbie wieśniaków. Ale ten właśnie kościół metodycznie i bezwzględnie, nie uznając żadnych wymówek, eksmitując opieszłych płatników z ich domostw i gospodarstw bez troski o to, czy mają się dokąd udać czy nie, ściągali dziesięcinę od każdego wieśniaka niezależnie od jego wyznania. Oprócz dziesięciny pobierano datki na utrzymanie lokalnych protestanckich budynków sakralnych. A na dokładkę jeszcze komisja z asesorem protestanckim na czele decydowała, ile kto ma zapłacić. Tak świątynie władzy zaborczej służyły najzamożniejszym — Anglikom i tym spośród Irlandczyków, którzy interes własny przedkładali nad przekonania religijne i tradycję narodową.

— Nonsens! — burknął ksiądz do wtóru własnym rozmyślaniom. — Do wielkiej własności ziemskiej, znajdującej się w obcych rękach, docześcić obcą religię. Zrobiono z katolicyzmu patriotyczną cnotę!

Dostatek i wygodę dla protestanckiego pastora. A dla tych, których kosztem on porastał w pierze? Ojciec O'Leary ogarnął wzrokiem ulicę nad swoim oknem: sklep, karczma, chaty parobków zatrudnionych w majątku Boyne House. Nieco w tyle, każda na własnym najwyżej jedno- lub dwuhektarowym gruncie, stały gospodarki o budynkach drewnianych, krytych strzechą z gnojowiskiem zwykle tak blisko drzwi, iż domowe naczynia można było wypróżniać, nie opuszczając podcieni. Jeszcze dalej od ulicy, z wąskimi dojazdami wśród opłotków, wznosiły się z rzadka budynki z kamienia, o dachach łupkowych, dumnie spoglądające na własne trzy lub cztery hektary: to fermy i domostwa tak zwanych zamożnych wieśniaków, którzy w pewnych okresach mogli sobie pozwolić na luksus wypiekania własnego chleba co drugi tydzień, a nawet kosztowania mięsa raz lub dwa w miesiącu.

Ksiądz westchnął.

— Nie przywykłem do tego.

Mieszkał ostatnio w Corku, podówczas największym po Dublinie miście w Irlandii, znanym pod mianem „buntowniczego Corku”, gdyż w ciągu stuleci wielokrotnie w radzie miejskiej i na barykadach odtrącało autorytet obcej władzy.

Tam uważano księdza O'Leary'ego, jednego z kapelanów w biskupim pałacu, za obiecującego młodego kleryka. Żył wygodnie, jadł smacznie, nie umartwiał nadto swej doczesnej powłoki. Jego znajomość ubóstwa, walki o egzystencję miała charakter raczej teoretyczny i nie dotyczyła nędzy wiejskiej, ale miejskiej. To wygodne życie...

— ...mogło być nadal moim udziałem! — nie mógł się powstrzymać od narzekania. — Gdyby spowiednik nie wyciągnął od niego mojego nazwiska i gdyby nie poleciał z tym zaraz do dziekana... bo sam chciał zająć moje miejsce...

Brat księdza O'Leary'ego musiał wyposażyć dziewczynę, aby jakiś ubogi młodzieniec przymknął oczy i nie widział przedwczesnego pogrubienia kształtów swej młodej małżonki.

— Trzeba się uczyć na własnych błędach — mruknął do siebie ksiądz O'Leary. — Nigdy więcej dziewcząt! Tylko mężatki...

Tu, w Kilegad, życie zapowiadało się zupełnie inaczej. Nic apetycznego nie było widać na stole, nic pociągającego w kształtach starej gospodyni. Co prawda ksiądz O'Leary, potomek długiej linii drobnych ziemian irlandzkich w odległym ubogim hrabstwie Connemara, nigdy właściwie nie pasował do biskupiego pałacu. Przyjmował wygody, dostatki i pochlebstwa tego życia, nie pozwalając im stępić wrodzonego ostrego języka. A chociaż pokusy cielesne zdradziły go, wyгнаły z tej miejskiej cieplarni, postanowił:

— Nie będę czołgać się na kolanach przed jakimś przez klęty protestanckim dziedzicem albo intendentem, szlachcicem czy pastorem, choćbym musiał i najskromniej jadać!

Wyjął spod sutanny duży srebrny zegarek.

— Czas iść. O godzinie trzeciej, mówił zakrystian, O'Donovan z mojej parafii, który odmówił zapłacenia dziesięciny... No, niech mnie moi wierni obejrzą... Gniew ich tam z pewnością sprowadzi...

Było to w pełni tak zwanej Irlandzkiej Wojny o Dziesięciny, rok 1833. Skargi do angielskich sędziów w Irlandii przeciw obliczaniu dziesięcin albo nakazom eksmisji były tak

regularnie i pogardliwie odrzucane, że mawiano, iż „lepiej iść po prawo do samego diabła, który odprawia swe sądy w piekle”. Więc wieśniacy stosowali bardziej bezpośrednią metodę i po prostu odmawiali płacenia, co się niejednokrotnie kończyło eksmisją i zamieszkami.

Ojciec O’Leary z gołą głową, świecąc tonsurą wśród kędzierzawych brunatnych włosów, wyszedł na ulicę. Wieprzki chrząkały i węszyły w rowach. Kundle poszukiwały pcheł, drapały się i czochrały w ciepłym lipcowym słońcu. Tu i ówdzie kobieta w obszernej fałdzystej, połatanej spódnicy, wywieszając ubogą bieliznę na sznurach nad krzewami, odwracała się, by wrzaskliwym głosem skarcić dziecko dokuczające kotnej kozie albo żeby zatknąwszy jedną dziurkę od nosa, wysmarkać się energicznie przez drugą.

Młoda kobieta, postawiwszy na ziemi dwa kubły z wodą, odpoczywała chwilę. Schludnie odziana, chociaż w grubym samodziale, o rudych włosach i ciemnych oczach, aż lśniła świeżą czystością, kontrastującą ze znużoną szarzyzną kobiet.

Potrzeba by jej pożywnego jadła, by się trochę wypełniła — ocenił ojciec O’Leary — ale...

Uśmiechnął się do niej.

— Za ciężkie te wiadra. Daleko masz do domu? Pomogę ci...

Dygnęła nisko.

— Ojciec bardzo uprzejmy. Ale duchowny...

— Jest mężczyzną — przerwał jej stanowczo, a zerknięcie na jej bujne piersi potwierdziło prawdę jego słów. — I nie może spokojnie patrzeć, jak kobieta, zwłaszcza taka ładna, dźwiga ciężary!

Zarumieniła się, a ksiądz podniósł wiadra.

— Nasz dawniejszy proboszcz... to był wuj mego męża...

„Ach, więc jest mężatką...” — pomyślał ojciec O’Leary.

— ...jego to by się nigdy nie zobaczyło z wiadrem w ręku — mówiła młoda kobieta.

— Był już starszym człowiekiem — zauważył taktownie ojciec O’Leary. Ale jego rozmówczyni nie dbała o takt.

— Mało kto płakał, gdy umarł — rzekła bez ogródek.

— W takim razie muszę popробować odmiennych sposobów zachęcania parafian do służby Bożej. Może...

Ojciec O'Leary, wprawdzie zbyt tęgi, mógł się jeszcze wydawać urodziwym mężczyzną. Wysoki, o gęstych brwiach, stanowczej wydatnej szczęce, prostym nosie, czerwonych zmysłowych wargach. A spojrzenie jego orzechowych oczu, gdy rozmawiał z ponętą kobietą, słało wezwania, które wyrażone słowami, źle by pasowały do sutanny.

— A co do ciebie, moje dziecko — ciągnął ksiądz. — Moja gospodyni jest już stara i nie nadaje się do... — króciusenka przerwa, zaledwie schwytnie oddechu — niektórych wysiłków. Czy twój mąż pozwoliłby ci od czasu do czasu...? Wyglądasz na silną, a może parę szylingów...?

— Zapytam go, ojczu. Mój mąż nie jest młody. Tutaj mężczyźni nie mają na to, by się młodo żenić. — Jej oczy również mówiły wiele. — Teraz już sobie poradzę. To mój dom. Dziękuję ojcu. — Znowu dygnęła.

Idąc dalej wiejską ulicą ojciec O'Leary pogwizdywał wesołą melodyjkę, próbując dopasować do niej słowa:

„Bywało gorzej! Nigdy więcej dziewcząt!”

Z przeciwnej strony nadjeżdżała podskakując na wybojach dwukółwka: specyficzny irlandzki ekwipaż, którym pasażerowie jadą siedząc plecami do siebie na szerokiej desce między dwoma kołami. Na jednym z tych siedzeń, samotnie, cokolwiek nadwyrężając chwiejną równowagę dwukółki, jechał mężczyzna o arystokratycznym obliczu: pod szerokim płaskim kapeluszem siwiejące włosy — Jakieś czterdzieści pięć latek mniej więcej!” — pod długim szarym płaszczem biała koloratka zdradzająca duchownego. Ojciec O'Leary wyprostował swoją okazałą postać.

„Mój konkurent. Trzeba z nim od początku tak zacząć, jak zamierzam postępować dalej.”

Woznica zgarbił się nad lejcami i zapatrzył daleko za dachy domów.

„Pewno jeden z moich parafian, który się wstydzi swego zającia” — pomyślał ksiądz. „Biedaczysko! Wcale go nie

winię. Nie można wymagać zbyt ścisłej lojalności od głodnych ludzi."

— Dzień dobry! — zabrzmiał tubalny bas, jak z ambony.  
— Mój nowy kolega w przeciwieństwach losu, jak sądzę. Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem wielbny Horacy Ffolliott, wikary z Kilegad, kanonik katedry w Trim, irlandzkiego kościoła państwowego. Hej, ty zakuty łbie, stań!

Ojciec O'Leary spostrzegł, że stopy pastora ledwie sięgają podłogi dwukółki.

Protestant i papista uścisnęli sobie ręce, mierząc się wzrokiem. Jeden myślał:

„Czy będzie mi bardzo przeszkadzał?"

A drugi:

„Najgłupszego w rodzinie przeznaczają na pastora!"

Ale głośno mówili:

— Moim obowiązkiem, przyjemnym obowiązkiem, będzie służyć informacjami o położeniu...

— Moim czy pańskim?

— Takie samo jest dla nas obydwóch.

— Niezupełnie. Chociaż obaj bez wątpienia będziemy pilnowali przestrzegania religijnych obowiązków: wy, Anglicy, uczt, a my, Irlandczycy, postów.

Wielbny Ffolliott zaśmiał się z pewnym przymusem i rzekł:

— Wolne żarty! — dodając prędko: — Właśnie udaję się do gospodarstwa O'Donovana.

— Ja też.

— Pan? Nie mieszałbym się do tego, co mnie nie dotyczy.

— Ale to właśnie mnie dotyczy, chociaż nie skorzystam na tej sprawie. Moi parafianie...

— Gratuluję panu O'Donovana. Stary i uparty. Żonę ma młodszą i rozsądną. Złagodziłoby to kłopoty, gdyby stary jej słuchał.

— Czy można złagodzić kłopoty, gdy nie usunie się przyczyn? — zapytał niewinnie ojciec O'Leary.

— Hm... No cóż,, proszę wsiąść tu, z drugiej strony. Skrećmy zaraz w tamtą boczną drogę.



— Dziękuję, wolę pójść pieszo. Ta droga wydaje się bardzo wyboista.

„Miałbym dyszeć zapachem whisky na tego Ff-ff-ff?”  
Wóznica zrećnie wziął ostry zakręt, a ojciec O’Leary mówił, idąc obok dwukółki:

— Niewesołe wypadki ostatnio się trafiały przy ściąganiu dziesięcin. Przed tygodniem dwunastu wieśniaków zabił to i dwunastu raniono w Bunclody w hrabstwie Wexford, jedenastu policjantów zabito, a siedmiu raniono w Carrickshock w hrabstwie Kilkenny. Były tam duże straty i wśród wieśniaków.

Ffolliott przełknął głośno ślinę, jego blada, niezdrowa cera zabarwiła się wypiekami.

— Tutaj niczego podobnego nie będzie. Pański poprzednik nie udzielał sakramentów nikomu, kto należał do rebelianckich ugrupowań. Ufam, że pan będzie kontynuował tę chwalebłą praktykę.

— Rozumiem — odrzekł O’Leary — że każdego Irlandczyka kusi, by splunąć w dłonie, podnieść czarną flagę i zabrać się do podrzynania gardeł. Niemniej zapewniam pana, że nie pochwalam gwałtów. Z niczyjej strony. Zastanawiam się czasem, czy gdyby nie policja i wojsko — one są wyzwaniem do rebelii — w ogóle dochodziłoby do gwałtów.

— Wówczas nikt nie płaciłby dziesięciny ani czynszów — odparł Ffolliott.

Ksiądz miał w pogotowiu ripostę:

— Rad jestem, że nie potrzebuję zbierać pieniędzy na swoje utrzymanie, choćby skromne, pod groźą wycelowanych strzelb.

— Proszę nie sądzić, że mnie to przypada do gustu — zdenerwował się Ffolliott. — Tylko pech chciał, że się w tej wsi znalazłem. Gdyby mój stryj żył o parę lat dłużej, odziedzyczyłbym po nim biskupstwo.

Ojciec O’Leary uśmiechnął się krzywo i przełknął nie wypowiedziane słowa, które nasunęły mu się na wargi smakiem zółci: „Przynieście mi wory z pieniędzmi, ale baczcie, bo nie życzę sobie oglądać krwi”.

Ffolliott z ulgą podchwycił sposobność odwrócenia uwagi swego rozmówcy:

— O, to pan Winter z synem, tam jadą przez pole!

— Ach tak, intendent tutejszego dziedzica. Czy go lubią w okolicy?

Ksiądz z góry odgadywał zarówno prawdziwą odpowiedź, jak i tę, której mu udzieli pastor.

— Pan Winter jest miejscowym sędzią pokoju i reprezentuje prawo. W swoim środowisku jest bardzo szanowany, uważają go za wybitnego obywatela, prawdziwą ozdobę naszego hrabstwa.

— W swoim środowisku? — powtórzył z uśmiechem ojciec O'Leary. — Ziemianie, stanowiciele praw, tak zwani dominanci? A dzierżawcy, a ciemieni przez obce ustawodawstwo, a upośledzeni, ubodzy...?

— Dowie się pan, że zupa wydawana w kuchni dworskiej podtrzymała już niejednego zgłodniałego — brzmiała świętobliwa odpowiedź.

Ojciec O'Leary nie mógł już dłużej pohamować wzbierającej w nim irytacji na tego pompatycznego kłeryka — z pewnością objedzonego dworskimi pieczeniami.

— Talerz zupy! — wykrzyknął. — Co za hojny filantrop! Ten człowiek nie zna większej miłości jak to, iż ujmie swemu psu zupy i da ją ubogiemu. A ci, co ją dostają? Zagłodzeni czynszami i dziesięcinami? Bogaci są tacy sami na całym świecie: zrobiliby dla ubogiego wszystko prócz tego, by mu zleść z grzbietu. A irlandzcy biedacy są jedynymi prawdziwymi altruistami: sprzedają wszystko, co mają, by dać boga czom!

Wielebnemu Ffolliottowi los zaoszczędził konieczności odpowiedzi na ten świadomie obraźliwy wybuch. Dwukółka razem z pastorem skręciła na murawę, gdzie stał drewniany schludny domek, a za nim większe pomieszczenia gospodarskie. Małe kwadratowe okienka. Wszystko świeżo wybielone, porządne. Bez gnojówki tuż przed wejściem. Na podwórzu dwukołowa bryczuszka pomalowana jaskrawymi farbami. Dwie krowy na murawie. Gospodarka zapisana

w księgach rządcy i w rejestrach asesorskich wymierzających dziesięciny pod nazwą Greenwood Farm, ale przez dzierżawcę i wieśniaków nazywana zazwyczaj Wolfe Tone Farm, od nazwiska jednego z bohaterów i ofiar powstania z 1798 roku.

„Tu nie widać skrajnej nędzy —pomyślał ojciec O’Leary. — Ciężka praca i wyrzeczenia, ale...”

## II

— Siedz cicho, Dan! Mnie też niewesoło w zamknięciu!

Patrycję irytowało uporczywe ujadanie żółtawego kundlatego kundelka. Ale to nie przymusowe zamknięcie razem z dziewczynką w ciemnej komórce za kuchnią tak podniecało psa, lecz obecność obcych przed domem, do których nie mógł się dostać, by zbadać, jakim prawem weszli na ziemię Eoina O’Donovana.

W innej sytuacji Patrycja — lat siedem, ciemnowłosa, ciemnooka, o śniadej cerze — zachęcałaby Dana do szczekania, ale teraz trudno było usłyszeć, co się dzieje przed domem. Dziewczynka musiała co i raz odsuwać oko od dziurki po sęku w grubej desce, akurat na poziomie jej twarzy, a przysuwać ucho.

Przez tego judasza Patrycja — zwana Pat dla zwięzłości — mogła dostrzec spasionego konia, którego dosiadał równie spasiony mężczyzna w bryczesach, lekkiej kurtce do konnej jazdy, w niskim brązowym kapeluszu i wysokich butach.

— To pan Winter — zakomunikowała Pat Danowi, który się na chwilę uspokoił. — Kiedy on się tu zjawia, to mama i tato zawsze drą koty.

Gdyby Dan mógł to zrozumieć, informacja wcale by go nie uspokoiła. Wyczuwając nastroje familijne, Dan przeja-

wiał szczególną skłonność do chwytania za pięciny wierzchowca intendenta.

Obok Wintera dwunastoletni chłopiec dosiadał kucyka i spoglądał z niepokojem to na ojca, to na coraz liczniej gromadzących się ludzi.

— Michał Winter. Nadęty typek! A ten w odwróconym kołnierzyku to ich, nie nasz...

W sztywnej czapce z podwójnym daszkiem z przodu i z tyłu — brodaty sierżant policji. Obok niego, zaledwie w obrębie widzialności dozwolonej okiem judasza—żołnierskie owijacze, buty i karabin. Pat widziała wielu żołnierzy wchodzących na podwórze właśnie w chwili, gdy matka wepchnęła ją i Dana do komórki i zaryglowała drzwi, mówiąc:

— Wy byście się tylko pod nogami pętali.

Dalej jeszcze gromadzili się wieśniacy — tylko część z nich Pat mogła widzieć, chociaż jej horyzont rozszerzał się w miarę oddalenia — trzymani z daleka przez pilnujących porządku żołnierzy. A tuż przy domu, ale trochę na lewo, tak że musiała przycisnąć policzek do szorstkiej deski, by go dostrzec, stał ojciec Pat — wysoki i barczysty, w bryczesach, pończochach, w długiej zielonej sukmanie, z mocnym dębowym kijem w ręku. Pat wiedziała, chociaż już dostrzec tego nie mogła, że tuż za nim stali trzej z jego czterech synów. Najmłodszy był o sześć lat starszy od jedynej siostry, o której sąsiedzi nierzadko mówili — chociaż dziewczynka nie rozumiała czemu — jako o „ostatnim skoku Eoina”. Czwarty syn nie mógł przyjść: pracował jako pomocnik ogrodnika we dworze Boyne.

— A mama na pewno stoi w drzwiach, z rękoma na biodrach — objaśniła Pat Danowi, który słysząc na ze wnątrz podniesione głosy, dołączył znowu swój własny od wewnątrz.

Głowa oślicy imieniem Hepsibah i tylna połowa kozy z kozłatką dopelniały obrazu, który Pat mogła dostrzec.

Właśnie gdy szczekanie Dana ścichło do skomlenia i pies zaczął po raz któryś obwąchiwać wszystkie kąty komórki w poszukiwaniu wyjścia i drapać pod drzwiami — w zasięg

widoczności oka Pat wstąpił przygarbiony, mizernie wyglądający mężczyzna w czarnym ubraniu i cylindrze, typowy mieszczuch. Pat przyłożyła do dziurki ucho jeszcze w porę, by usłyszeć:

— ...zapłacić należność... uniknąć dalszych kłopotów...

— Powiedziałem już i znowu powtarzam — głos taty — że nie będę dłużej płacić dziesięciny, by utrzymać pastora, który niczym dla mnie nie jest, nic dla mnie nie robi ani się od niego nie wymaga, by cokolwiek robił.

— Ależ ja bym chętnie... To wy jesteście mi nieprzyjaźni...

— Ich, nie nasz. — Pat poznała pastora po głosie.

— Nigdy nie zapłacę, nigdy!

— W takim razie muszę ostrzec — skrzeczący głos mizernego czarnego — że żołnierze wysiedlą was wraz z całą rodziną z gospodarki.

— A gdzież my się podziejemy?!

— To już mnie nie obchodzi. Lepiej proszę się zastanowić. Możecie jeszcze zmienić zdanie...

Pat przysunęła do dziurki oko i zobaczyła ojca, jak wskazuje palcem Ffolliotta. Więc prędko znowu ucho:

— I to ma być sługa Boży, który pozwala, by...

— Ustawa o dziesięcinach nie jest moim dziełem, dobry człowieku. Rząd angielski...

— Do diabła z rządem angielskim! To wszystko zależy tylko od waszej woli, dobrej lub złej!

Oko Pat powędrowało z powrotem do dziurki. Tato podniósł oba ramiona w górę, w jednej ręce nadal trzymał dębowy kij.

Intendent siedział ciężko na wierzchołku, obojętny, jakby go to wszystko wcale nie interesowało. Ale teraz sierżant policji zwrócił ku niemu pytające spojrzenie i otrzymał w odpowiedzi kiwnięcie głową. Następnie podszedł do jednego z żołnierzy, sztywnego i wypucowanego, z szablą przy boku.

Głos donośny, wysoki, Pat nie widziała czyj, ale głos znała dobrze — mamy:

— Zaczekajcie. Ja przyniosę pieniądze. Zapłacę. Uparty głupi muł z niego. Ale my nie chcieliśmy nic złego. Jeśli nie będę miała dość, możecie zabrać kozę. Razem wystarczy. Tylko bez koźlęcia. Zaczekajcie! Zaczekajcie!

— Kobieto! Nie ruszaj się! Zabraniam ci... — tato.

Ale w kuchni już się rozległy pośpieszne kroki, szelest, pobrzękiwanie. Na zewnątrz — cisza. Pat przez dziurkę zobaczyła oślicę, jak podchodzi powoli, krok po kroku, do mizernego człowieka. Hepsibah wyciągnęła szyję, wyszczerzyła zęby w kierunku czarnego odzienia. Tato podniósł kij...

Błysk żołnierskiego karabinu... dym... huk, który wstrząsnął nawet komórką za kuchnią... tato na ziemi... mama wybiega, rzuca się na leżącego... na piersi taty czerwona plarfla, coraz szersza, coraz większa...

Wołania, krzyki wieśniaków. Żołnierze z wymierzonymi strzelbami zwracają się w ich stronę, by zapobiec jakemukolwiek ruchowi. Sean — drugi z braci Pat i jej bożyszcze — chwytą kij ojcowski, wznosi go na żołnierza, który wystrzelił. Sierżant policji obejmuje chłopca z tyłu za ramiona.

„Ich — nie nasz” postępuje krok naprzód — w obręb widoczności Pat wpada nowa postać, bez kapelusza, ale także w księżym kołnierzyku... „Niech ich — nasz, ten nowy” ... Pat widziała tego ranka ojca O’Leary’ego w kościele na mszy, na którą matka zaciągnęła ją o szóstej rano, pragnąc wyrzucić dobre wrażenie na nowo przybyłym.

Ksiądz coś mówi do sierżanta policji, który puszcza Seana. Ksiądz trzyma go teraz za rękę i podnosi prawą dłoń, jakby go chciał pobłogosławić.

— Słuchajcie, zacni ludzie! — głos księdza. — Bez gwałtów! Niczego się nie osiągnie... Będzie tylko tym więcej...

Nagle przerwał, patrząc na tatę:

— ■ Jezus Maria! Czy on... nie żyje?

Zapominając o przemowie, klęka przy leżącym, podkłada mu rękę pod ramiona, unosi z lekka. Wyciąga różaniec, przyciska krzyżyk do ust taty. Mama załamuje ręce. Najstarszy i najmłodszy z jej synów, Eoin i Seamus, osłupiali stoją z czapkami w ręku. Wargi księdza się poruszają... przykładą

ucho do ust taty tak samo, jak Pat przykłada swoje do *dziury* w desce. Czyni znak krzyża... zwiija kapelusz taty i łagodnie składa na nim jego głowę. Podnosi się, raz jeszcze czyni znak krzyża nad... Wieśniacy cisną się za żołnierzami, zdejmują kapelusze, kobiety nasuwają chustki na głowy.

Michał podnosi rękę do swego kapelusza, spogląda na ojca. Ten siedzi nieruchomo. Ręka Michała opada z wolna, niepewnie. Pan Winter dotyka ramienia chłopca srebrną rączką szpicruty, wskazuje ruchem głowy w stronę drogi. Kucyk Michała rusza.

Mizerny czarny człowieczek, również nie zdjąwszy kapelusza, zbiera monety, które mama rozsypała po murawie.

Pat ogarnęła nagle panika. Właściwie widziała, ale nie mogła w pełni pojąć... Skoczyła do drzwi komórki, zaczęła walić w nie pięstkami, a Dan u jej boku, zamiast szcekać, zawył. I nic. Dziewczynka skoczyła z powrotem do dziury w desce.

Mizerny człowieczek, „ich — nie nasz”, i żołnierze — odjeżdżali. Policjant wyganiał kozę — razem z kozłkiem. Wieśniacy klękali, żegnali się, z wolna odchodzili. Kobiety cisnęły się bliżej taty, zawodząc. Ksiądz je powstrzymywał, odsuwał.

Mała Pat siadła na podłodze w ciemnościach i zaledwie wiedząc dlaczego, wybuchnęła płaczem. Dan wsparł łapy ojej kolana, pokryte spódniczką równie długą jak jej matki, i polizal ją po twarzy. Objęła go ramionami i szlochała w jego żółtawą kudłatą sierść.

Drzwi komórki stanęły otworem. Sean, najjukochańszy z jej braci, powiedział:

— Wyjdź już stąd, mała.

Dan podbiegł do nieruchomej postaci, ułożonej teraz na kuchennym stole, wsparł się łapami o krawędź, powęszył, a potem odszedł do drzwi wychodzących na podwórze i wznosząc pysk do góry, zawył żałośnie, przenikliwie.

Mama siedziała na stołku, łokcie na kolanach, głowa na rękach, oczy szeroko otwarte.

— O Boże! Serce się we mnie przekreśliło — jęknęła.

Ale nie wylała ani jednej łzy.

### III

Zgodnie z tradycją należało w wilię pogrzebu wyprawić stypę — kosztowną ucztę, zwykle kończącą się hulaszczym pijaństwem. Nawet najubożsi pożyczali, wypraszaży albo kra-  
dli, byle tylko urządżyć coś przynajmniej na podobieństwo tego, co uważano za właściwy obrządek pogrzebowy. Ale O'Donovanowa stanowczo zaprotestowała przeciw „takim głupstwom”. Marnotrawić ciężkim trudem uzbierane pieniądze, zastawiać przyszłe zbiory, aby gromada darmozjadów mogła się zapijać, a dziewczęta tracić dziewictwo w drodze powrotnej? Nigdy!

Wieczorem dnia tragedii Pat położono do łóżka po kolacji z pieczonych ziemniaków i kubka maślanki. Musiała kłaść się wcześniej, bo w długie letnie dni cała rodzina wstawała o czwartej rano. W nogach jej łóżka Dan dawał dobry przykład, zapadłszy w głęboki sen, przerywany podrygiwaniem łąp i cichutkim skomleniem sugerującym sny — może o chwytaniu za pęciny wierzchowca pana Wintera.

Jako urodzony i wychowany na wsi, ojciec O'Leary ocenił jednym spojrzeniem, że mieszkańcy Wolfe Tone Farm należeli nie tyle do zamożniejszych — żadnego dzierżawcy we wsi, a mało którego w hrabstwie można było określić jako zamożnego — ile do mniej ubogich od innych. Ale i tak w kuchni tylko splecione ze szmat kilimki zakrywały kamienną podłogę, nie było żadnego fotela, nawet drewnianego, lecz zydle i długi stół, z którego zwłoki przeniesiono teraz do jedyne go pokoju, w którym zazwyczaj synowie sypiali na wypchanych słomą siennikach; łóżko przed laty, tuż przed ślubem, sporządzone własnoręcznie przez O'Donovana, zakryto poduszkami i kołdrami uszytymi przez tę, która była teraz wdową po nim; drewniane łóżeczko Pat; parę stołków i jedno drewniane krzesło. Pod kuchnią palono torfem, a zimą, dla większego ciepła, polanami, o ile chłopcy zdolali ściągnąć trochę wiatrołomów z dworskiego lasu, zazdrośnie strzeżone-  
go przez Wintera i jego gajowych. Garnki i patelnie, wypuco-



wane do połysku, wisiały na ścianie nad kuchnią. Na drugiej ścianie — prymitywnie wyrzeźbiony krucyfiks. W kącie przy drzwiach jeden jedyny przedmiot świadczący o ustępstwie zapobiegliwej oszczędności na rzecz ducha wyrrywającej się młodości — harfa, narodowy instrument i narodowy emblemat Irlandii.

Gdy Pat już leżała, oddychając głęboko i równo, przyzwyczajona usypiać przy wtórze hałasów całej rodziny — matka zaczęła wyskrobywać resztki torfu z kuchennego pieca. Trzej synowie kręcili się bez celu, siadali, wstawali, brali jakiś przedmiot, odkładali nie patrząc — wszystkich ogarnęło uczucie pustki. Coś się skończyło, nic jeszcze nie zaczęło.

Dziewiętnastoletni Eoin, noszący imię ojca, odsunął się od drzwi. Wysoki i barczysty jak ojciec, był też do niego podobny i nie mógł uchodzić za przystojnego. Ale gdy w twarzy ojcowskiej upór — czasem za późno dochodzący do głosu — łączył się ze współczuciem i serdecznością, które łagodziły surowe rysy, syn łączył upór z egoizmem, widocznym w małych oczkach o zimnym blasku i w zaciśniętych bezwzględnych wargach. Usiadł teraz z westchnieniem, jak człowiek wracający z męczącej podróży, na jedynym krześle. Matka szybko odwróciła się od kuchni:

— Wstawaj z tego krzesła! Nie myśl, że będziesz teraz głową rodziny, ty bałwanie!

Energicznym ruchem przechyliła krzesło. Eoin zjechał z niego i tylko chwytając ręką za stół uratował się od upadku. Matka od dawna nim rządziła: miała ciężką rękę, choć o tyle niższa od niego, i cięty język. Rządziła zresztą wszystkimi synami prócz Seana, któremu brakowało fizycznej siły, lecz umiał się jej odciąć.

Teraz sama usiadła na krześle:

— Musicie się dowiedzieć, a im prędzej, tym lepiej, kto będzie odtąd głową rodziny! I kto będzie trzymał pieniądze w garści, wszystkie pieniądze, zapamiętajcie to sobie!

Popatrzyła na dwóch starszych synów, ramieniem objęła i przygarnęła do siebie najmłodszego Seamusa. Wprawdzie nie miała jeszcze czterdziestki, ale wyglądała dużo starzej,

z siwiejącymi włosami szczesanymi ciasno z czoła, z przedziałkiem pośrodku, ze śniadymi obrzmiałymi policzkami i obwisłą piersią.

Eoin otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale matka utkwiała w nim ostre spojrzenie ciemnych ognistych oczu, które przypominały, że w dzień ślubu była piękną kobietą. Eoin zmilczał i wyciągnąwszy zydeł siadł, podpierając się łokciami o stół.

Sean wszedł, uginając się pod ciężarem brykietów torfu, przyniesionych do rozpalenia ognia nazajutrz rano. Był drobny, miał jedną nogę nieco krótszą od drugiej. Szesnastoletni Józef, jeden z pomocników ogrodnika we dworze Boyne, też wziął sobie stołek i usiadł. Był to młodzik o ciemnej przyszczatej cerze, zbyt długich ramionach i nogach, wybujały i chudy. Potrącił gliniany dzban, który stłukł się o nogę stołu.

— Do przytułku dla ubogich nas zapędzisz, niezdaro!  
— krzyknęła gniewnie matka. — Ty, z tą twarzą jak przypalone płatki owsiane!

— Matka była garnkiem, w którym się te płatki gotowały  
— wtrącił Sean.

O'Donovanowa zwróciła się do niego:

— A tobie też nałożę kaganiec! Nie ma ojca, by stawał po twojej stronie!

Chmura przeszła przez twarz Seana. Przygryzł wargi, zmrużył oczy. Zdawało się, że wybuchnie płaczem. Ale opanował się i usiadł spokojnie na stołku w kącie za drzwiami, przy harfie, na której lubił wygrywać melodie wesołe i smętne. Miał lat osiemnaście, wzrostem ledwie przewyższał matkę, oczy niebieskie, włosy jasne jak wiecheć słomy, twarz szczupłą, o wyglądzie ascetycznym. Do gospodarki tak był przydatny, zdaniem matki, „jak wymię u byka”, przeznaczono go więc na księdza. Jak zwykle wieśniacy, O'Donovanowie chętnie by widzieli księdza w rodzinie. Ale po dwóch latach pobytu w seminarium Sean zgodził się ze swymi duchownymi preceptorami, że tak buntowniczy duch nie będzie mógł nosić duchownej sukienki.

— Wszyscyśmy się zebrali — powiedział z kąta. — Odpowiedni czas na rodzinne konklawe.

— Kon-klawe! — O'Donovanowa szyderczo podkreśliła wyraz. — To ci wielka nazwa zwykłej kłótni. Po co nam konklawe? Kłótni nie będzie.

— Prócz tych, które matka wszczyna — wtrącił Sean, wyglądając przez okno w ciemność.

— Jak będziecie wszyscy robić, co wam powiem, i bez przygadywania, to wszystko będzie w porządku i nie będzie miała żadnych powodów do kłótni — rzekła O'Donovanowa.

— Rozumiecie?

Sean zignorował pytanie i oznajmił:

— Matka zawiodła ojca wtedy, kiedy obowiązkiem matki było stać przy nim. Gdyby matka nie poszła po pieniądze, może by jeszcze żył w tej chwili. Wtedy właśnie, gdy wszyscy czekali, jakby znieruchomieli, wtedy właśnie Hepsibah... Ojciec przecież chciał tylko odpędzić oślicę!

— Nie próbuj wmówić we mnie, że to ja go zabiłam — zaprotestowała matka. — Powinien był zapłacić. Powie działał mu to, ale nie chciał słuchać. Każdy mężczyzna wie lepiej! Nie ma sposobu sprzeciwić się prawu ani słowem, ani pięścią, ani też strzelbą. Musimy prawo przyjąć i radzić sobie potem, jak potrafiemy.

— Nie tylko ojciec inaczej sądził — odpowiedział Sean. — To prawo nie jest nasze, Anglicy nam je narzucili. I powinniśmy je zmienić za wszelką cenę.

— Masz ogień w sercu — powiedziała O'Donovanowa. — Strzeż się. Twój ojciec był taki sam. Dlatego leży teraz w tamtej izbie. Za wiele ognia w sercu, a dym ci zaciemni głowę!

— A za mało ognia czyni tchórzów z nas wszystkich — zauważył Sean z namysłem, jakby mówił do samego siebie.

Matka puściła Seamusa, usiadła prosto, wyciągając przed sobą na stole ręce zgrubiałe od pracy, czerwone od ciągłego moczenia w wodzie. Patrzyła kolejno na każdego z trzech starszych chłopców.

— Posłuchajcie mnie, wy wszyscy!

Sean uderzył w struny harfy akordem, który zabrzmiał dziwnie impertynencko, jakby urwis pokazał język. O'Donovanowa gniewnie rzuciła w niego ścierką, którą jeszcze trzymała w ręku.

— A ty siedź cicho! — krzyknęła i mówiła dalej: — Kiedyśmy się tutaj osiedlili i wydzierżawili tę gospodarkę, wasz ojciec i ja, zaraz po ślubie, zamieszkaliśmy w szałasie, nie lepszym od chlewu. Pracowaliśmy. Ja ciulałam grosz do grosza. Odmawialiśmy sobie wszystkiego, nawet w lepszych latach. Własnymi rękoma wybudowaliśmy oborę i to...

— gestem ręki objęła wnętrze izby. — Nie pałac, ale już nie chlew. Kupiliśmy nawet drugą krowę. I na rany Ukrzyżowa nego, nie pozwolę, by to poszło na marne, by nas wyrzucono bez odszkodowania, by oddano komu innemu albo zburzono, by dobrze uprawnioną rolę przyłączono do pastwisk dworskich. I nie ogień w sercu uratuje dla nas gospodarkę, ale trochę oleju w głowie, o tu! — puknęła się w czoło.

Eoin kiwnął głową, jakby się zgadzał. Józef ziewnął. Seamus przysunął się do łóżeczka Pat, pociągnął Dana za ucho, obudził go. Sean powiedział:

— Ogień tu, dym albo olej tam, a ojcu teraz już wszystko jedno. Wydaje się, jakby ciebie wcale nie obchodziło, matko, żeśmy go stracili. Tylko się o gospodarkę troszczysz.

— Dobrze, że ktoś się o to troszczy — odparła. — Musimy żyć.

Sean odwrócił się na stołku i spojrzał jej prosto w oczy.

— Musimy? — zapytał. — Może jednak ojciec wygrał pomimo wszystko. Pozbył się łańcuchów, którymi my nadal jesteśmy skuci. Łańcuchów, którymi nas spętali angielscy dziedzice i angielscy intendenci, i angielskie czynsze, i angielskie dziesięciny, i angielscy pastory, i angielska policja, i angielscy żołnierze, i angielskie sądy, i angielskie więzienia...

— Jemu by nic nie przyszło z tego ani nikomu z nas — przerwała O'Donovanowa — gdybym załamywała ręce i zawodziła. — Mówiła agresywnie w poczuciu winy.

— Wasz ojciec padł ofiarą głupiego wypadku, który się trafia dlatego, że mężczyźni zabawiają się bronią i noszą dębowe

kije. Gdyby posłuchał mojej rady i zapłacił w porę dziesięcinę, byłby teraz z nami. Nie powiem, byłby zacnym człowiekiem, chociaż wam głupie pomysły powbijał do głowy — tobie, Sean i małej Pat... Czy ona na pewno śpi?

— Śpi jak suseł i coś jej się śni — zapewnił Seamus. Zabrał Dana w drugi kąt izby i zaczął się z nim bawić w ulubioną zabawę: chowanie kamienia.

— Ale w tej jednej sprawie — ciągnęła O'Donovanowa — wciąż mi się sprzeciwiał. Czasem ustępował...

— Dla świętego spokoju — wtrącił Sean.

— Zamknij się! Niektórzy z nas chcieliby posłuchać, co matka mówi — burknął Eoin.

O'Donovanowa zignorowała ich sprzeczkę:

— Chciał walczyć przeciw prawu własną bronią, choć wiedział przecież, że nie może wygrać...

Sean znowu:

— Są takie chwile, kiedy ludzie, przekonani o własnej słuszności, muszą walczyć.

— To sposób głupców — odparła matka. — I prowadzi do grzechu. Idź przeciw prawu, to potem pójdziesz przeciw Bogu. Wasz ojciec nie był w kościele od...

— To nie było przeciw Bogu! — przerwał jej Sean. — To było tylko przeciw proboszczowi, którego słusznie uważał za zaprzedanego szlachcica. Tak, proboszcz był stary i głupi. Umarł. Niech mu ziemia lekka będzie... I oby ten nowy...

— I oby ten nowy nie miał w sercu diabła buntu jak niektórzy. — O'Donovanowa skończyła zdanie po swoim.

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują — zakpił Sean.

— Wszystkie religijne książki pisali jego nieprzyjaciele.

— I nie ścierpię tutaj bluźnierstw! — Matka podniosła głos. Wstała, podeszła do Seana, który uśmiechnął się do niej, ale patrzył bacznie. Zamachnęła się mocnym ciosem, ale uchylił się zwinnie; byłaby straciła równowagę, gdyby jej nie podtrzymał. Wyprostował się i rzekł:

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Pójdę pogadać z ojcem O'Learym. Wydaje mi się, że z niego porządny człowiek. Może by mi pomógł napisać skargę i żądanie kom-

pensacji. Morderstwo nie powinno im ująć bezkarnie, chociaż pieniądze nie zwrócą nam ojca.

— Nie bądź durniem — odrzekła gniewnie matka.

— Przecież ksiądz cię nie przyjmie tak późnym wieczorem. A gdyby wiedział, jak ja wiem, że z ciebie bezbożnik...

— Może być matka pewna, że mu powiem. Nie pójdę do niego pod fałszywymi barwami.

— Tylko większych kłopotów przyczynisz — ostrzegwała O'Donovanowa. — Powinniśmy teraz siedzieć cicho. Oni dostali dziesięcinę...

— I życie ojca — dodał Sean. — Ktoś za to musi odpokutować.

— My odpokutujemy, jeśli nie będziecie mnie słuchać — mówiła matka z uporem, ostro. — A ty przede wszystkim, Sean. Chuchro z ciebie, a uparty! Pewno myślisz, że sobie napchasz kieszenie pieniędzmi z kompensacji. Nie napchasz. Już ja tego dopilnuję. Każdy grosz w tym domu...

Sean, dotknięty do żywego, wybuchnął:

— Chcę pieniędzy tylko dla matki!

— Cicho! Obudzisz Pat! — mruknął Józef. Tylko tym napomnieniem wtrącił się do sprzeczki.

— Nie chcę ich pieniędzy — odparła O'Donovanowa.

— Mój brat w hrabstwie Kerry, ten przemytnik, zawsze przyrzekał, że mi dopomoże, jeśli będę w potrzebie.

— Przemytnik? A matka taka legalistka, zawsze chce prawa przestrzegać...

Sean po raz drugi dobył z harfy impertynencki akord.

Matka znowu zamierzyła się na niego, ale Sean znowu się uchylał. Choć kulały, w mgnieniu oka znalazł się za drzwiami. O'Donovanowa kopnęła ze złością harfę. Zabrzmiał zgrzytliwy dysonans.

— Wolę słuchać wrzasku sroki niż jego gadaniny — warknęła. — Spać, wy wszyscy!

— Ależ, mammo... tam... — zająknął się Eoin.

— Nigdy żadnego z was nie uderzył za życia, a szkoda! — odparła. — Nie uderzy nikogo teraz, gdy jest martwy. To pewne. Ruszać stąd! To izba dla kobiet.

Podniesione głosy obudziły Pat, jak ostrzegał Józef. Zdrzemnęła się znowu i znowu obudziła. Na słowa: „teraz jest martwy” — rozbudziła się zupełnie. Kuchnia była pogrążona w ciemnościach. O'Donovanowa nie zapalała świec, by rozmawiać. Dan wskoczył z powrotem na łóżeczko, ciężko, jakby się zmęczył zabawianiem Seamusa. Pat nasłuchiwała poruszeń matki, która się rozbierała i kładła do łóżka. Dziewczynka była śpiąca, ale te słowa zdawały się wisieć w powietrzu:

„Teraz jest martwy”.

„...nigdy więcej do mnie się nie odezwie... złożę go do ziemi. Będzie mu mokro, wilgotno, zimno. Mój tatuś! Nigdy więcej nie da mi jabłka w tajemnicy przed mamą. Nigdy mnie nie zabierze na ryby i nie będzie ich piekłem dla mnie nad ogniskiem przy strumieniu. Nigdy mnie nie posadzi na grzbiet Hepsiby. Nie pozwoli mi dość krowy. I Seanowi będzie źle bez niego! Tylko jeden tatuś nie wysmiewał się z jego kulawej nogi... Sean i ja będziemy teraz musieli trzymać się razem... Tamtych się boję. Eoin nieraz mnie uderzy, gdy się nawinę pod rękę... A Seamus ciągnie za włosy, nie chce się ze mną bawić, mówi, że dziewczynki są do niczego. Matka kazała mi oddać mu żabę, którą ja złapałam, a on powyrywał jej nogi... Jak tamci okropni ludzie mogli...? Teraz jest martwy. Przyszli po pieniądze, a zabrali mu życie. Nigdy im nie przebaczę, chociażby ksiądz mówił, że powinnam. Nigdy! Będę ich wrogiem na zawsze! I Sean też, wiem na pewno. Ja... Pan Winter — och! Boję się go!”

Oczy jej zamknęły się w ciemnościach. Usłyszała własne jęknięcie. Zmusiła się, by znowu otworzyć oczy, otrząsnęła się.

„A ten nadęty Michał! Ja mu jeszcze pokażę... ja... ja...”

Tym razem jej oczy zamknęły się na dobre — usnęła.

Kiedy się obudziła, słońce świeciło przez otwarte drzwi prosto w jej twarz. Zobaczyła matkę, jak przed domem moczy jakąś odzież w miednicy, wyjmując ją, zanurza znowu. Czarną.

#### IV

Dziewczynce nadarzyła się sposobność urzeczywistnienia niektórych z jej nocnych, na wpół tylko świadomych pogrózek prędeż, niż się mogła spodziewać. Gdy budziła się w swoim domu, który miał na zawsze zostać dla niej Wolfe Tone Farm, Michał wyjeżdżał na kucyku z dworu Boyne w stronę gospodarki, którą znał pod nazwą Greenwood Farm.

Poprzedniego dnia, gdy u boku ojca odjechał z miejsca ściągania dziesięciny, odważył się zauważyć:

— Głupiec z tego żołnierza. Widać było, że O'Donovan tylko chciał osła odpędzić. Ci idioci w mundurach...

— Idioci, być może — odrzekł William Winter. — Ale odąd asesor napotka mniejszy opór przy ściąganiu dziesięciny. Właściwie byłbym rad, gdyby ta kobieta nie zapłaciła i gdyby jeszcze paru wieśniaków nie zapłaciło. Eksmisja i zabranie ziemi na pastwisko byłyby dla mnie w obecnej chwili korzystniejsze.

— Ściąganie dziesięcin przyczynia ojcu strasznie dużo kłopotów — powiedział współczująco Michał.

Syn był po chłopięcemu dumny z ojca, który rządził tak wielkim obszarem ziemi, ponad tysiącem hektarów, i właściwie panował nad mieszkańcami całej okolicy. Michał skłonny był uważać za niemoralne wszystko, co wskazywało na nieposłuszeństwo tym rządcom. Na takie przekonanie wpływała również świadomość, że według wszelkiego prawdopodobieństwa on, jedyny syn, kiedyś przejmie obowiązki ojca.

— A co tam! — Winter wzruszył szerokimi, barczystymi ramionami. — Dopóki chłopci będą walczyć z Kościołem o dziesięciny, dopóty ja muszę pełnić moją władzę jako sę dzie pokoju. Ale nic na tym nie mogę stracić. To sprawa Ffolliotta. Gdyby nie kłócili się o dziesięciny, kłóciliby się ze mną o obniżkę czynszów dzierżawnych. To by była walka o wiele bardziej zażarta, przynajmniej dla mnie.

Winter był mężczyzną mocno zbudowanym, ciężkim, ale nie otyłym, z łysiną otoczoną wieńcem siwiejących włosów



widocznych spod kapelusza. Jako administrator stanowił jedno z pośrednich ogniw, ale właściwie rządził samodzielnie na olbrzymich włościach należących do niejakiego Lorda Dunboyne, który od dwudziestu lat nie zajrzał nawet do dworu Boyne, jako że wolał nic nie robić w komforcie swego londyńskiego domu, angielskiej siedziby wiejskiej lub szkockiego pałacyku myśliwskiego. Ilekroć jego lordowska mość przekonywał się, że jego wydatki przewyższają dochody, natychmiast zwracał się do Wintera z żądaniem wyższych tenet za majątek Boyne. A Winter z kolei wyciskał podwyżkę — z dodatkiem za własne trudy — od swoich dzierżawców.

Przy tym systemie, powszechnym w wielu prowincjach Irlandii, wieśniacy poddani byli podwójnemu naciskowi. Nie tylko na żądanie Lorda Dunboyne Winter żądał dodatkowych czynszów. Ilekroć sam potrzebował pieniędzy, ściągał je od swoich dzierżawców. A chwile takiej potrzeby trafiały się często.

Winter — z uprawy zbóż, z produktów mlecznych, ze sprzedaży bydła i z młyna — miał dochód isticie lordowski. Ale nie wystarczał on komuś, kto chciał żyć jak maharadża. Oprócz dworu Boyne utrzymywał dom w Dublinie, również z liczną służbą. Winterów zresztą stale okradano w jednym z ich domów, a gdy wyjechali na miesiąc lub dwa do Anglii — w obydwóch.

Chociaż nie uprawiał — jak wielu w owych czasach — hazardu, Winter miał inne sposoby wydawania pieniędzy. Jego żona nie odzyskała zdrowia po urodzeniu Michała — doktor przyjmujący poród pokpił sprawę. Tak więc we dworze Boyne żyła druga kobieta, zwana gospodynią, ale zastępująca panią Winter również w innych funkcjach. Stajnie Wintera służyły w okolicy — trzymał konie pod wierzch i wyjazdowe. Był to powóz dla pani Winter, by mogła zażywać spacerów w łagodną pogodę, szybszy faeton dla gospodyni i parę sportowych pojazdów. W obu domach Winter miał biblioteki, do których wcięż dodawał rzadkie i cenne egzemplarze.

Intendent był człowiekiem wykształconym — po angielskiej szkole prywatnej i uniwersytecie — i uchodził za wysoce kulturalnego. Oprócz tego że naprawdę czytywał książki, które zbierał, miał również zamiłowanie do amatorskich przedstawień. Przebudował więc na ten cel dawną stodołę, służącą teraz również za salę balową. Nieustannie zapraszano z Anglii przyjaciół, którzy brali udział w przedstawieniach, werbowano też ziemian z okolicy, by próbowali swych scenicznych talentów.

A jednak jego wykształcenie i kultura nie wyrobiły w nim ani poczucia równości wobec tych, których miał w swej władzy, ani zdolności do prawdziwego współczucia. Dla Wintera śmierć dzierżawcy — nawet gwałtowna — była mniej ważna od śmierci domowego zwierzęcia.

Toteż tylko z wyrachowania uznał za wskazane wysłać Michała z ćwiartką baraniny i obłudnym listem do wdowy O'Donovanowej.

— Nie wiadomo, czy ten młody zapaleniec, jej syn Sean — powiedział Winter — przyjmie potulnie śmierć ojca. Nie dbam o to, ale im mniej kłopotów, tym lepiej. Kobieta wie, kto tu rządzi. Jeśli się ją ułagodzi, może potrafi nałożyć wędzidło temu narwanemu smykowi.

Pat śledziła czujnym okiem kucyka wjeżdżającego w obręb roli O'Donovanow. Skuliła się wraz z Danem w rowie pod żywopłotem znaczącym granicę ziemi dzierżawionej przez jej ojca — teraz to chyba przez matkę — sama niewidzialna, a wszystko dobrze widząca.

— Chce przeskoczyć krzaki, ale to mu się nie uda! — poinformowała Pat kundla. — Wydaje się, jakby jechał prosto na nas.

Trzymała mocno jedną ręką psa za obrozę, drugą ścisnęła mu pysk, nie pozwalając nawet warknąć. Odczekała, aż koń przeszedł w krótki galop, szykując się do skoku, wówczas dopiero puściła Dana, wołając:

— Weź go! Dobry pies! Bierz!

Dan nie potrzebował zachęty. W mgnieniu oka przeslizgnął się przez żywopłot i z głośnym szczekaniem skoczył

na kuca. Koń zobaczył psa, spłoszył się, wylał przed skoki — w porę, by uniknąć niebezpiecznego upadku. Razem z Danem, chwytającym go za pięcy, wbiegł ukosem w ogrodzenie, nie poniosłszy większej szkody prócz podrapań.

Michałowi się tak nie poszczęściło. Bardziej doświadczony jeździec utrzymałby się w siodle albo bezpiecznie zeskokczył, zanim koń wpadł w krzaki. Natomiast Michał wylądował na ziemi po drugiej stronie żywopłotu na gospodarce O'Donovanów. Usiadł i obmacując się sprawdzał, czy nie ma połamanych kości. Nad nim kucyk obojętnie objadał liście.

— Gdzie się podział ten przeklęty pies?!

Chłopiec poczuł, że jego okrągłą czarną, z dużym daszkiem czapkę jeździecką wepchnięto mu głęboko na oczy, tak że nie mógł nic widzieć.

— Jak się tej czapki pozbędziesz, to spróbuj mnie złapać!  
— zawołał dziecinnie głos.

Michał zerwał się na nogi, szarpiąc jednocześnie z czapkę. Gdy ją ściągnął, zobaczył opodal małą dziewczynkę. Podskakiwała na jednej nodze i śmiała się, przytrzymując za obrozę kundla, który teraz szczekał jak opętany.

Michał pogroził im pięścią i zaczął z trudem, obolały od potłuczeń, biec ku niej po nierównym gruncie. Stała, póki nie znalazł się tak blisko, że już wyciągał rękę. Wtedy wywinęła mu się, tańcząc i skacząc, a puszczony wolno Dan już chwycił chłopca za łydki.

Michał zamierzył się, by kopnąć psa, i bezskutecznie próbował pochwycić dziewczynkę.

— Nie złapiesz mnie, nie złapiesz mnie! — szydziła wyzywająco, wciąż skacząc i tańcząc. — Spadł z konia... ale jeździec!

Potłuczony i sztywny po upadku chłopiec nie mógł się równać ze zwinnym jak węgorz dzieckiem i nieznośnym kundlem. Ale szyderstwa go drażniły, a ujadanie psa doprowadzało do irytacji. Musi ją złapać, ukarać za psotę, za jej bezzelne szyderstwa. Da jej taką nauczkę, że popamięta!

Otrzeputując z ubrania trawę i liście, udawał przez chwilę, że nie zwraca na dziewczynkę uwagi. Gdy znalazła się blisko,

skoczył ku niej. Ale zapomniał o Danie, który zaplątał mu się pod nogami. Michał rozciągnął się jak długi. Rozległ się wysoki, drażniący śmiech dziecka. Chłopiec zdał sobie sprawę, że dziewczynka i pies wystrychnęli go na dudka. Z zaczerwienioną twarzą podniósł się, pogroził Pat pięścią:

— Któregoś dnia jeszcze cię złapię, urwisie jeden, i złożę ci skórę, jak na to zasługujesz! Jeszcze mnie popamiętasz!

— Będziesz musiał szybciej się zwijać niż dzisiaj! — zakpiła dziewczynka, wciąż podskakując w odległości paru kroków od niego.

Michał odszukał furtkę i poszedł do swego kucyka. Pat uznała, że pora na strategiczny odwrót.

— Idzie do naszego domu — poinformowała psa. — Trzeba zwiewać. Lepiej tam być. Może uda się nam przeszkodzić, by na nas nie naskarżył.

W każdym razie był to bardzo udany ranek. Gdyby Bóg tak kierował sprawami, jak przystało Wszechmogącemu, z pewnością pozwoliliby tatusiowi na tę wielką przyjemność: zobaczyć, jak któryś z Winterów przewraca się do góry nogami.

Oddając w parę minut później list i paczkę, Michał nie zsiadł z konia. Nie uszło uwagi O'Donovanowej, że jego kurtka była pobrudzona, a jeden rękaw naddarty.

— O, musiał pan spaść z konia, paniczu — powiedziała z należnym szacunkiem i współczuciem.

Pat, z tyłu za matką, podchodziła coraz bliżej: piąstki zaciśnięte, wargi zasznurowane, ciemne oczy wpatrzone płomieniem w chłopca. Wydawało się, że siedem lat ma czelność wyzywać dwanaście! Nie było to potrzebne. Koledzy Michała w szkole nauczyli go niedwuznacznie, a czasem nawet brutalnie respektu dla jedenastego przykazania: „Nie będziesz skarżypyta!”

Toteż chłopiec odpowiedział O'Donovanowej z odcieniem wyniosłości:

— Drobiazg. Koń mi się potknął na jakimś wyboju.

Pat otworzyła dłonie, pozwoliła wzrokowi zlągodnieć, wargom nieomal się uśmiechnąć.

Wdowa poprosiła chłopca, by jej przeczytał list.

— Czy mi już nie dopisują — posłużyła się wymówką, która Michała nie zwiadła.

Nawet jemu te obłudne, śliskie kondolencje listu ojcowskiego zapiekły niesmakiem wargi. Ale — przelękając ślinę i krzywiąc się — przebrnął jakoś, a O'Donovanowa zaczęła zaraz:

— Proszę podziękować wielmożnemu panu Winterowi, bardzo podziękować. Wysoko sobie cenimy jego uprzejmość. Wypadek był dla nas bardzo smutnym wydarzeniem, ale wiemy, że to nie była niczyja...

Pat wiedziała, że gdyby Sean był w domu, nie wysłuchiwałby spokojnie pokornych podziękowań matki. Trzeba coś zrobić. Puściła Dana. Pies skoczył z namiętym ujadaniem. Koń stanął dęba i pogalopował przez podwórze, przez drogę, na pobliskie pola.

Pani O'Donovanowa najpierw podniosła ze zgrozą rękę do obwisłych policzków. Potem na oślep zadała gwałtowny cios.

— Ty mała bestio! Nie mogłaś to przytrzymać tego... tego...!

Ale ani „małej bestii”, ani „tego” nie było nigdzie widać.

## V

Michał powściągnął wreszcie wierzchowca, ale nie wrócił, by wysłuchać reszty przemówienia O'Donovanowej. Był wytracony z równowagi po pełnym przygód ranku. Rację miał nauczyciel w jego angielskiej szkole, który podczas ostatniego semestru powiedział, że Irlandczycy są nieusłuchanym narodem. Michał sam widział to poprzedniego dnia w opozycji O'Donovana przeciw zapłaceniu należnej dziesięciny i dzisiaj w bezczelności tego nieznośnego dziecka, które ośmieliło się szcuć psem syna swego angielskiego pana. Prócz tego

nauczyciel mówił rzeczy znane: że od jakichś sześciuset lat irlandzcy tubylcy zdradziecko i głupio sprzeciwiają się znacnym intencjom angielskich kolonizatorów. Irlandczycy się buntowali, dostali nauczkę, niczego się nie nauczyli i znowu się buntowali. I tak to szło. Ani Henryk VIII, ani Elżbieta, ani nawet krwawe mordy i pożogi Cromwella nie zdołały spacyfikować paru milionów mieszkańców tej wyspy.

Oczywiście Irlandczycy inaczej interpretowali własne dzieje, Michał wiedział o tym. Ale nie mieli przecież spisanej historii, a gdyby nawet ją mieli, nie potrafiliby odczytać. Kiedyś Michał natknął się w lesie na grupę mężczyzn, którzy słuchali Seana O'Donovana. Chłopiec skrył się w gąszczu i słuchał. Sean opowiadał urywki z historii Irlandii, która przedstawiała się zupełnie inaczej od tej, jakiej nauczano w angielskiej szkole. Opowiadał czasem słowami prostej narracji, czasem w formie ballady, akompaniując sobie na harfie, o zdarzeniach znanych w okolicy. Jak w wąwozie zwanym odtąd Przejściem Tyrella, o parę kilometrów od Kilegad, w XVI wieku kapitan Richard Tyrell pobił na głowę wojsko wysłane z Anglii przez królową Elżbietę. Jak katedrę Świętego Patryka w Trim, założoną przez człowieka, który więcej od kogokolwiek innego uczynił dla nawrócenia Irlandii na chrześcijaństwo, odebrano katolikom i przemieniono w kościół protestancki. Jak w bitwie pod Clonard, nieco na południe od Kilegad, liczniejsi żołnierze angielscy wymordowali duży oddział uczestników powstania w roku 1798, nie biorąc jeńców i nie znając pardonu.

Potem Sean łączył te wydarzenia z całością dziejów Irlandii. Wzruszył głęboko słuchaczy. Łzy płynęły po starczych, pomarszczonych policzkach. Młodszy mężczyźni przyłączyli się z zapalem do chóralnego śpiewu, przerywając sobie wykrzykiwaniem pogrózek przeciw Anglikom. Ale co dziwniejsze — Michała również poruszyły opowiadania i śpiewy. Toteż chociaż dobrze wiedział, że powinien był donieść ojcu o tym, co widział i słyszał, po powrocie do domu milczał.

W opowiadaniach Seana, jak to spostrzegawczy chłopiec zauważył, nie było wzmianek o „rebelii przeciw prawowitej

władzy", o „zdradzie" i „gwałtach". Natomiast słyszał wciąż o „walce za wolność", „sprawie Irlandii", „prawdziwym patriotyzmie". Nie o „buntownikach, rebeliantach", „podstępnych zdrajcach", „bandytach", „mordercach", ale „nieustraszonych przywódcach", „wiernych synach Erinu", „bohaterach". W podręcznikach historii, z których uczył się Michał, wspomniano, opisując zasiedlanie przez Anglików i Szkotów w początkach XVII wieku w północnej Irlandii, że „irlandzcy hrabiowie wycofali się na zachód, do nadbrzeżnego hrabstwa Connaght". Ale Sean O'Donovan mówił o „krwawym wypędzeniu irlandzkich hrabiów z ich dziedzicznych ziem do jałowej prowincji Connaght".

Michał słyszał, że po wsiach wędrowało wielu takich harfistów gawędziarzy. Spotkania młodego O'Donovana z wieśniakami miały charakter po części rozrywki, po części — podżegania. Sean nie studiował na angielskim uniwersytecie. Cóż to za nauka — dwa lata w katolickim seminarium? Więc chociaż Michał zainteresował się, nawet wzruszył opowieściami, nadal przyjmował w dobrej wierze dane historyczne ze źródła wiedzy — angielskich podręczników szkolnych. Dla niego Irlandczycy nadal pozostali nieposłusznym, buntowniczym narodem. Nie doceniali dobrodziejstw tego, że Anglicy nimi rządzą, uczyli ich, sądzili. Bo przecież Anglicy byli narodem wybranym przez Boga — protestanckiego oczywiście — by władać znaczną częścią świata.

Był to powód do dumy należeć do takiej rasy, rozmyślał Michał, wracając do dworu Boyne. Co prawda jako przedstawiciel rasy władców nie sprawił się imponująco tego ranka w starciu z irlandzkim smarkaczem i irlandzkim kundlem. Czuł potrzebę jakiegoś działania, chociażby trywialnego, by odzyskać pewność siebie, poczucie własnej wyższości. Kucyk, jakby chciał się również zrehabilitować za poprzednie wybryki, dostarczył mu sposobności.

Na podjazd przed dworem Boyne kazano przywieźć sto wózków, ciągnionych przez osiołki, żwiru z terenów dzierzawionych przez O'Donovanów. (W rzeczywistości przywieziono tylko 79 wózków, ale o tym nie wiedzieli ani pan

Winter, ani jego syn.) Gdy Michał zbliżał się do rozległego, w klasycznym stylu, ale zeszpeconego dobudówkami dworu, na połowie podjazdu bliższej frontowego wejścia żwir był już rozrzucony, a Józef O'Donovan z grabiami w ręku wyprostował się i ustąpił z drogi.

Gdy kucyk znalazł się w połowie wysypanego świeżym żwirem placyku, podniósł ogon w górę i wydał donośne, a woniejące ostrzeżenie, że pigułka, którą mu dał stajenny przed paru godzinami, za moment dowiedzie swej skuteczności.

— Józefie! Świeży żwir na podjeździe! — krzyknął Michał.

I ten irlandzki wół roboczy, dobrze wytresowany przez matkę, zerwał pognieciony kapelusz z głowy i podstawił go pod ogon powoli idącego kuczka.

Na podrażnioną ambicję Michała incydent podziałał jak balsam. Respekt O'Donovanowej matki i kapelusz jej syna napelniony końskim łajnem złagodziły nieco upokorzenie, gorycz i nawet fizyczny ból zadane przez O'Donovanow dziecko i kundla.

Z każdą wpadającą do kapelusza grudką łajna Michałowi wracała pewność siebie i zadowolenie.

## VI

Powracając z Greenwood Farm przez pola, Michał uniknął spotkania z Seanem O'Donovanem, który właśnie odwiedził dwór Boyne.

Poprzedniego wieczoru ojciec O'Leary przyjął Seana kordialnie, pomimo spóźnionej pory. Tak, chętnie dopomoże w napisaniu skargi dotyczącej tragicznych wydarzeń tamtego popołudnia.

— A może zaczęlibyśmy od modlitwy? — zaproponował ksiądz. — Pomodlimy się za duszę twojego ojca i za powodzenie naszych wysiłków?



— Trzeba ci wiedzieć, ojczy — odparł Sean — że wzięliśmy rozbrat, ja i modlitwa.

— Więc dlaczego przychodzisz po pomoc do mnie, ksiądz? — spytał ojciec O'Leary.

— Ksiądz jest wykształconym człowiekiem.

Ojciec O'Leary wzruszył ramionami, odwrócił się i otworzył małą szafkę.

— Nie wierzysz w modlitwę, hm... A może wierzysz w to? — Z uśmiechem podniósł butelkę whisky i dorzucił: — Ko sztuje więcej, ale ci przyznam, że rezultaty bywają szybsze!

Ksiądz przyniósł materiały do pisania i usiadł za stołem naprzeciwko Seana. Gdy obaj popijali ze szklaneczek, ojciec O'Leary powiedział:

— Moja gospodyni mówiła mi, że byłeś w seminarium. Czy zechciałbyś mi powiedzieć, dlaczego zaniechałeś nauki? Wątpliwości co do dogmatów?

— Wątpliwości co do bardziej ziemskich spraw.

— Takich jak...?

— Tyle ich, ojczy.

— Wymień choćby jedną.

— Więc... och, nie wiem... na przykład weźmy przykazanie: „Nie kradnij”. Jak nam to tłumaczono, wydawało się, że tylko biednemu nie wolno kraść od bogacza. Może bym to przyjął, gdybym był bogaty jak biskup. Ale nie jestem. Moja rodzina zawsze była i będzie biedna. Człowiek, który ściągnie kurczaka dziedzicowi, nie może dostać rozgrzeszenia, o ile nie powie, że żałuje i że drugi raz tego nie zrobi. Jak ma żałować, jeśli ten kurczak uratował jego żonę i dzieci od głodowania? A bogaci dziedzice, katolicy i protestanci, okradają swoich dzierżawców cały czas i nikt nie oczekuje od nich, by się z tego spowiadali!

— Nie jesteś pierwszym, którego myśli idą tymi drogami — odrzekł ksiądz. — Są odpowiedzi na wszystkie twoje zastrzeżenia...

— Wiem, ale mnie nie trafiają do przekonania. Gdyby ojciec był Bogiem albo gdybym ja był Bogiem, nie po zwolilibyśmy Anglikom na to, co robią z Irlandczykami...

— Gdybyś ty był Bogiem albo ja — odparł ojciec O’Leary — a nie sądzę, aby to było godne zazdrości zajęcie, to rozumielibyśmy wiele spraw, których teraz nie pojmujemy.

— Jeśli On rozumie więcej niż my, to powinien bardziej współczuć niż ja, a według wszelkich oznak współczucie jest Mu obce — zaprotestował Sean, rozgrzewając się do dyskusji. — Ludzie znoszący nędzę i ucisk czynią co w ich mocy, by pomóc innym cierpiącym. A co Bóg robi dla Irlandczyków, którzy są, praktycznie biorąc, wtłoczeni w ziemię? Czy im okazuje współczucie?

— Gdy ludzie pomagają swoim bliźnim, stają się narzędziem boskiego współczucia.

— Ale takich narzędzi jest tak mało i są tak mało skuteczne! — rzekł Sean. — Bóg przecież jest potężniejszy od Anglików. Jeśli ja nienawidzę pana Wintera, to cóż mam zrobić z Bogiem, który wydaje się stać po jego stronie, a w każdym razie z pewnością w niczym panu Winterowi nie przeszkadza?

— Argumentujesz niezbyt teologicznie — zauważył ksiądz.

— Być może. Moje argumenty rodzą się z tego, co moja matka nazywa ogniem w sercu i dymem w głosie. Tylko ten ogień nie jest w moim sercu, on spala moje wnętrze. „Boże, ocal Irlandię”. „Boże, zachowaj Irlandię”. „Boże, dopomóż Irlandii”. A Bóg nic! Więc albo nie istnieje, albo nie dba.

— Wiesz, że powinienem ciebie wyrzucić z domu za bluźnierstwa — zauważył z zupełnym spokojem ojciec O’Leary. — Ale nigdy nie widziałem, aby człowiek stał się bliższy Bogu, gdy go Kościół odrzucił. Jeśli księża w twoim seminarium nie mogli ciebie przekonać o błędzie w logice twego rozumowania, to ja z pewnością nie zdołam tego uczynić w ciągu godzinnej pogawędki. Ale żyjąc obok siebie, może dojdziemy obaj do respektowania naszych poglądów, może dopomożemy niekiedy jeden drugiemu, a nawet znajdziemy się — jak teraz — po tej samej stronie barykady. Jeśli ty będziesz próbował, to i ja poprobuję. A teraz jeszcze

kropelkę dla zachęty. — Nalał porządne porcje do szklaneczek i dodał odrobinę wody. — I zabierzmy się do układania tej skargi.

Uzgodnili, że ojciec O'Leary nazajutrz rano pójdzie razem z Seanem do dworu Boyne, by wręczyć dokument. Po drodze młodszy z mężczyzn, powłócząc nieco nogą wyznał:

— Nie żałuję lat, które spędziłem w seminarium. Ksiądz, który nas uczył łaciny, był wybitnym humanistą. Czytaliśmy z nim klasyków, Cezara, Wergilego, Kwintyliana. Ja znałem łacinę wcześniej: od pewnego starego człowieka, który tu kiedyś mieszkał. Już nie żyje. A jeden z moich przyjaciół ma krewnych w Anglii, od których przemycaliśmy ukradkiem antyreligijne książki: francuskiego Woltera, Anglika Willia ma Godwina, Percy'ego Shelleya. Tak, czytałem sporo i to chyba poszerzyło mój światopogląd.

Ksiądz się roześmiał.

— Szeroki światopogląd młodego mężczyzny rzadko bywa rezultatem wychowania w seminarium. Ale ty rzeczywiście wykorzystasteś różne trafiające się sposobności. Widzę, że jestem w niebezpiecznej kompanii. Powinienem za każdym razem, kiedy się spotykamy, pokropić cię święconą wodą. Ale zmieńmy temat. Powiedz mi, co tu we wsi sądzą o moim koledze pastorze? Są między nimi także przyzwoici ludzie. Ale chcę usłyszeć prawdę, a nie taką odpowiedź, jaka twoim zdaniem by mi się spodobała.

— Tego rodzaju odpowiedzi ojciec nigdy ode mnie nie usłyszysz — rzekł Sean. — A co do pytania... Jego anglikańską wielebność nienawidzą tutaj jak truciznę. I to dotyczy nie tylko zażartych katolików, ale nawet wielu z nich, którzy dla różnych przyczyn schlebiają pastorowi.

— No cóż, powiedziane bez ogródek. Czybyś mi powiedział, gdyby moi parafianie z czasem doszli do tego, żeby i mnie nienawidzić jak truciznę?

— Powiedziałbym. Jeśli ojciec chce, mogę dać na to rękę.

Gdy ojciec O'Leary i Sean doszli do muru okalającego ogrody i gazony dworu Boyne, szykowny pojazd pędem przejechał obok nich. Siedziała w nim wystrojona kobieta nie

pierwszej młodości, ale nadal bardzo przystojna, bynajmniej nie krępując się zmierzyć wzrokiem z uznaniem nieznanego mężczyzny, choćby i księdza. Ojciec O'Leary odwrócił się, by popatrzeć za pojazdem.

— Gospodyni Wintera — poinformował Sean, uprzedzając pytanie.

— Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że posiada sporo zalet — zauważył ksiądz.

Sean prychnął śmiechem.

— Ale jej wady są bardziej interesujące.

Młodzieniec wiedział, że nie wolno mu wejść do dworu od frontu. Przy innej sposobności chętnie by się na ten temat posprzeczał ze zgorszonym angielskim kamerdynerem, ale tym razem wołał być pewnym, że go nie wyrzucą za drzwi. Poprowadził więc ojca O'Leary'ego furtką w murze do bocznych drzwi. Dzięki temu uniknęli na szczęście spotkania z Józefem pracującym na podjeździe. Seana zawsze drażniło, że matka zmusiła Józefa do przyjęcia takiej służebnej pracy, a to, co zdarzyło się wczoraj, bynajmniej sytuacji nie złagodziło. Kamerdyner zostawił przybyłych w pomieszczeniu, które zapewne było czymś w rodzaju bawialni dla służby, sam zaś poszedł szukać pana Wintera. Nie przyszłoby mu nawet do głowy wpuścić ich do wykładanej dębową boazerią biblioteki albo do pokoju śniadaniowego, a tym bardziej do biało-złocistego salonu, tak samo, jak nie wpuściłby takich wieśniaków przez frontowe drzwi.

## VII

W godzinę później Sean wrócił do domu, śledzony ważnym spojrzeniem Pat, która przy tej sposobności również wślizgnęła się cichutko do kuchni, licząc na to, że powrót brata każe matce zapomnieć o jej niegrzeczności wobec Michała i jego konia.

- No i co, porządnie ci tam uszu natarli we dworze?  
— powitała go O'Donovanowa.
- Niezupełnie — odparł Sean, dorzucając z uśmiechem:  
— Pewno się matka ucieszy: niewieleśmy wskórali.  
— Niczego się też nie spodziewałam. Co on mówił?  
— Wiadomo, że nie możemy zwać winy na żołnierza. Biedny chłopak! Ktoś wetknął mu do ręki śmiercionośną broń i mocno postraszył na dokładkę. Domagamy się, aby poborca podatków, który zażądał sprowadzenia żołnierzy z bronią, był oskarżony o zabójstwo i żeby Kościół irlandzki wypłacił odszkodowanie rodzinie. Oczywiście prawdziwym winowajcą był Winter...
- Jezus Maria! Nie byliście chyba takimi durniami, żeby to napisać — przerwała O'Donovanowa.
- Nie, nie. Jasne było nawet dla takich durniów, że on nie zalegalizuje oskarżenia przeciw sobie...
- Nie gadaj tak uczenie. Co to ma znaczyć?
- Nie zgodzi się, by go oskarżać. I nie zgodził się wnieść sprawy przeciw poborcy. Powiedział, że w tym nie było jego winy. I że jeżeli ludzie opierają się prawu, nie powinni się dziwić, gdy broń wystrzeli. Podarł podanie na naszych oczach.
- A czegoż innego oczekiwałeś? Ojciec O'Leary nie powinien cię być zachęcać...
- Od człowieka, który siebie nazywa szlachetnie urodzonym — ciągnął Sean — oczekiwałem przyzwoitego traktowania i poważnego rozpatrzenia naszego podania, a nie pogardy ani też propozycji, jaką zrobił, że pokryje koszty pogrzebu...
- Powiedział tak? I zrobi to? Sean nie odpowiedział matce wprost.
- Odrzekłem, że nie potrzebujemy jałmużny — rzekł.
- Przyszliśmy do źródła sprawiedliwości, którym powinien być rząd, tylko że nim nie jest w tym kraju...
- Nie cofnął swojej propozycji? — nalegała O'Donovanowa.
- Nic więcej o tym nie mówił. Ale my i tak nie przyjmemy pieniędzy, którymi chce nas zmusić do milczenia.

— Ja decyduję, co przyjmiemy, a czego nie — odparła O'Donovanowa. — A ty się przestań wtrącać.

Pat siedziała na swoim legowisku, machając nogami i pieszcząc uszy Dana, całkiem cichutko, by jej przypadkiem nie wyrzucono z kuchni. Przysłuchiwała się pilnie. Chowiała na przyszłość, jak wiewiórka orzechy, wiadomości. Nie wszystko rozumiała — „źródło sprawiedliwości?” — ale chwytiała słowa. Gdy je znów usłyszy kiedyś później, pojmie ich znaczenie.

Na chwilę gniew złagodniał w oczach Seana.

— Ten ojciec O'Leary nie da się zjeść w kaszy żadnemu intendentowi ani sędziemu — powiedział z uznaniem. — Kiedy go Winter zapytał, czy do Kilegad przybył, by wzniecać niepokoje, on odrzekł: „Nie, tu pod dostatkiem niepokojów bez wzniecania. Ale jeśli są niepokoje, to nie będę od nich uciekał, zwłaszcza gdy chodzi o moich parafian”.

— Och, wy mężczyźni! — wykrzyknęła O'Donovanowa i machnęła sobie przed nosem ręką, jakby mężczyźni byli muchami, od których trzeba się oganiać. — Wszyscy myślicie, że jesteście mądrzy z waszym bezczelnym gadaniem. Ale nigdy nie sięgniecie po rozum do głowy, zanim otworzycie wasze głupie gęby. Gadacie, gadacie i co z tego? Czy pan Winter nie wyrzucił was obu ze swego domu?

— Najpierw jeszcze wygłosił kazanie o tych niewielu, którzy są filarami prawa, i o tych wielu, którzy prawo wyzywają. A więc trzeba ich uspokajać choćby siłą, aby nie wzięli góry. Nagle odwrócił się do księdza i dodał: „Wielebny Ffolliott mi mówił, że ksiądz uważa się za przeciwnika gwałtów. Przypuszczam więc, że ksiądz jest również przeciwnikiem łamania prawa?”

— A co ojciec O'Leary?

Sean parsknął śmiechem.

— Powiedział, że tak, jest przeciwnikiem gwałtów zadawanych przez władzę tak samo, jak przez każdego innego! A co do łamania prawa, owszem, ogólnie biorąc sprzeciwia się temu również. Ale nie jest w tej sprawie ciasnym fanaty-

kiem. Winter nic *mu nie* odpowiedział. Po prostu zostawił nas i wyszedł.

— Coś mi się zdaje, że ja więcej zyskałam od dworu niż wy, chociażby nie wiem jak sprytny był ten cały ksiądz. Widzisz?! — O'Donovanowa podsunęła Seanowi pod nos brytfankę, w której spoczywała gotowa do pieczenia ćwiartka baraniny. — Ty twoimi klótniami nie zyskałeś od nikogo nic oprócz kazania, na które zasłużyłeś! A ja, siedząc cicho, nie wadząc nikomu, dostałam list z kondolencjami i kilka takich wybornych posiłków, jakich dawno...

— Matka to dostała od Wintera?

— A skąd by?

— I matka sobie wyobraża, że ktokolwiek w tym domu będzie to jeść? — głos mu się zmienił od gniewu.

— Ja sobie wyobrażam, że tylko jeden mógłby być takim durniem, aby nie jeść!

— Zabite mięso w zamian za zabite mięso! — Sean teraz już krzyczał. — Rano żołnierz zabija człowieka! W nocy pies zabija jedną z owiec Wintera, mówili o tym we wsi! I on posyła nam kawał poszarpanej przez psa owcy, by nam zamknąć usta, byśmy nie protestowali z powodu zamordowania ojca!

Sean chwycił brytfankę. Matka nie puszczała. Ciągnęli każde w swoją stronę. Pat przyglądała się z żywym zainteresowaniem. Dan skakał dookoła, szczekając, jak zwykle psy, gdy ludzie się kłócą.

— To mięso... to jedzenie... my... — krzyczała O'Donovanowa.

— Krew ojca jest na tym! Nikt w tym domu, nikt, nawet Dan...

Sean szarpnął mocno. Brytfanka wyslizgnęła się z rąk kobiety, a ta, próbując ją odzyskać, potknęła się, upadła na jedno kolano. Sean nawet się nie zatrzymał. Wypadł z domu, chwycił łopatę po drodze i pobiegł, kulejąc mocno. Pat podbiegając do matki, która płakała z irytacji i upokorzenia, dostrzegła kątem oka, że Dan wymknął się za nim.

— Ten twój brat zgubi nas wszystkich — narzekała O'Donovanowa, wspierając się na dziecku i podnosząc, a tak mówiła, jakby Sean i Pat nie byli jej dziećmi. — Ja bym wyciągnęła sporo od pana Wintera opowieściami o „biednej wdowie” i paru łzami. Twardy z niego człowiek, ale jak wielu twardych mężczyzn, nie lubi scen. Ale Sean jest podobny do ojca. Nie chce zrozumieć, że tacy jak my nie mogą walczyć z dworem.

Tego wieczoru zleciła Józefowi, żeby za pośrednictwem kamerdynera, gospodyni albo panicza Michała przekazał swemu pracodawcy jej podziękowanie za propozycję pokrycia kosztów pogrzebu i żeby powiedział, jaki to ciężar spadł jej z serca.

Po ucieczce z baraniną Sean nie wrócił do domu. Dan przybiegł sam. Noc zapadła, a syn nie wracał. O'Donovanowa nadal opłakiwała przed każdym, kto chciał słuchać, stratę baraniny.

Śpiącą Pat obudził hałas. Sean, próbując wślizgnąć się do domu, kiedy matka już się położyła, przewrócił po ciemku stół i sam się rozciągnął jak długi, do hałasu dodając litanie, której go pewno nie w seminarium nauczyli. Zamiast wkraść się potajemnie do domu, narobił gwałtu! Dan, na swoim zwykłym miejscu w nogach dziewczynki, zaszczekał. Obudzona hałasem O'Donovanowa powiedziała z pogrózką w głosie:

— Przez tydzień nic nie dostaniesz do jedzenia. Jutro możesz się wynosić skoro świt!

Sean, a i Pat wiedzieli, że matka dotrzyma słowa. Młodzik wzruszył w ciemności ramionami. Ojciec O'Leary podzielił się z nim choćby kawałkiem chleba. W rzeczywistości nie miało to być potrzebne. Pat już sobie planowała w sprytnej główce, jak ściągnąć jedzenie dla brata, jak mu je nosić na pole albo pod żywopłot. Ułożywszy wszystko ku własnemu zadowoleniu, zasnęła.

Był szary świt, kiedy się obudziła. Jak zwykle sięgnęła ręką do Dana, by psa popieścić na dzień dobry. Ale Dana nie było tego ranka. Pat przetarła oczy, rozejrzała się po kuchni. Drzwi uchylone. Wracając nocą, Sean widocznie nie domknął...



Chwyciła spiesznie spódniczkę, uderzona pewną myślą. Dan... byle nie obudzić matki... ale Dan... Ominęła przewrócony przez Seana stołek, zabrała bat Eoina, oparty o ścianę, przecisnęła się przez uchylone drzwi, nie otwierając ich szerzej, by zawiasy nie zaskrzypiały... Teraz puściła się pędem, jak najszybciej... Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, dokąd pobiegł Dan. I nietrudno było odgadnąć, gdzie Sean...

Tak, jest Dan, w samym środku zagajnika. Kopie przednimi łapami tak zaciekle, że tylko ziemia fruwa i kamyki... Pat okrążyła go cichutko i podkradła się z tyłu. Pies był tak zajęty, że jej nie spostrzegł. Dziewczynka chwyciła go za obrożę lewą ręką, prawą smagnęła batem przez grzbiet. Dan zakomlał, wyrwał się. Pat nie puściła. Smagnęła znowu. Naprawdę, ją samą to bolało, ale musiała. Tatuś jej kiedyś powiedział, że to jedyny sposób: złapać psa na gorącym uczynku i mocno zbić. Nic innego nie zmusi go, by porzucił to, co Sean tu zakopał. Dziesięć razy bat wznosił się i spadał. Z posępną zaciętością Pat zaciągnęła Dana do domu i zamknęła go w stajence z oślicą.

Gdy Eoin wyszedł na pole, Pat zaniósł Danowi jedzenie. Wzięła psa do kąta, pieściła go i długo, długo mu tłumaczyła, o co chodzi. Odtąd, ilekroć biegał po polach, Dan szerokim łukiem omijał zagajnik.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### 1

Ojciec Pat był tylko jedną z setek ofiar wojny o dziesięcinę. W lutym 1834 roku, w utarczce z policją w Pallaskenry w hrabstwie Limerick, trzech wieśniaków zabito, a dwudziestu raniono. Ale z upływem czasu cierpliwość Irlandczyków się wyczerpała i władze nie mogły wymusić posłuchu. W Mullinahone, w hrabstwie Tipperary, chłopci odpędzili policję. W Thomastown wygnali poborców, geometrów, zniszczyli instrumenty miernicze. Ożyła irlandzka tradycja gwałtownych wystąpień przeciw zaborczemu uciskowi i przeciw każdemu, kto zaborcom pomagał. Poborców tu i ówdzie wysmagano batami, do pastorów Kościoła irlandzkiego strzelano, kaleczono bydło należące do chłopów, którzy płacili dziesięcinę. Najemnicy i służba domowa odmawiali pracy u dziedziców, którzy współdziałali, jako sędziowie pokoju lub w innym charakterze, w ściąganiu dziesięcin.

Wreszcie to, co się zdarzyło w Rathcormack w hrabstwie Cork, przybrało rozmiary masakry. Wdowy, od której władze chciały ściągnąć zaledwie 40 szylingów zaległości w dziesięcinie, broniła cała okolica. W otwartej bitwie z żołnierzami padło dwunastu wieśniaków, siedmiu odniosło śmiertelne rany, a trzydziestu pięciu lżejsze obrażenia. Żołnierze również ucierpieli. To w końcu, wraz z wiecem protestacyjnym, na który sto tysięcy dzierżawców i wieśniaków — z tego pięć tysięcy konno — przybyło z całego południa, maszerując zwartymi szeregami jak wojsko — przekonało rząd, że ma do czynienia

nie z poszczególnymi wypadkami oporu, lecz z groźbą wojny domowej.

W roku 1838 uchwałą parlamentu zmniejszono wymiar dziesięcin o jedną czwartą i polecono ściąganie należności właścicielom ziemskim razem z czynszem dzierżawnym.

W karczmie we wsi Kilegad przed kościołem — jak we wszystkich karczmach w całej Irlandii — rozprawiano z zapalem o nowej ustawie. Karczma była podła: nie bielone ściany, całe umeblowanie to zwykłe deski wsparte na dwóch skrzynkach zamiast lady, długi stół na krzyżakach i kilka stołków. Przychodzący tu mieli niewiele miedziaków do wydania, a z rzadka tylko zdołali namówić karczmarza, by im zborgował. Inni oczekiwali, że sąsiad, który właśnie sprzedał wieprzka, postawi im piwo, jeszcze inni po prostu uciekali od starców i niemowląt, niedożywionych, więc kłótniowych i płaczliwych. A każdy w swojej nędzy znajdował pociechę, że ich sąsiad żyje w takiej samej niedoli.

Rej w dyskusji wodził Sean O'Donovan, teraz dwudziestotrzyletni. Jako miejscowy poeta i filozof, wykształcony najpierw w seminarium, a później własną pilnością, Sean chociaż niewierzący, stał się jakby uosobieniem ideologicznego sumienia całej okolicy. Więcej nie mógł osiągnąć. Dowództwo w sensie wojskowym było mu niedostępne. Prócz tego, że utykał na nogę, teraz jeszcze zaczął kasłać i pluć krwią, co jednak starannie ukrywał przed rodziną.

— Ta uchwała świadczy, że można coś osiągnąć — dowodził Sean — jeśli ludzie trzymają się razem i konsekwentnie obstają przy swoim. My w Kilegad nie świecimy przykładem, ale w innych hrabstwach...

— A co ta uchwała nam właściwie daje? Tyle, że ściągać dziesięciny będzie teraz dziedzic, kiedy dawniej to robiły władze — wtrącił John Barry. Wysoki wzrost i grube kości tego wieśniaka świadczyły, mimo zapadłej piersi i przygarbienia, jakim dorodnym mężczyzną byłby w każdym innym kraju, nie doprowadzonym przez ziemiam i władze do sytuacji, w której świnie na sprzedaż karmiono lepiej niż ludzi, bo ci nie byli na sprzedaż.

— Ziemianie nie dadzą dziesięciny do czynszu, w każdym razie niewielu z nich — odparł Sean. — To by im tylko utrudniło zbieranie czynszów. Sprytnie to sobie władze obmyśliły, trzeba im przyznać!

Na to odezwał się Terence Murphy, karczmarz:

— A to wszystko dowodzi, że jeśli się jest cierpliwym, to we właściwym czasie i tak się dostaje to, o co tutejsi dzierżawcy chcieli się bić, może pójść do więzienia, nawet zginąć, jak twój ojciec, Seanie...

Murphy był jednym z dwóch obecnych mężczyzn — drugim był sklepikarz Sullivan — których kości nie przykrywała sama tylko skóra. Katolik Murphy na ogół z powodzeniem lawirował, by nie zrażać współwyznawców, a jednocześnie być w łaskach Wintera, od niego bowiem jako urzędnika państwowego i sędziego zależało przyznawanie licencji na wyszynk.

Sean aż się najeżył na taki egoizm Murphy'ego.

— Gdyby inni nie walczyli, wszyscy byśmy nadal płacili dziesięciny — warknął. — Co za tchórzowska wieś!

— To kobiety. One się boją, że jak ich mężowie i synowie wpadną w tarapaty, one stracą dach nad głową. A Winter jeszcze je kusi tymi zupami — wtrącił inny z wieśniaków, Denis O'Grady, który dzielił chatę z siostrą. Zamiast lewej dłoni miał żelazny hak.

Sean nic nie odpowiedział. Jego matka do takich właśnie kobiet należała.

— Bo w tych stronach za dużo heretyków — dodał Barry.

— Heretyków? Co to jest heretyk? — podjął Sean. — To po prostu religijna mniejszość w danym społeczeństwie. W Anglii katolicy, w Irlandii protestanci. Nie winię naszych protestantów za to, że są heretykami, a tylko za to, że z nich pieczeniarze, a nie prawdziwi Irlandczycy!

— Zwolnienie od dziesięciny dla mnie przyszło za późno — powiedział posepnie Thomas Kelly.

Każdy wiedział, że Kelly miał powody do narzekania. Był jeszcze bardziej wygłodzony i gorzej odziany niż inni. Ponieważ nie *mógł* zapłacić dziesięciny, wyrzucono go przed

dwoma laty z gospodarki. Teraz najmował się do byle jakiej pracy u ludzi prawie tak samo biednych jak on i często jako całą zapłatę za dzień pracy dostawał kartofle do kapelusza, by nakarmić żonę i czworo dzieci, z którymi mieszkał w nędznej przybudówce, użyczonej przez współczującego sąsiada.

— Ojciec O'Leary jest przeciwny wszelkim gwałtom.

— Sullivan próbował przerzucić na księdza winę za bierność wsi. Jak Murphy, sklepikarz starał się nie zrazić ani wieśniaków, ani dworu.

— Ksiądz jest przeciwny zadawaniu cierpienia komukolwiek, człowiekowi czy zwierzęciu — odrzekł Sean. — Nie mówię, że się z nim w tym nie zgadzam. Ale nie sprzeciwia się innym formom oporu...

— Takim jak...? — spytał Murphy.

Sean wskazał palcem najpierw na karczmarza, potem na sklepikarza:

— Na przykład takim: żebyście wy dwaj odmawiali obsługiwania kogokolwiek, chociażby ze dworu, kto sprzeciwia się woli całej wsi.

— Musimy z czegoś żyć — bronił się pośepnie Sullivan. Ale obaj, on i Murphy, szurali nogami, kręcili się niespokojnie i wyglądali przez małe kwadratowe okienka.

— Irlandia tylko wtedy zyska cokolwiek, gdy Irlandczycy będą gotowi umrzeć za sprawę, jak umierali dawniej

— odparł Sean.

— W każdym razie walka się skończyła — Murphy próbował zakończyć dyskusję. — Teraz możemy spokojnie...

— Dziesięciny to wcale nie koniec walki. To dopiero początek! — oznajmił Sean. — Dopiero wtedy będzie koniec, gdy wieśniacy z powrotem staną się właścicielami swojej ziemi i gdy Irlandczycy, a nie Anglicy, będą rządzić krajem.

Odstawił kufel i zwrócił się ku drzwiom. Barry, O'Grady i Kelly wyszli za nim.

— Może i masz rację, Seanie — powiedział Barry.

— Musimy być gotowi do dalszej walki.

— Nie mam nic więcej do stracenia — rzekł Kelly. — Gdyby była możliwość, poszedłbym walczyć z tymi, którzy ograbili mnie i moje dzieciaki.

— Żaden z nas nie ma wiele do stracenia, jeśli już o to chodzi — zauważył O'Grady. — Ale trudna to robota kogoś przekonywać. Jak powiedziałem, najgorzej z babami...

— Musimy je przekonać, zwłaszcza te młodsze, jeszcze niezamężne — powiedział Sean. — Pouczam moją siostrę. Ona będzie zupełnie inna niż matka. Teraz ma dopiero dwunasty rok, ale za parę lat...

Ci dwaj, których Pat kochała najbardziej, ojciec i Sean, od wczesnego dzieciństwa kładli jej do głowy, że wrogiem jest Anglik — ziemianin, intendent, żołnierz, policja, sądy, rząd. Zamordowanie ojca uczyniło ją mimo dziecięcego wieku nieubłaganą.

— Gdy dorosnę, zginie za niego sześcioro — powiedziała Seanowi wkrótce po pogrzebie ojca.

I Sean postanowił pielęgnować w niej ducha zemsty. Nieważne, czy jej groźba zostanie zrealizowana dosłownie: oko za oko, ząb za ząb. Istotne było pragnienie: Irlandia wolna, jej wieśniacy w dobrobycie! Bardziej realnie myślący niż ojciec O'Leary, Sean zdawał sobie sprawę, że tego marzenia, o którym śniły setki tysięcy rodaków, nie uda się urzeczywistnić bez przelewu krwi. Był też o tyle rozsądny, że nie wychowywał dziecka w duchu patetycznego patriotyzmu ani też nie zarażał jej goryczą spowodowaną własną fizyczną nieudolnością. Na razie zadowalał się opowiadaniem o legendarnych i historycznych bohaterach Irlandii.

— Niechaj ten zaczyn w niej przefermentuje — mówił swym towarzyszom. — Jeśli będę żył jeszcze parę lat, by nią pokierować, to zobaczycie, że Kilegad będzie się chlubiło swoją Joanną d'Arc, tylko bez „głosów" i mistycyzmu.

— Chciałbym z księdzem zamienić parę słów — powiedział pan Winter, kierując swą wypielegnowaną śliczną klacz w stronę kościatego, źle utrzymanego wierzchowca, którego dosiadał ksiądz. Każdy z mężczyzn trzymał w rękę szklaniczkę, do połowy napełnioną złocistym trunkiem. — To właściwie należy do Ffolliotta — ciągnął Winter. — Ale on twierdzi, że nie chce się wtrącać do spraw cudzych parafian. Prawdę rzekłszy, wydaje mi się, że on się po prostu trochę księdza boi!

— A czym to się kłopotce wikary z Kilegad, niedoszły biskup? — spytał ojciec O’Leary.

Winter zignorował kpinę.

— Chodzi o tę parę waszych parafian, Kevina O’Reilly’ego i Molly Maginn, którzy... hm, hm... żyją razem, ale hm, hm... bez ślubu, prawdziwy skandal...

— Najmilsza, najszczęśliwsza para w naszej parafii — wtrącił gładko ksiądz. — Czy sądzi pan, że byłoby inaczej, gdyby się pobrali?

— Ale, o ile wiem — zaprotestował Winter — ona jest... to znaczy, spodziewa się dziecka.

— W danych okolicznościach to nie żaden cud — odparł ojciec O’Leary z całym spokojem. — A cóż by pan chciał, żebym ja tu zrobił?

— No, czy nie mógłby ich ksiądz jakoś rozdzielić?

— Rozdzielić?! — Ojciec O’Leary podniósł swoją szklaniczkę i przepił do intendenta. — Whisky i kobiety, panie Winter, są dowodem, że Bóg darzy ludzkość współczuciem. Dla wielu jedynym dowodem. Chyba nie wypada ani mnie, ani panu, nieprawdaż? ani Kevinowi O’Reilly odrzucać to osłodzenie naszego losu...

Jakby dla podkreślenia aluzji z drugiej strony do Wintera podjechał niespokojny ogier, na którym siedziała bokiem gospodyni dworu Boyne, pani Elżbieta du Maurier, której mąż, Francuz, zmarł w rok po ślubie. Urodziwa kobieta udawała,

że interesuje się czymś przed domem, ale ojciec O'Leary dostrzegł, że tylko głowę zwracała w tamtą stronę, a oczyma zerkala ku nim.

— Takie poglądy nie pasują do duchownej sukienki — powiedział sentencjonalnie Winter. — Tych dwoje daje zły przykład innym młodym.

— Mało kto z młodych jest w podobnym położeniu — odparł ksiądz. — Kevina O'Reilly'ego zmuszono do małżeństwa. Ta kobieta wcale nie była w ciąży, co więcej, okazała się w ogóle bezpłodna, a na dokładkę jędza. To są fakty. Sprawdziłem je osobiście, nawet rozmawiałem z jego żoną. Nie dziwię się, że rzucił tę babę. Nie mogę zalegalizować jego związku z Molly, ale to, że ona nie jest jego prawną małżonką, to jeszcze nie powód, by pozbawić dziecko dobrego ojca.

— Więc jeśli ksiądz nic nie chce zrobić, to ja się do tego zabiorę! — wykrzyknął Winter, teraz już z gniewem. — On dzierzawi moją ziemię obok O'Donovanów.

Wbił ostrogi w końskie boki i odjechał, a pani du Maurier za nim. Ojciec O'Leary powiódł za nią wzrokiem, nie mogąc powstrzymać zachwytu. Siedziała na pięknie utrzymanym wierzchowcu wyprostowana i wyniosła, kasztanowate włosy ujęte w siatkę nad karkiem, oczy i usta wyzywające, pogardliwe.

„Musi być w moim wieku — rozmyślał ksiądz. — A jaką ma jeszcze figurę! Co za kształty! Winter, ten nieznośny hipokryta, wydaje się równie dobrym znawcą koni, co i kobiet. Ale nie dam sobie zepsuć tego dnia”.

„Ten dzień” należał do rzadkich okazji, kiedy cała okolica była jednomyślna. Kłopoty, nędza, różnice zdań, wrogość i niechęć — wszystko szło w zapomnienie w dzień polowania na lisa. Kto żyw dosiadał byle jakiego wierzchowca, by za psami przyłączyć się do pościgu. A kto nie mógł jechać konno, pędził — włącznie z dziewczętami wiejskimi — przez pola na przelaj, skrótami, choć rzadko kiedy zdążył być obecnym przy zabiciu zwierzęcia, ale czasem jeszcze w porę, by zobaczyć, jak łowczy wysoko wznosi odciętą skrważoną kity.



Tego kwietniowego dnia zgromadziło się wyjątkowo dużo ludzi, bo było to ostatnie polowanie sezonu. I Bóg, który współczując pocieszał mężczyzn whisky i kobietami, w swej dobroci zapewnił również czyste niebo i ciepłe wiosenne słońce. Winter wiedział, czego się po nim spodziewano. Nim psy ruszyły, postawił hojny poczęstunek — whisky i pieczony drób na gazonie przed domem dla ziemian w czerwonych lub czarnych kurtkach i białych bryczesach, piwo i gotowany boczek na kuchennym podwórzu — dla wieśniaków, karczmarza i sklepikarza.

Ojciec O'Leary nigdy nie opuścił żadnego polowania, toteż pożyczyl kościastą szkapę ze stajni w Trim. Jeszcze w skromnym majątku ojcowskim nauczył się wybornie jeździć konno. Mawiano w Kilegad, że ksiądz jeździ na ślimaku lepiej niż niejeden mężczyzna na wierzchowcu pełnej krwi.

Służba dworska znosiła z długiego talerze ze stosami obgryzionych kurzych i indyjskich nóg, zabierała od jeźdźców kielichy opróżnione z ładunku sztucznej odwagi. Pospólstwo wyłaniało się zza węgła dworu, ocierając usta wierzchem ręki.

Sean O'Donovan stał razem z Kevinem O'Reillym, tak niedawno potępionym — gdyby o tym wiedział! — przez Wintera. Przypatrywali się karczmarzowi i sklepikarzowi, Murphy'emu i Sullivanowi, jak na sztywnych nogach gramolą się na szkapy. Józef dwoił się i troił, tu przytrzymał niespokojnego konia, tam dopomógł starszemu mężczyźnie dosiąść wierzchowca. Eoin i Seamus stali razem po drugiej stronie gazonu. Przyszli John Barry i Denis O'Grady, był też biedaczysko Thomas Kelly, gajowi Edwin Curran i George Keefe, obaj na koniach z dworskiej stajni.

Ojciec O'Leary, zręcznie powodując koniem, podjechał do Seana.

— To chyba jedyna okazja, kiedy prawie cała parafia zbiera się razem — powiedział. Potrząsnął głową i westchnął.

— Bóg musi kochać ubogich: tylu ich namnożył!

— Ma pod dostatkiem chętnych pomocników w tym mnożeniu! — zakpił Sean i spytał: — Czy mam przygotować kazanie na niedzielę, ojczu?

Sean zarabiał niekiedy po parę szylingów pisaniem kazań, bez różnicy — dla katolickiego księdza i dla protestanckiego pastora; dla pierwszego, ponieważ ten się lenił, nazbyt rozmówiony w „pociechach od Boga zesłanych”, dla drugiego, ponieważ był tępym nudziarzem.

— Nie, ty bezbożniku—odrzekł z uśmiechem proboszcz. — Przyznaję, że potrafisz zręczniejszo od innych słowa wiązać, ale doszedłem do przekonania, że kazania i tak są stratą czasu na wsi irlandzkiej. Tylko umierający troszczą się o swoją duszę. Bogaci wolą doglądać swych nieuczciwie nabytych dóbr doczesnych, a ubodzy za bardzo są zajęci wysiłkiem utrzymania skóry na swych kościach.

Tylko dwie osoby z Kilegad nie lubowały się w polowaniach na lisy, a i to dla różnych powodów. Wielebny Horacio Ffolliott udawał, że nie może patrzeć na ściganego zwierza, ponieważ wolał tak się wymówić, niż przyznać, że cierpi na hemoroidy i wskutek tego nie może jeździć konno. Unikał więc polowań, a przy tej pięknej pogodzie zorganizował tego dnia we własnym zacisznym ogrodzie pierwsze w roku zebranie Koła Protestanckich Matek.

Pat O'Donovan miała natomiast zasadniczy powód. Cierpiała rzeczywiście z każdym zdyszonym skokiem skazanej na śmierć ofiary nieubłaganej psiej sfory i złaknionych krwi jeźdźców. Stała teraz o kilka kroków za Seanem, przygryzając wargi, przestępując z nogi na nogę, niespokojna i zdenerwowana. Mężczyźni muszą walczyć, ranić, zabijać. Wszystko to wydawało się jej, pilnej słuchaczce opowieści Seana o dziejach Irlandii, naturalnym prawem ludzkiej dzungli.

Ryby trzeba łowić, do zwierzyny strzelać, domowe zwierzęta szlachtować. To rozumiała. Ale niedorzeczna pogoń dwudziestu lub trzydziestu jeźdźców i tłumu pieszych za jednym małym zwierzęciem — była bezsensownym okrucieństwem.

Trzymany na mocnej linie Dan, którego przyrodzone instynkty znowu były w sprzeczności z wolą jego młodej pani, szarpał się na uwięzi.

Dwunastoletnia Pat wyrosła już z wieku dziecięcego. W twardej walce, jaką było życie dla irlandzkich wieśniaków, młodzi dojrzewali wczesnie, przynajmniej pod względem sprytu, przebiegłości i oporu wobec brutalności władz. Ale Pat nie była jeszcze młodą kobietą. Jej wysokie, ale szczupłe ciało, niedostatecznie odżywiane, zaledwie zapowiadające kobiecość, prawie chłopięce, wiernie odzwierciedlało jej lata. I tylko oczy, czujnie obserwujące, w ocienionej głębi skrywające namiętną naturę, świadczyły, że wiek niewinnej beztrojski przeminał.

Dzieciństwo skończyło się dla niej w chwili śmierci ojca, który ją kochał i nauczył cenić urodę życia mimo jego trudów i surowości. Sean kierując nią, poróżnił ją z matką i braćmi — Eoinem i Seamusem, zwykłymi leniwymi samolubami, i nawet z Józefem, na pozór pozbawionym ducha oporu.

Pat poznała może bliżej od innych dzieci w jej wieku, co to podstęp, obłuda, ucisk i okrucieństwo. Ale jak pielęgniarka staje się odporna na choroby, których atmosferą oddycha, tak i Pat uniknęła zarażenia bakteriami podłości. Może dlatego, że wzorami do naśladowania byli dla niej zmarły i wyidealizowany przez nią ojciec i żywy brat, eks-seminarzysta, który może wątpił w Boga, ale wierzył w ludzkość.

Pat patrzyła na Michała Wintera, teraz siedemnastoletniego wysokiego młodzika o męskiej, surowej urodzie i zamysłonej twarzy. Dosiadał wierzchowca dumnie i zdawał się niecierpliwie czekać na hasło do rozpoczęcia polowania. We wsi mało go ostatnio widywano. Przebywał w szkołach w Anglii, spędzał tam również często u swoich dziadków wakacje albo też z kuzynami wyjeżdżał na kontynent. Wychowywano go odpowiednio, by zajął należne mu miejsce w swojej sferze. Pat uśmiechnęła się na wspomnienie — bardzo odległe, jak jej się wydawało — psot, jakie mu spletała do spółki z Danem.

Dojeżdżacze ruszyli sforę wzdłuż alei prowadzącej do dworu. Jeźdźcy za nimi, a piesi na końcu. Sean zwrócił się do siostry:

— Dla nas dosyć. Ja nie mogę, a ty pewno nie zechcesz.

Józef, z młodym parobkiem do pomocy, zabrał się do grabienia trawników i naprawiania szkód wyrządzonych na murawie i żwirze podjazdu, a Sean poszedł w stronę domu. Ale Pat, znalazłszy się za wielką bramą, powędrowała w innym kierunku. Wcale nie chciała się przypatrywać łowom, ale musiała wiedzieć, jak się skończą. Raz tego roku miała tę satysfakcję, że widziała polowanie zakończone ucieczką lisa. I teraz miała nadzieję wbrew nadziei, że może uda się jej jakoś dopomóc nieszczęsnemu zapędzonemu stworzeniu i ocalić je od klów psiej sfory i noża myśliwego.

Pościg pędził w kierunku zagajnika na wzniesieniu, gdzie często zwierzyzna znajdowała kryjówkę. Psy węszyły między krzewami, a dojeżdżacze czuwali, śledząc, w którą stronę ofiara będzie uciekać. Jeźdźcy przystanęli na skraju zagajnika, a piesi jeszcze wspinali się pod górę.

Głos rogu myśliwskiego zabrzmiał czysto i donośnie. Pat zakryła usta ręką i powstrzymała oddech.

— Znaleźli go — powiedziała do Dana, szarpiącego się na lince. — Widzisz! Tam pognał lis, a teraz psy. On pędzi przedź, zawsze tak na początku. Ale psy są wytrwalsze.

Na wpół z własnej woli, na wpół z woli Dana Pat doszła do skraju opustoszałego teraz zagajnika, skąd mogła śledzić dalszy przebieg polowania. Jeźdźcy rozwinęli się długą linią po zieleniejącym nierównym pastwisku, wierzchowce wyciągnięte w pełnym galopie.

— Pięknie wyglądają — rzekła Pat. — Czemu by nie mogli jeździć dla samej przyjemności jeżdżenia, bez torturowania biednego małego zwierzęcia.

Ojciec O'Leary pierwszy przesadził niski żywoplot, za nim Michał, pani du Maurier i Winter. Mniej odważni jeźdźcy skręcili ku przerwie w ogrodzeniu, zgromadzili się tam, przejeżdżając pojedynczo. Psy przedostały się przez zieloną przeszkodę, ale lis je znacznie wyprzedzał. Następny

żywoplot był wysoki, gęsty i kolczasty. Lis się prześlizgnął, ale psy i jeźdźcy musieli pojechać do szerokiej furty, którą jeden z dojeżdżaczy otworzył. Lis dużo zyskał na odległości.

— Po tamtej stronie, na następnym wzgórzu, jest drugi zagajnik — Pat dzieliła się rozmyślaniami z Danem, który skakał i skomlał obok niej. — Może lis ma tam norę. Wów czas byłby bezpieczny.

Ale gdy psy wpadały do zagajnika z jednej strony, lis ukazał się z drugiej, zawrócił i pognał ku wsi, tam gdzie na końcu stał protestancki kościół.

— Odegnąły go od jego nory — rzekła Pat. — Lis skręca, żeby okólną drogą znowu tam wrócić.

Pogoń rwała całym pędem, w zapamiętaniu, na czele nadal ojciec O'Leary, pani du Maurier i Michał, tuż za sforą. Daleko z tyłu piesi dostrzegli lisa, zaczęli krzyczeć i uderzać kijami o ziemię. Ale lisa dosięgnąć nie mogli, zwierzę biegło dalej.

Pat zawróciła i pognała w stronę, w którą kierował się lis. Nie była od niego daleko. Sfora i jeźdźcy znajdowali się czterokrotnie dalej.

Wkrótce nie było już wątpliwości: lis zmierzał do ogrodu pastora Ffolliotta. Pat nie miała czasu, by rozmawiać z Danem, i tylko pomyślała: „Czy on sobie wyobraża, że tam będzie bezpieczny? że nikt się nie odważy połamać żywoplotu pastora, stratować jego róż?”

Pat biegła pod kątem do trasy lisa, była zupełnie blisko zwierzęcia. Ale lis zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na nią ani nawet na Dana, który wywiesił jęzor i nie miał już siły nawet skomleć. Kundel nie był wytresowany do wyczerpujących biegów. I lis chyba zwalniał. Sfora, chociaż jeszcze się nie przybliżyła, w każdym razie już nie traciła na odległości.

Dziewczyna dopadła żywoplotu pierwsza. Dostrzegła z tuzin kobiet siedzących kręgiem na ogrodowych krzesłach wokół pastora, który z książką w rękę opierał się o stół. Wydało się, że nic nie wiedzą o przybliżającym się do nich polowaniu. Nagle jedna z kobiet wrzasnęła, zerwała się

z miejsca, chciała wskoczyć na krzesło, ale upadła, a krzesło przewróciło się z nią, jakby przywarło do jej siedzenia. Lis przeleciał nie zauważony przez ludzi. Reszta kobiet pośpieszyła tej pierwszej na pomoc.

Psy przedostały się przez żywopłot. Pastor siedział jak osłupiały, niezdolny do poruszenia, oburzony z powodu najazdu i pewno przerażony. Tuż obok Pat, ukrytej między drzewami, koń wspiął się do skoku. Do ogrodu, prosto na pastora. Kobiety rozpierchły się krzycząc wniebogłosy. Ffolliott chwycił oburącz za stół i tak trwał, jak sparaliżowany. Jeździec wydał potężny okrzyk:

— Wycza!

Zbrojne w podkowy kopyta, koński brzuch — wzniosły się nad głową Ffolliotta. Tylna noga zdarła mu okrągły sztywne kapelusz, który pofrunął wirując prosto na grządkę truskawek. I wreszcie wielbny Ffolliott poruszył się — rzucając się na płask w trawę, okrywając rękoma głowę, jakby się obawiał, że koń skręci w powietrzu i wróci, by na nim wylądować. O'Leary, schylony nisko nad końskim karkiem, odwrócił na sekundę głowę i wybuchnął potężnym śmiechem na widok przygody „drogiego brata w przeciwnościach”. I pognął za sforą, by wyskoczyć z ogrodu przez żywopłot po drugiej stronie.

### III

Pozostali jeźdźcy, przezorniejsi od księdza, zatrzymali się przed żywopłotem. Pani du Maurier śmiała się z pastora tak bardzo, że Michał podjechał, by ją podtrzymać, bo w ataku wesołości gotowa była spaść z konia. Winter zsiadł, spojrzął z dezaprobatą na zaśmiewającą się gospodynię i przelazł przez ogrodzenie, by ratować pastora.

Pat pobiegła wokół ogrodu, ciągnąc Dana, który by wolął gnać za sforą. Upłynęło parę minut, zanim pogoń uformowała

się znowu. Po drugiej stronie ogrodu psy zatrzymały się zbite z tropu.

— Straciły ślad. Bywa tak czasem, że ślad słabnie nie wiadomo dlaczego — mruknęła Pat.

Biegła ku otwartym wierzejom stodoły, skąd miałyby dobry punkt do obserwacji. O wiosennej porze stodoła stała prawie pusta. W ścianie naprzeciw wejścia, blisko metr nad ziemią, kilka ułamanych desek odsłaniało dziurę, co Pat zauważyła mimochodem, gdy zajmowała strategiczną pozycję wewnątrz, tuż przy otwartych drzwiach. Psów i jeźdźców nie było jeszcze widać, skrywał je sad pastora. Ale Pat słyszała głosy dojeżdżaczy nawołujących psy do szukania zgubionego śladu.

Nagle Dan skoczył w górę, naprężając linkę nieomal do uduszenia. Pat odruchowo przytrzymała go, chociaż linka wpiła się jej boleśnie w rękę. Ruda błyskawica przeleciała obok niej przez drzwi. Dan szarpnął i zaskomlał zdławionym głosem. Pat odwróciła się, ujrzała lisa w kącie; futerko splamione potem, ogon opuszczony, ale wąski pysk wzniesiony, kły wyszczerzone, czarne oczki wpatrzone w Dana.

— Prędeziej, głuptasie, przez tę dziurę! — krzyknęła Pat, pędząc go w tamtym kierunku.

Lis przemknął się wzdłuż ściany, znalazł złamaną deskę i znikł.

W mgnieniu oka Pat zamknęła drzwi od zewnątrz, zasunęła drewnianą zasuwę. Sfora już nadbiegała. Pat spuściła Dana — teraz już nikomu krzywdy nie zrobi ani też jemu nic się nie stanie. Lis musiał już być daleko. Psy naszczekiwały wokół Pat, skacząc do drzwi i skomląc. Dziewczynka stała nieustraszona przed sforą.

„Im dłużej je tu przytrzymam, tym większą szansę dam temu biedakowi” — pomyślała.

Michał i ojciec O’Leary byli pierwsi.

— On wpadł tutaj — rzekł Michał. — Odejdź od tych drzwi, mała!

Pat stała, wyzywając sforę i obu mężczyzn. Inni nadjeżdżali. Michał rzucił cugle księdzu, zeskoczył z wierzchowca, kop-

nał na bok parę psów, machnął szpicrutą i chwyciwszy Pat za ramię, próbował ją odciągnąć. Broniła się zązarcie, próbowała go ugryźć w rękę. Chwycił jej drugie ramię, odciągnął siłą, wlokąc nogami po ziemi. Jeden z dojeżdżaczy otworzył drzwi. Psy rzuciły się do stodoły, ale przez wyłamaną deskę mogły się przeciskać tylko pojedynczo.

Ojciec O'Leary nie zamierzał stać i trzymać konia Michałowi. Owinął cugle wokół słupa i razem z panią du Maurier poprowadził jeźdźców dookoła stodoły. Ci z pieszych, którzy znaleźli się przed ogrodem pastora wówczas, gdy się tam zatrzymano, teraz poszli skrótami, omijając stodołę. Polowanie trwało.

— Ale teraz go już nie złapiecie! — rzekła wyzywająco Pat do swego zwycięzcy.

Michał nie puszczał dziewczyny. Przypatrywał się jej uważnie.

— Ty jesteś od O'Donovanow — powiedział. — Zmar nowałaś całe polowanie. Nie pierwszy raz mam z tobą pora chunki. Pamiętam, jak kiedyś przez ciebie spadłem z konia. Czas, byś dostała porządną nauczkę.

— Niech cię diabli! Puszczaj mnie! — krzyknęła.

Wyrwała jedno ramię, próbowała paznokciami sięgnąć do twarzy Michała. On chwycił ją za włosy, odciągnął w tył. Mocnymi ramionami podniósł ją z ziemi, przerzucił sobie przez ramię. Kopała; przytrzymał jej nogi. Bębniła z całych sił pięściami po jego plecach, gdy niósł ją do stodoły. Położył ją twarzą na dół na stos worków w kącie, jedną ręką przyciskał jej kark, jedną nogą przydusił jej nogi. Podniósł długą spódnicę.

— Ty świnię! Jak śmiesz! Puszczaj! — darła się Pat.

Wrywała się i kopała, ale wszystko nadaremno.

— Gdybym nie odłożył szpicruty, lepiej byś to poczuła! — powiedział zdyszany. Jego ramię wznosiło się i opadało kilka razy, zadając mocne ciosy w jej gołę, żałośnie chude pośladki. Wciąż walczyła, ale nawet nie pisnęła z bólu.

— Obiecałem ci to lanie! — powiedział, puszczając ją wreszcie.



Przez chwilę leżała bez ruchu, zdyszana, wyczerpana. Wstrzymywała ze wszystkich sił łzy, których nie chciała okazać — łzy bólu, gniewu, upokorzenia.

Michałowi gniew minął. Nagle ogarnęło go współczucie dla tego biednego, chudego ciała, na którym znaczyły się czerwone ślady uderzeń jego dłoni. Odruchowo wyciągnął rękę... Zerwała się z worków, opuściła spódniczkę, zwróciła się do niego z płonącymi oczyma:

— Nie waż się mnie dotknąć — powiedziała. — Jestem tylko dzieckiem, ale wiem dobrze, co mężczyźni twego po kroju robią... nawet małym dziewczynom.

Wyszedł ze stodoły, ignorując jej wołanie:

— Aleś odważny! Zbić młodszą dziewczynę to akurat to, na co potrafisz się zdobyć!

Słyszała, jak dosiadł konia. Uklękła i przez dziurę w wylamanej desce patrzyła, jak odjeżdża galopem. Drżącymi od wstrzymywanych łez wargami zawołała:

— Nienawidzę cię! Nienawidzę! Ja... — i łzy popłynęły strumieniem. Ale ze łzami spłynęło trochę upokorzenia i nienawiści.

— Miał co prawda rację, lanie mi się należało — przyznała. — Zepsułam im polowanie. Ale drugi raz zrobiłabym to samo!

Zastanowiła się i doszła do przekonania, że jego wyciągnięta ręka miała załagodzić sprawę, nie co innego. I trzeba mu przyznać, że wspaniale jeździ konno. Potem rzekła sama do siebie szyderczo:

— Głupia jesteś. Tacy jak on potrzebują takich jak ty tylko po to, by ich deptać!

Pat nikomu się nie przyznała do zajścia.

Kiedy Eoin i Seamus wrócili pod wieczór do domu, opowiedzieli, jak to przez Pat polowanie się nie udało, ostatnie polowanie sezonu! O'Donovanowa natychmiast wytargowała ją za uszy i posłała spać bez jedzenia. Dziewczynka przyjęła karę bez protestu i tylko pomyślała, już leżąc w łóżku:

„Warto było. Wszystko razem, warto było. A ten Michał niech tylko poczeka, aż dorosnę. Już ja mu pokażę!”

W nogach na posłaniu Pat Dan kręcił się i skomlał cicho przez sen. Wrócił do domu kulejąc, obszarpany, wymęczony, resztki linki zakręcone wkoło przednich łąp. Ale i on miał dobry dzień.

#### IV

Winter nie rzucił słów na wiatr, gdy groził księdzu, że sam zajmie się sprawą Kevina O'Reilly'ego i Molly Maginn. W trzy dni później kazał wyrzucić „grzesznika” z jego ubogiej dzierżawy. Tego samego wieczora Sean wrócił do domu, doprowadzony do białej pasji. Tylko matka, Eoin i Pat byli w kuchni.

— Przeklęty hipokryta! — wykrzyknął. — Trzyma ko biętę pod tym samym dachem, pod którym leży jego chora żona. Nie ma nawet na tyle przyzwoitości, by swoje kochanki zabawiać w Dublinie!

Pat podniosła twarz znad kubka z maślanką i z wolna oblizała białe wąsy na górnej wardze.

— Nie twoja rzecz! — burknęła O'Donovanowa.

— niesprawiedliwość, podłość to sprawy obchodzące każdego! — odparł Sean.

— Jeżeli chcesz brać troski każdego na własne barki, to do niczego w życiu nie dojdiesz — powiedziała matka. — I tak się co prawda na to nie zanoszą. Ale czy ty nigdy nie potrafisz skorzystać z okazji, kiedy ci się nadarzy? Dobrze, że ktoś w rodzinie jeszcze to potrafi, bo nie wiem doprawdy, gdzie byśmy...

Sean spojrział bystro, podejrzliwie.

— Okazja? Jaka tu może być okazja?

— Taki już dureń z ciebie, że pytasz? — wtrącił się Eoin. Siedział przy stole naprzeciw Pat, przymocowując nową linkę do biczyska. — Bierzemy w dzierżawę ziemię po O'Reillym, obok naszej.

— Ja biorę, nie: my bierzemy! — poprawiła go matka. Brwi Seana zbiegły się na czole, szeroko, z niedowierzaniem otworzył oczy.

— Matka...? Matka weźmie ziemię, z której angielski rządca wyrzucił Irlandczyka?

— Co mnie to może obchodzić, dlaczego ziemia jest do wydzierzawienia? Po prostu jest wolna, do wzięcia. To wszystko, co chcę wiedzieć.

— Czy matka nie ma sumienia? Ani żadnej przyzwoitości? I po co matka tak często łązi do kościoła? W innych hrabstwach Irlandii ludzie by się do matki plecami odwracali, nawet sklepikarz nie sprzedałby matce...

— Tu nie są „inne hrabstwa” — rzekł szyderczo Eoin.

— Tu jest Kilegad. Za wielka nędza, by...

— Są wsie, gdzie jest jeszcze większa bieda niż w Kilegad, a przecież ludzie czują się Irlandczykami, patriotami...

— Patrioci! — warknęła z pogardą O'Donovanowa.

— To właśnie największy kłopot w tym kraju. Mamy za wielu patriotów, a za mało rozsądnych pracujących ludzi. Byłbyś pewnie rad, gdyby ci patrioci zwrócili się przeciw twojej matce.

— Czy matka nie pamięta — zapytał Sean bardzo spokojnie, nie dlatego że jego gniew przycichł, ale dlatego że chciał, by jego słowa dotknęły ją mocniej — jak w dzień śmierci ojca powiedziała, że będzie trzymać to, na co pracowała? Czy matka nie rozumie, że inni czują tak samo, gdy muszą utracić to, na co pracowali?

— Milcz! O'Reilly stracił dzierzawę, bo żył w jawnym grzechu, zanim ja w ogóle pomyślałam o wzięciu tej ziemi — powiedziała O'Donovanowa. — To jego sprawa. Kiedy o tym usłyszałam, postanowiłam wziąć ziemię, nie wcześniej. Muszę dbać o rodzinę.

Eoin machnął ręką w stronę brata i puknął się w czoło.

— To te książki — rzekł. — Jak alkohol. Co za dużo, to niezdrowo.

Milczenie Seana było milczeniem między dwiema armatnimi salwami.

— Możesz sobie powiedzieć, że jestem chciwa na ziemię — mówiła O'Donovanowa. — Wcale się tego nie wstydzę. Chcę mieć ziemię, więcej ziemi. Sprzedałabym wszystko prócz duszy, żeby...

— Jeśli matka weźmie ziemię Kevina, to matka zaprzeda duszę i honor — powiedział Sean, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. — I ja wyprę się matki, opuszczę ten dom...

— Ty mi grozisz? Ty opuścisz ten dom? Myślisz, że się tego boję? A co z ciebie za pożytek? Idź sobie i możesz być tak szlachetny, jak tylko chcesz i gdzie chcesz, tylko nie unos się honorem tutaj i moim kosztem.

— Czy to ostatnie słowo, matko? — spytał Sean prawie cicho, ale z groźbą w głosie. — Weźmie matka ziemię Kevina?

— Wezmę ziemię, która była przedtem ziemią Kevina, i wezmę każdą ziemię, jaką będę mogła wziąć zgodnie z prawem!

Sean stał przez chwilę patrząc na nią w milczeniu. I wyszedł do drugiej izby.

Kubek Pat pozostał do połowy pełny. Wiedziała, że ten spór wygania Seana z domu.

Jej ułomny brat, już z zawiązanym na węzeł tobołkiem pod pachą, wszedł z powrotem do kuchni. Bez słowa wziął kij, wsunął go pod węzeł i zarzucił sobie tobołek na ramię. O'Donovanowa przypatrywała mu się z pogardą. Eoin spojrział niepewnie na matkę. Sean podszedł do drzwi i załadował sobie jeszcze na plecy harfę.

— A nie wracaj nawet, kiedy ci honor minie — rzekła O'Donovanowa. — Nie będzie tu dla ciebie ani jedzenia, ani spania. Od tej chwili nie jesteś moim synem.

Pat zsunęła się ze stołka, podbiegła do Seana.

— Nie zostawiaj mnie! Zabierz mnie z sobą...

— Chodź tu zaraz! I marsz do łóżka! — rozkazała matka.

Dziewczynka nie ruszyła się. Sean położył jej rękę na ramieniu.

— Ja będę żył jak te ptaki i lisy, moja mała. Ty...

— Ja też to potrafię i mogę gotować dla ciebie.

Uśmiechnął się do niej:

— Nigdy nie słyszałem, żeby lisy i ptaki coś sobie gotowały — powiedział. — Zostań, siostrzyczko. Może nie będę daleko.

Pochylił się, by pocałować jej włosy, i odszedł.

Pat leżała tego wieczora, zatykając sobie uszy, by nie słyszeć gorzkich, pogardliwych uwag o jej ukochanym Seanie, których nie szczędzili ani matka, ani najstarszy i najmłodszy z braci. Tylko Józef milczał.

A raniem Pat znikła — i Dan oczywiście także.

## V

Gdy Sean, przygarnięty na noc przez ojca O'Leary'ego, pienieł się wciąż jeszcze z gniewu z powodu planów O'Donovanowej, ksiądz — bez przekonania, ale w dobrej intencji — starał się udowodnić, że każdy problem ma dwie strony.

Siedzieli w gabinecie, który zmienił się trochę od dnia przyjazdu O'Leary'ego: przybył wygodny fotel, serwantka na kieliszki i butelki, parę dobrych sztychów, półki z książkami wzdłuż dwóch ścian, na kominku fajki i tytoń. Całość sprawiała wrażenie przytulnego ciepła.

— Arabowie mają takie przysłowie — opowiadał ksiądz. — Ten całuje w rękę, kto nie może jej ugryźć.

— Dopóki ludzie, jak moja matka, będą tak postępowali, jakby wcale nie mieli zębów — odparł Sean — na nic pójda wysiłki wszystkich z zębami.

— Ona postępuje słusznie z własnego punktu widzenia — powiedział ksiądz. — Z punktu widzenia własnej zapobiegliwości.

— Zapobiegliwości! — wykrzyknął Sean. — Ależ to chciwość! Matka jest chciwa i skąpa. Ona ma pieniądze, wiem, że ma, a my zawsze jesteśmy głodni i świecimy łatanymi spodniami. Człowieku, ona by z pchły potrafiła skórę zedrzeć. Pokłó-

ci się z tobą, ale będzie ci wymyślała tylko po to, by przez ten czas jej oślica skubała twoją trawę. Ksiądz uśmiechnął się i westchnął:

— Naturalna to rzecz, że mężczyźni rwą się do walki, a kobiety zagarniają swoje młode pod skrzydła.

— No, tu jest jedno z jej młodych, którego więcej pod skrzydła zagarniać nie będzie.

Kiedy rankiem obaj mężczyźni siedzieli przy śniadaniu, weszła stara gospodyni księdza, prowadząc za rękę Pat z nieodłącznym Danem, płaczącym się pod nogami.

— Mała nie chce odejść, dopóki nie zobaczy się z bratem — powiedziała.

Pat podbiegła do Seana:

— Ja nie chcę wracać do domu! Nie zostanę tam! Chcę być z...

— Nie możesz — odparł niecierpliwie Sean. — Przecież ja nie mam gdzie własnej głowy złożyć!

— Jest opuszczony drewniak po Doyle'ach — wykrztusiła dziewczynka. — Pojechali za morze. Drewniak teraz nie należy do nikogo. Stoi na ziemi gminnej, owce się tam czasem przed deszczem chowają. Byłam tam dziś rano. Są dwie izby. Nad jedną nie ma właściwie już dachu, ale jeśli wyprowadzę tę drugą, to moglibyśmy...

— Życ jak lis w norze to nie dla takiego dziecka — wtrącił ksiądz. — Twój brat jest na tyle dorosły, że może o sobie decydować i sam sobie radzić. Ale ty... Odprowadzę cię do matki.

Chwyciła brata za rękaw.

— Nie pójde. Nie odsyłaj mnie!

— Muszę — powiedział Sean, teraz serdeczniej. — Może kiedy będę wiedział, co ze sobą pocznę... Teraz będziesz mi tylko przeszkadzać.

Pat zmierzyła go uważnym, jakby kalkulującym spojrzeniem, przycisnęła jego rękę do policzka i posłusznie podeszła do ojca O'Leary'ego.

Ksiądz i dziecko razem z Danem poszli wiejską ulicą, skręcili w boczną drogę, prowadzącą do gospodaraki

O'Donovanow i do zabudowań, dawnej należących do Kevina O'Reilly'ego. Pat nagle pokazała palcem:

— Tam, proszę ojca, gęsi, ooo!

Kiedy ojciec O'Leary, nie dostrzegłszy żadnych gęsi, spojrział znów na dziewczynkę — Pat z Danem już się przecisnęli przez żywopłot i pędzili na przełaj przez pole. Ksiądz puścił się w pogoń. Podarł spodnie i musiał się zorientować, że jego tusza i zadyszka nie sprostają lekkim nogom dziecka. Potrząsnął głową, uśmiechnął się do siebie i machnąwszy ręką, pomyślał:

— Jeśli mała pójdzie w ślady brata, to nie tylko ta wieś usłyszy nazwisko O'Donovanow. Nieprzeciętny dzieciak. Ma charakter!

Późnym popołudniem Sean, przeszukawszy wszystkie ulubione przez Pat zakątki, ze znużeniem zawlókł swoją chromą nogę i swoją harfę do dawnej chałupki Doyle'ow. Powitało go radosne szeczekanie skaczącego Dana. Podłoga z surowych zniszczonych desek była pozamiatana, a Pat układała posłania z liści w dwóch rogach izby naprzeciw wejścia.

— Później przyniosę deski, a ty nam porobisz prycze — powiedziała. — Józef da nam koce, kiedy matki nie będzie w domu.

Ani słowem nie usprawiedliwiła swego nieposłuszeństwa. Czuła dobrze, że Sean chciał ją zatrzymać przy sobie i że jej miejsce jest przy nim. Próbował ją odpedzić — według swego pojęcia nie we własnym interesie, ale dla jej dobra.

Jak ojciec O'Leary, Sean zdał sobie teraz sprawę, że na jej upór nic nie poradzi. Jeśliby ją jeszcze raz odesłał, gotowa by spać w rowie. Wskazując na lśniącą nową szczotkę do zamiatania, która stała przed chałupką zapytał:

— Skąd to wzięłaś?

— Od Sullivana, kiedy plotkował z karczmarzem Murphym. Ja tylko ją pożyczyłam.

— Czy Sullivan wie, że ją pożyczyłaś?

— Właściwie nie, ale...

— Żadnych „ale”. Musisz zwrócić, odnieś ją natychmiast! Opowiedz mu, co chcesz. Zrób to, a będziesz mogła tu zostać.

## VI

Eoin i Seamus nie oparli się pokusie rozpowiedzenia po całej wsi o zamiarach matki co do dawnej gospodarki Kevina O'Reilly'ego. Toteż wieczorem w karczmie Murphy'ego wszyscy rozprawiali tylko o tym. Sean zostawił Pat i Dana śpiących na legowisku z liści, a sam przyszedł do karczmy. Nie przyłączał się do potępień rzucanych na jego matkę ani też jej nie bronił. A gdy postanowiono, że John Barry, Denis O'Grady, jeszcze jeden drobny dzierżawca nazwiskiem James Byrne, Kevin O'Reilly i Thomas Kelly pójdą, aby namówić O'Donovanowa do zaniechania projektu — Sean poszedł razem z nimi i sam nie wiedział, czy idzie, by dopilnować, żeby jego matce nie wyrządzono żadnej krzywdy, czy też dlatego, by poprzeć protest.

Ale kiedy po drodze O'Reilly wyraził przekonanie, że O'Donovanowa „zaraz ścichnete, gdy się dowie, co gadają sąsiedzi”, Sean ostrzegł:

— Nie bądźcie tego tacy pewni. Matka łasi się do Wintera, ale potrafi być twarda.

Dom był już zamknięty na noc, ale przez szpary w drzwiach dolatywało migotanie świecy. O'Reilly zabębnił pięścią w okiennicę.

— Kto tam? — głos O'Donovanowej.

— Twój syn! — krzyknął Barry.

— Ci trzech, których za moich synów uważam, są tu ze mną. O'Grady zaczął walić w drzwi swoim żelaznym hakiem.

— Jak mi drzwi wyłამiecie, to policję na was sprowadzę! — zagroziła właścicielka.

— Lepiej otworzyć, to się zaoszczędzi masę kłopotów! — rzekł O'Reilly.

Szczęknął odsuwany rygiel i O'Donovanowa, z rękoma na biodrach, stanęła w drzwiach.

— Czy to nie za późno na towarzyskie odwiedziny? Czego, u Boga Ojca, wy właściwie chcecie?

— Tylko pogadać z matką — powiedział Sean.



Mężczyźni wpełnęli się do kuchni. Eoin znikł pod łóżkiem matki. Józef i Seamus siedzieli dalej na zydlach wokół pustego stołu.

— Przy piwie lepiej by się gadało — odpowiedział O'Grady, rozglądając się wokoło.

— Sądząc po tym odorze, który wnieśliście z sobą — odparła O'Donovanowa — mieliście go już dość jak na jeden wieczór. Więc czego chcecie? I bez marudzenia! O tej porze każdy przyzwoity człowiek kładzie się spać.

— Na tę wiadomość, jakąśmy dzisiaj usłyszeli, to nam włosy dęba na głowie stanęły! — rzekł Byrne.

— Gdybyś miał na tyle wychowania, żeby zdjąć ten twój cuchnący kapelusz, jak tu wszedłeś, tobyśmy wszyscy widzieli, że na twojej głowie nie ma co stawać dęba! — zakpiła O'Donovanowa.

— Chcecie wziąć w dzierżawę moją gospodarkę — rzekł bez ogródek O'Reilly.

— To moja sprawa.

— My uważamy, że to nasza sprawa i sprawa całej wsi — powiedział Byrne. — Gdy jednego z nas eksmitują, wszyscyśmy powinni odmawiać dzierżawienia gospodarki po nim. Tak robi dobry sąsiad.

— I dla dobra sąsiada ma odmrozić sobie uszy, co?

— odparła O'Donovanowa. — Nie chcę się wcale z wami kłócić. Nie macie prawa tutaj przychodzić. Nie prosiłam was. I na nic się nie zda mnie straszyć.

— Wcale nie chcemy straszyć — rzekł O'Reilly. — Chcemy jasno postawić sprawę: jeżeli to zrobicie, cała wieś się od was odwróci. I nie wpuścimy was do sklepu Sullivana, a Eoina nie wpuścimy do karczmy.

Wydawało się, że O'Donovanowa zmiękła. Nawet jakby się uśmiechnęła.

— Może napijemy się herbaty. Józef, roznieć ogień, a ja pójdę po wodę.

Ledwie wyszła, Kelly chwycił Eoina za pięty i wyciągnął spod łóżka. Eoin siadł na podłodze, osłaniając twarz ręką jakby przed oczekiwany ciosem.

— Wstawaj, ty tchórze! — rozkazał Kelly i schylił się, by go podnieść.

Józef odwrócił się od kuchni i rąbnął Kelly'ego w głowę po grzebaczem. O'Reilly i Byrne rzucili się ku niemu: jeden potknął się o nogę stołu, drugi o zydzel. Seamus chciał uratować świecę, ale mu się nie udało. Izba pogrążyła się w ciemnościach.

Drzwi, za którymi znikła O'Donovanowa, otworzyły się. Rozległ się ogłuszający huk, czerwonożółty blask oświetlił na jedno mgnienie izbę, z sufitu posypał się tynk — O'Donovanowa poszła po strzelbę męża i teraz z niej wystrzeliła.

— Wynocha stąd! — krzyknęła. — Bo klnę się na Najświętszą Panienkę, że za drugim razem nie wystrzelę w górę!

Sean otworzył na oścież drzwi wejściowe.

— Ona dotrzyma słowa — ostrzegł. — Lepiej nie czekać.

Kelly, otrzeźwiony strzałem, wyskoczył pierwszy. Tuż za nim Barry i O'Grady. O'Reilly i Byrne próbując się wydościć, przewrócili stół na wciąż leżącego Eoina.

— Odstrzelę wam nogi, jeśli natychmiast nie pójdziecie precz! — wołała O'Donovanowa.

Miała nawet łatwiejszy cel. Dwaj mężczyźni leżli na czworakach do drzwi, wystawiając na strzał odwrotne strony swego medalu. Seamus skorzystał ze sposobności i kopnął każdego z całych sił.

— Niebezpieczna wariatka! Mogła nas pozabijać! — sa pał O'Grady, gdy już zatrzęsnięto za nimi drzwi.

Sean pokładał się ze śmiechu.

— Matka musiała się porządnie wystraszyć — wykrztusił. — Żeby tak uszkodzić własny sufit...

W domu Seamus odnalazł i zapalił świecę. O'Donovanowa powiedziała najprzód do Eoina ze współczuciem:

— Czy te bałwany nie poraniły cię?

A potem do Józefa:

— A ciebie, tumanie z widłami od kompostu, kto prosił, żebyś walił ludzi po głowie? Ten bandyta gotów mi jeszcze rachunek od lekarza przysłać! — I bezwiednie, w podniece-

niu, wyrwały się jej z głębi serca ciche słowa: — Sean i Pat więcej mają odwagi od was trzech razem wziętych.

Rozejrzała się szybko, żeby sprawdzić, czy ją dosłyszano. Trzy pary oczu, których szukała spojrzeniem, były od niej odwrócone. Oprzytomniawszy, położyła strzelbę na stole.

— Tak się z nimi trzeba rozprawiać. Nastraszyć, niech im wszystkie grzechy nagle staną przed oczyma! A księdza nie ma, by ich wyspowiadać! Nie będziemy mieć więcej kłopotów z powodu gospodarki Kevina O'Reilly'ego.

Istotnie nie było więcej kłopotów. Ale nie z powodu waleczności O'Donovanowej. Winter zabrał opróżnioną ziemię i dołączył ją do dworskiego pastwiska, przylegającego do dawnej gospodarki Kevina po przeciwnej stronie od O'Donovanów.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### 1

Pewnego niedzielnego ranka w roku 1842 Pat stała u wejścia do chatki, spoglądając w dół na zbocze murawy, gdyż jej prymitywny domek położony był na wzgórzu. Patrząc na nią z daleka, można by pomylić się co do jej płci, bo czarne włosy okryła czapką, taką jaką noszą chłopcy, a na nogach miała spodnie. Od kiedy zamieszkała z Seanem, przebrała się na stałe w taki praktyczny strój. Gorszyło to starsze kobiety we wsi — które prawdę rzekłszy, ubierały się mniej przyzwoicie, bo *pod Faldzistymi spódnicami nosiły* co najwyżej halki — i obudziło zazdrość wielu młodszych, którym matki lub mężowie surowo zabronili naśladowania takiej chłopczycy. Ale podszedłszy bliżej, obserwator stanąłby przed śliczną czarnooką irlandzką dziewczyną. Miała teraz szesnaście lat, była smukła, ale jej kształty zaczęły się już nieco wypełniać.

Z chaty dobiegł ciepły tenor Seana, śpiewającego starą balladę przy wórze harfy. Głos miał nie szkolony, ale o pięknej barwie, a słuch doskonały. Pat nuciła refren, lewą stopą postukując do taktu o drewniany próg. Brat i siostra byli nieodrodnymi dziećmi Irlandii, zawsze rozśpiewanej, gdzie w XIX wieku wieśniak często nie umiał czytać, ale znał poezje, ballady i pieśni. Nie na darmo harfa jest narodowym emblematem kraju.

Kevin O'Reilly, który razem z Molly Maginn i synkiem — rodzina miała się niebawem znowu powiększyć — zajmo-

wał drugą izbę, bardzo porządnie wyreperował całą chatę. Zdobył skądś — lepiej zbyt ściśle nie wglądać jakimi sposobami — różne materiały budowlane, pokrył dach, wstawił jeszcze dwa okna i drzwi, sklecił drewniane wyrka.

Choć Winter próbował rozbić jego szczęście, Kevin spadł na cztery łapy jak kot. Gdy go wyrzucono z dzierzawy, poszedł pracować za nędzne grosze u starego, schorowanego kowala w sąsiedniej wsi Kilmessan, tuż za rzeką. Kowal był wdowcem, a jego dzieci dawno wyemigrowały, toteż umierając w rok później, zostawił kuźnię swemu pomocnikowi. Ale z wdzięczności i przywiązania do Seana i Pat Kevinowie postanowili nie wyprowadzać się z chatki i mieszkali dalej wszyscy razem. Potężny chłop był z tego Kevina, silny i twardy jak dębczak — zupełne przeciwieństwo Seana. Połączenie krzepkiej tężyzny jednego z umysłowością drugiego stworzyło groźną spółkę. Kevin okazał się czynnym, nieustraszoną adiutantem i wykonawcą poleceń ułomnego suchotnika, filozofa, harfiarza i poety.

Sean zarabiał po trochu na życie pisaniem wierszy i ballad dla dublińskiego nacjonalistycznego tygodnika „Nation”. Wędrował też ze swoją harfą po okolicy, aż do Trim i Navan, by grać i śpiewać w karczmach, na jarmarkach, zabawach i weselach. Wieśniakom analfabetom pisywał listy do rodzin w Anglii lub Ameryce, a płacono mu ziemniakami, maślaną, a czasem ukradzionym kurczakiem. (Ojciec O’Leary powiedział kiedyś: chłopów i szlachtę łączy to, że jedni i drudzy jadają kurczęta, ale tylko szlachta płaci za nie i na tym polega różnica.) Sean sam nie kradł i nie pozwalał kraść Pat, ale jak mówił, za cudzą moralność nie ponosi odpowiedzialności.

Nadal czasem pisywał kazania dla ojca O’Leary’ego, który je wolał czytać niż układać. Wielebny Ffolliott szukał teraz natchnienia w książkach, gdyż pewnego razu Sean w łobuzerskim nastroju spletał mu złośliwego figla, wiedząc, że pastor nie zawsze przegląda przed wygłoszeniem napisane dla niego kazanie. Cała protestancka kongregacja — prócz jednego tylko obłudnie pobożnego Wintera — chichotała

ukradkiem, zakrywając usta dłonią, gdy Ffolliott stentorowym głosem wykrzykiwał z ambony podstępne słowa Seana:

— Obowiązkiem naszym jest, najmilsi bracia, postępować zawsze prostą a wąską ścieżką pomiędzy złem a dobrem.

Kowal posiadał małą dwukołową bryczuszkę i osła. Kevin oddał je Pat, która zarabiała po parę szylingów wożeniem torfu, żwiru lub obornika, a czasem dostawała zapłatę w naturze. Dwukółką woziła też brata do miasteczka. Niekiedy pewien szlachcic katolik, George Nolan, zamieszkały o pięć kilometrów od wsi, jeden z nielicznych sympatyzujących ze swymi ubogimi rodakami, zatrudniał Pat. Płacił dobrze, a jego żona obdarowywała Pat znoszonymi sukniami, które dziewczyna przeważnie oddawała komuś we wsi.

Wielu młodych wieśniaków zachodziło do Seana, który uczył ich miłości uciemnionej ojczyzny i wzajemnej odpowiedzialności wobec siebie. Pomagały mu w tym przede wszystkim legendy i ballady o dawnych irlandzkich bohaterach.

— Człowiekowi przystoi znać dobrze historię własnego kraju — mawiał. — Czy to będą dzieje triumfów, czy dzieje klęsk i cierpienia, na równi zachęcą go do służenia sprawie.

Jego pierwszym i najgorliwszym uczniem była Pat. Ale Sean nie tylko uczył ją historii; pragnął również, żeby jego siostra, w przeciwieństwie do matki, umiała cieszyć się życiemjakosam.

— Życ to jak grać na harfie — tłumaczył Pat. — Po trzeba jest wiedza i praktyka.

Kalectwo ograniczało jego „praktykę życia”, posiadał jednak niemały zasób wiedzy o starożytnej i nowej historii swego kraju.

Pat zawołała do brata przez ramię:

— Józef tu idzie! Czego on może chcieć?

W ciągu tych kilku lat, odkąd rodzeństwo opuściło ognisko rodzinne, Józef zaglądał czasem do ich chatki, zwykle z jakimś smakołykiem otrzymanym od kucharki we dworze Boyne. Szanował ich i kochał, a nawet zazdrościł im, ale nie potrafił ich naśladować. Ostatnio jego odwiedziny były rzad-

sze, bo O'Donovanowa dowiedziała się o nich i sterroryzowała syna. Sean spotykał niekiedy pozostałych braci w karczmie Murphy'ego, gdzie zwykle się sprzeczali i rozstawali w gniewie.

Matka nie wyciągała ręki do zgody. Surowo ganiła „cygańskie życie” dzieci, bo — jak twierdziła — stawiało to i ją w złym świetle. Nie pochwałała też działalności Seana, który zachęcał mężczyzn we wsi do aktywnego oporu, o czym donosili jej Eoin i Seamus. Oboje, Sean i Pat, parę razy przyszli ją odwiedzić, ale O'Donovanowa, dostrzegłszy ich z daleka, zamykała drzwi i udawała, że jej nie ma. Pat przestała uczęszczać do kościoła, a to było właściwie jedyne miejsce, dokąd chodziła jej matka. Nie lubiano jej we wsi. Gdy namyśliła się wydać parę miedziaków w sklepie Sullivana, posyłała Seamusa albo Józefa.

Toteż Pat zdziwiła się niemało, kiedy Józef powiedział już od progu:

— Matka chce was oboje zobaczyć. — Potem wyjaśnił: — Jest bardzo chora. Eoin i Seamus poszli na mszę, a ona wtedy nagle kazała mi pójść po was.

Wszedł do chatki. Panował tu ład i czystość, chociaż umeblowanie było więcej niż skąpe: dwa drewniane wyrka, prymitywny stół, piec kuchenny, znaleziony w jakiejś opuszczonej siedzibie i naprawiony w kuźni Kevina, wreszcie drewniane zydle, przyniesione przez mężczyzn ze wsi dla własnego użytku, by mieli gdzie usiąść, gdy przychodzili pogadać z Seanem, a właściwie posłuchać go. Tu właśnie, a nie w podejrzanej karczmie Murphy'ego, zbierali się najbardziej bojowi z wieśniaków.

— Wczoraj zachorowała — mówił dalej Józef. Był wysoki i ciemnowłosy, o cerze śniadej jak Pat, ale nos miał za długi, a podbródek zanadto cofnięty. Nie, niewiele było między nimi podobieństwa. Pat miała usposobienie dynamiczne, a Józefa cechowała bezwolna ospałość, jakby paraliżował go nieustanny strach przed matką, która zabierała mu wszystkie zarobki, i przed jego pracodawcą.

— Co jej jest? — spytał Sean.

— Gwałtowne bóle brzucha. Ona nieraz udawała, że jest chora. Pewnie po to, by nas więcej przywiązać do siebie. Ale tym razem to chyba nie jest udawanie. Inaczej nie posłałaby po was.

— Czy coś próbuje zaradzić na te boleści? — zapytała Pat.

— Sprowadziła starą babkę Hogarty...

— Tę przeklętą czarownicę? — wybuchnął Sean.

Stara Hogarty była stetryczalą, wysuszoną wiedźmą o zagiętym haczykowato nosie. Zgarbiona, zgięta prawie we dwoje, kuśtykała opierając się ciężko na lasce. Na ramieniu nosiła zawsze papugę, którą przed kilkunastu laty przywiózł jej zza morza syn marynarz. Urodziła tego chłopca, gdy cała wieść była pewna, że ta poczwara jest dziewicą; nie zdradziła też imienia ojca dziecka. Nie widziano nigdy, ani przedtem, ani potem, by się zadawała z jakimś mężczyzną. Niektórzy powiadali, że ojcem był Cygan włóczęga, inni — że sam diabeł. Papuga wydawała się równie stara jak jej właścicielka i miała równie mało piór, jak staruszka włosów na głowie.

We wsi wzywano babkę Hogarty do połogów i gdy kto z dzieci albo dorosłych zachorował. I wzywano ją nie tyle dlatego, iżby wierzono w jej moc uzdrawiającą, lecz aby nie rzuciła z zemsty uroku. Bo kto nie chciał jej pomocy, tego dręczyło skrzeczenie papugi siedzącej na ramieniu staruchy, która sterczała pod oknami, sepleniąc niezrozumiałe, ale dla zabobonnych wieśniaków przerażające przekleństwa. Wystawiali krucyfiksy przed drzwiami i prosili księdza, by pokropił domostwa święconą wodą. Ojciec O'Leary wyśmiewał ich obawy, ale robił, co chcieli.

— W każdym razie taka prośba dowodzi ich wiary — mawiał.

Józef opowiadał:

— Wydobyła jakieś amulety zza pazuchy i porozkładała je na posłaniu matki w starannie wybranych miejscach, cza sem coś przesuwać o parę cali na lewo albo na prawo. Potem ugotowała na kuchni śmierdzący wywar i kazała to



matce wypić. Obie, ona i jej papuga, cały czas skrzeczały jakiegoś zaklęcia. Przeraza mnie ta starucha.

Sean skrzywił się i burknął:

— To po prostu wstrętna, nachalna oszustka, która żeruje na ludzkiej naiwności.

## II

O'Donovanowa, zapomniawszy, że sama wzbraniała im wstępu do domu, przywitała rodzeństwo słowami:

— Nareszcie przyszliście!

Była to jedyna wzmianka o ich długiej rozłące.

— Będziesz mi potrzebna w ciągu dnia — mówiła dalej, zwracając się do Pat. — Musisz mnie doglądać i gotować ziemniaki. Eoin i Seamus nie mogą zostawić roboty w polu.

Skrzywiła się w spazmie bólu. Pat zabrała się do sprzątnia.

— Sprowadzę doktora z Trim — powiedział Sean, gdy atak trochę ustąpił.

— Żadnych doktorów mi nie trzeba — odparła ostro matka. — Zamknę drzwi i przykażę Eoinowi, by go nie wpuszczał. Dobrze sobie, doktor! Wyrzucanie pieniędzy w błoto. Stara Hogarty mi wystarczy. A jej się zapłaci paru łachami.

— To zła kobieta — zaprotestował Sean. — I matka nigdy nie wyzdrowieje, jeśli pozostawi leczenie w jej rękach.

— Hogarty jest prostaczką i nie będzie niczego owijać w bawełnę ani też gładko gadać jak ci uczeni doktorzy — odrzekła chora. — Hogarty powiada, że ja nigdy nie wyzdrowieję, z doktorami czy bez nich. Jeden więcej powód, by nie marnotrawić tych paru groszy, które uskladałam na czarną godzinę. I nie nazywaj jej złą kobietą. Wyparłeś się Boga i twoja siostra także, o ile wiem. A to ojciec O'Leary nie wpuszcza starej Hogarty do kościoła.

— Jej wstrętne wywary nie pomogą matce, tak samo jak jej przekleństwa i uroki nie zaszkodziły księdzu — rzekł Sean. — I jeśli tak, to rzeczywiście niewiele matka ma nadziei na wyzdrowienie!

Nowy spazm bólu wykrzywił twarz O'Donovanowej, skrzywił jej ciało. Sean pojął, że Józef miał słuszość, oceniając stan matki jako poważny. Mimo to nadal chciała rządzić losami całej rodziny. Odetchnęła głęboko, z ulgą, gdy spazm mijał, i zaraz powiedziała do Pat:

— We dworze Boyne potrzebują pomocy do kuchni. Poproś o tę pracę, ale nie idź w tych spodniach jak jakaś poganka. To będzie przyzwoitsza praca dla ciebie niż robienie się po okolicy na oślim wózku! Wstyd przynosisz rodzinie!

— Młode dziewczyny, które pracują we dworze Boyne, nie przynoszą zaszczytu swoim rodzinom — odparła Pat, podchodząc do łóżka z kubkiem herbaty dla matki. — Mabel Pearse przed trzema miesiącami tam poszła i teraz ma kłopot...

— Jaki kłopot? — spytała O'Donovanowa. Pat zachichotała.

— Jaki kłopot może mieć dziewczyna?

— Żadna dziewczyna nie wpakuje się w taką biedę inaczej jak przez własną głupotę — rzekła pogardliwie matka. — Bóg stworzył dziewczyny i mężczyzn także. Dobra katolicka dziewczyna winna pamiętać, do jakich celów Bóg ją stworzył. Pewno protestanci, jak ten młody Michał Winter, nie...

Pat przerwała jej z wybuchem...

— We dworze jest więcej mężczyzn, nie on jeden: lokaje, stangreci, różni!

Czuła, że rumieniec napływa jej na twarz, odwróciła się szybko, zakrzętnęła nad kuchnią. Sama nie mogła pojąć, co w nią wstąpiło. Od pamiętnego lania Michał ani razu nawet słowem się do niej nie odezwał. Ona zaś przyłapywała się na tym, że patrzyła i patrzyła — stukając paluszkami o drobne ząbki — gdy młody panicz jechał stępą przez pola albo galopował za psami na polowaniu; a potem nagle odwracała się

pośpiesznie, poganiała osła albo z zapamiętaniem ładowała wózek. Teraz dorzuciła prędko:

— A w ogóle to ja bym wolała raczej głodować, niż pracować we dworze Boyne!

Matka zmierzyla spojrzeniem zgrabną postać córki schylonej nad kuchnią.

— Na to się na razie nie zanosi. Sądząc po wyglądzie was obojga, wszystko co zarobicie, to wkładacie do gęby.

Rzeczywiście, brat i siostra przytyli ostatnio. A O'Donovanowa nie wiedziała nic o atakach kaszlu, które rozrywały nocami pierś Seana.

— A jak lepiej możemy zużytkować nasze zarobki?

— spytał Sean ostro. — Chować je do pończochy tak długo, aż się zestarzejemy i jakaś stara wiedźma nam powie, że już nie zdążymy ich wydać?

— Może kiedyś będziecie radzi z zawartości tej mojej pończochy — odpowiedziała. I nagle w jednej z tych niespodziewanych zmian humoru, odsłaniających jej prawdziwą naturę, przytłoczoną nędzą, której zaznała i której się wiecz nie bała, O'Donovanowa się uśmiechnęła. Na jej twarzy poja wił się cień urody i słodyczy, którymi przed trzydziestu laty zdobyła miłość męża. — Nie kłómy się — powiedziała. — Będę wdzięczna Matce Boskiej nawet za te bóle, bez względu na to, jak się skończą, jeśli dzięki mojej chorobie pojedna my się znowu i będziemy razem.

Pojednanie nie było jednak ani tak łatwe, ani tak zupełne, jak O'Donovanowa się spodziewała. Gdy Eoin i Seamus wrócili z kościoła, wcale nie byli zachwyceni obecnością Seana i Pat, o wezwaniu których matka ich nie uprzedziła. Dwoje marnotrawnych wracających na łono rodziny zmniejszyło ich udział w spadku, jeżeliby wkrótce miało stać się to, co przepowiadała stara Hogarty.

Pat przychodziła co dzień wczesnym rankiem do domu razem z Danem, starzejącym się już, ale wciąż pełnym temperamentu, pielęgnowała matkę i opiekowała się nią do chwili, gdy bracia wracali z pola. Józef często przynosił ze dworu garczek zupy, który miał reprezentować pogląd pana

Wintera na jego obowiązki wobec dzierzawców. Eoin i Seamus ledwie się odzywali do Pat, ale O'Donovanowa, bardzo chora, widząc cień śmierci nad sobą, była łagodna i wpadała w gniew tylko na wzmiankę o doktorze. Całą złość nagromadzoną w ciągu ciężkiego życia wyladowywała teraz na trzech pozostałych synach. Posunęła się tak daleko, że któregoś wieczoru, kiedy Pat już wyszła, nazwała Eoina i Seamusa leniwymi nicponiami marnującymi dobytek starej matki.

Oskarżała ich niesprawiedliwie. Synowie byli może wyrachowani, ale matka bez nich nie mogłaby prowadzić gospodarki. O'Donovanowa walczyła dzielnie o to, co w jej pojęciu było najważniejsze. Ale ceniła też odwagę i samodzielność Seana i Pat, chociaż ubolewała, że postanowili walczyć przeciw niej i przeciw prawu, któremu będąc posłuszna zdobyła to, co posiadała.

— Sean i Pat są hardzi — ciągnęła — wzięli naturę po mnie.

Nie chciała przyznać, że jej hardość rodziła się z lęku przed nędzą, a ich — z przyczyn znacznie szlachetniejszych: z szacunku dla samych siebie, lojalności wobec prześladowanych sąsiadów, miłości ojczyzny.

lii

Północ. We dworze Boyne głucha cisza. Tylko w dwóch oknach migotały blade światelka. Michał do późna czytał, teraz szykował się do snu. Lekkie stukanie, niewiele więcej niż muśnięcie, we drzwi jego pokoju.

— Kto tam? Rozbieram się...

Drzwi uchyliły się z lekka, Elżbieta du Maurier wsunęła się, zamknęła je za sobą i stanęła, oparta o nie plecami. Kasztanowate włosy rozrzucone na ramionach, szlafrok nieco rozchylony.

Michał był zaskoczony. W dwudziestym pierwszym roku życia nie znał jeszcze kobiety.

— Czego pani chce...?

Stała, patrzyła na niego, oddychała głęboko. Michał rozebrał się już do koszuli, miał na sobie tylko spodnie. Muskularny, o białej skórze, z jasnymi włosami na piersi, bez uncji zbędnego tłuszczu, którym już obrósł jego ojciec. Elżbieta liczyła sobie czterdziestkę, była zmysłowa, a ostatnio intendent, który właśnie wyjechał w interesach do Londynu, przestał ją zadowalać. Odpowiedziała bez ogródek:

— Dobrze wiesz, czego chcę i co mogę dać.

Utrzymanka nie może sobie pozwolić na to, by się zaniedbać. Elżbieta nie była już wiotką dziewczyną, ale jeżdżąc konno, grając w tenisa, zachowała świetną figurę. Piękna smukła szyja przechodziła w łagodną linię ramion, piersi duże, ale kształtne i jędrne, brzuch prawie płaski, biodra trochę zbyt szerokie, ale uda i nogi długie, silne.

Młody, normalny mężczyzna nie mógł nie zareagować na taką prowokację. Ale w Michale podniecenie mieszało się z czymś w rodzaju niesmaku. Dla niego to, co ojciec już odtrącał?! Znał stosunki łączące Wintera z gospodynią. Wiedział też, że we wsi przezywają intendenta obłudnikiem i szydzą z niego. I chociaż pani Winterowa pogodziła się z sytuacją, Michał czuł, że jego matkę zbrukano. Długotrwała choroba wypaczyła nieco jej usposobienie, ale Michał kochał ją głęboko. Była kobietą inteligentną, rozumną, obdarzoną ciętym dowcipem. On sam powziął młodzieńcze, idealistyczne postanowienie. W Cambridge, gdzie należał do reprezentacyjnej ekipy wioślarskiej, uważano go za dobrego kompana, hojnego, wesołego, o mocnej głowie, której byle kielich nie zakolysze, ale też pod jednym względem za dziwaka — nie chciał nigdy towarzyszyć wesołej kompanii w wyprawach na dziewczętą lekkiego prowadzenia.

Nie mógł jednak pohamować pożądania. Elżbieta dostrzegła to i uśmiechnęła się, spuszczając powieki. Podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami, w zupełnie rozchylnym

już szlafroku. Cofnął się o krok. Zaśmiała się niskim gardłowym śmiechem.

— Nie miałeś jeszcze kobiety, ale...

Przyjął to za drwinę. Gniew wziął w nim górę, uczynił go brutalnym.

— Ile masz lat? — zadał cios.

— Pierwszym przykazaniem młodych galantów — skarciła go, zmuszając się do łagodności — jest nie pamiętać o latach kobiety. Jestem na tyle młoda i na tyle stara, że mogę cię wiele nauczyć.

— Czy wyobrażasz sobie, że będę miał romans z kochanką ojca?

Teraz ona z kolei była urażona.

— Kto mówi o romansie? — odparła. — Tylko lekcja...

Wyciągnęła rękę, by położyć na jego piersi.

Znowu odstał.

— Proszę mnie zostawić! Proszę stąd wyjść! Ja nie chcę... nie mogę...

— Ale możesz, możesz... — zachichotała. Miałaby ją ten chłopak upokorzyć, odtrącić? Chwyciła go za ramię, pociągnęła *zaskoczony*, na *chwile* wytrąconego z równowagi, w stronę łóżka.

Pożądanie w nim wezbrało, ale gniew także, a wraz z nim — wstyd i obawa, by nie okazać się niezdarnym wobec tej wytrawnej kurtyzany. Będzie szydziła z jego niedoświadczenia. Wyrwał ramię, odwrócił się plecami.

— Proszę wracać do siebie — rzekł rozkazująco. — Bo zadzwonię na lokaja. Niech się cała służba dowie, kto przy szedł do mego pokoju i w jakim stroju. Dowiedzą się również ojciec i matka.

Winter nie potrzebował już towarzyski łoża — a w każdym razie nie jej. I chociaż sprawnie zarządzała domem, odprowadziłby ją teraz od razu w obawie skandalu. Elżbieta nie mogła sobie pozwolić na utratę wygód, dostatku, hojnej pensji. Owinęła się szlafrokiem. Michał podszedł do drzwi, otworzył je. Jej oczy płonęły wściekłością, usta zacisnęły się mściwie.

— Ty mały nędzniku! — jakby splunęła tymi słowami, przechodząc obok niego. I potrzęsnęła pięścią, za dużajak na kobietę. — Jeszcze tego pożałujesz!

Zamknął drzwi, nie słuchając.

Gdy Michał leżał w łóżku, gniew mu minął, wstyd ustąpił. Pożądanie pozostało. Przewracał się i kręcił, a wizja obietnic Elżbiety dręczyła go bezsennością.

— Jestem durniem, głupcem. Ona by nikomu nie powie działa. Nie ośmieliłaby się.

#### IV

Był lipiec. Świt nadszedł wczesny. Michał wstał, ubrał się, cichutko zbiegł po schodach i poszedł do stajni osiodłać swego wierzchowca.

„Może i głupiec ze mnie, ale się nie zbrukał — rozmyślał. — Chcę być pierwszym dla mojej żony... kiedy ją sobie znajdę. I ona może oczekiwać także...” — Dziwak, powiedziałiby jego koledzy studenci.

Uniwersytet w Cambridge nie był dla Michała „tryskającym źródłem wiedzy”. Nie czuł chęci do zdobywania scholastycznego wykształcenia, nie chciał być jednym z tych, którzy wiedząc wiele, mają tylko jedną ambicję: wiedzieć więcej. Na wykłady chodził sporadycznie, czytał francuskie powieści chętniej niż łacińskich i greckich filozofów. Nie zamierzał nawet zdawać egzaminu dyplomowego. Na nic mu to nie było potrzebne. Jak wielu innych zamożnych młodzieńców w owych czasach, posłano go na uniwersytet nie tyle po wykształcenie, ile po uformowanie na pewną modłę — jak formował go majątek w Irlandii, londyńskie kluby ojca, obiady wydawane przez stryjów, wyjazdy na kontynent. Miał odziedziczyć stanowisko ojca i musiał się przygotować do pełnienia jego obowiązków, do zajęcia jego miejsca w towarzystwie. Musiał umieć pić, grać w karty, jeździć

konno, polować, prawie komplementy nudnym kobietom i starcom.

Michał nie był wybitnie inteligentny, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, by widzieć sztuczność uniwersyteckiego środowiska, jego oderwanie od życia. Czuł zadowolenie na myśl, że po jeszcze jednym roku studiów będzie mógł je opuścić. Ojciec, dobiegając pięćdziesiątki, zamierzał przenieść na barki syna większą część odpowiedzialności związanej z zarządzaniem majątkiem. Odpowiadało to Michałowi: konkretna, rzeczowa praca. Do tej pory jego życie wydawało mu się puste, bezcelowe. Wierzył, że musi przecież istnieć coś więcej, coś, co by go porwało, zapaliło w nim entuzjazm.

Zabrał zwój liny wiszącej na kołku w stajni. Kolega z uniwersytetu, Kanadyjczyk, pokazywał mu, jak rzucać łąso. Michał nie miał niegarbowanej skóry, z której sporządzano prawdziwe łąso, ale i taka lina posłuży mu do ćwiczenia na niskich drzewach.

Ze zwojem przytroczonym do siodła wyjechał z parku w stronę kościoła wielebnego Ffolliotta. Słońce wysuwało się właśnie zza szczytu Tary na czyste niebo. Pod murem okalającym kościół pies jakiś szczekał i skomlał. Michał spojrzął do góry na kwadratową wieżę.

— Co to? Kto? — wykrzyknął.

Nad główną nawą kościoła, wokół płaskiego dachu biegła wysoka balustrada. Na zachodnim krańcu znajdowała się wieża. Po żelaznej drabinie prowadzącej z dachu kościoła na wieżę, gdzie brytyjska flaga zwisała w porannej bezwietrznej ciszy, wspinała się szczupła postać.

Jeździec ścisnął piętami konia i pogalopował w tamtym kierunku, a osłoniwszy oczy dłonią, śledził wzrokiem jej ruchy. Chociaż po męsku ubrana, była to bez wątpienia dziewczyna. Ostatni szczebel drabiny znajdował się o jakiś metr poniżej poziomu niskiego obmurowania wokół szczytu wieży. Dziewczyna chwyciła za krawędź muru i odbiła się mocnym kopnięciem od ostatniego szczebla, by dostać się na górę. Rozległ się ostry zgrzyt żelaza o kamień. Drabina od-



chyliła się na zewnątrz i zakołysała w powietrzu: wyższe klamry wypadły z muru, niższe jeszcze tkwiły, ale najwidoczniej obluźowane.

Dziewczyna, już na wieży, wyprostowała się i wychyliła za mur, by zobaczyć, co się stało. Przerazające. Szczyt drabiny znajdował się poza jej zasięgiem. Droga powrotna była odcięta. Nie przypuszczając, że jątkokolwiek obserwuje, wzdrygnęła ramionami, coś wykrzyknęła, potem szybko odwróciła się do flagi i ściągnęła ją w dół. Michał nie tylko ją obserwował, ale nawet poznał — Pat O'Donovan. W chwilę później dojrzał wznoszący się dym. Lekceważąc swoje położenie, dziewczyna zrobiła to, co zamierzała.

— Wcielony diabeł! — burknął Michał. — No, teraz znalazła się w kropce. Jak ona stamtąd zlezie?

Pat próbowała dosięgnąć kiwającego się szczytu drabiny. Wychylała się tak, że Michał dech wstrzymał, bojąc się, że dziewczyna spadnie. Ale drabina znajdowała się za nisko i za daleko od niej. Dziewczyna poszła wokół obmurowania, popatrując w dół, szukając jakiegoś sposobu zejścia. Nagle spostrzegła obserwującego ją jeźdźca. A od wsi szło trzech mężczyzn. Musieli widzieć zerwaną flagę, dym snujący się nad wieżą.

— Miałaby za swoje, gdybym ją tu zostawił — pomyślał Michał. — Ale przecież nie mogę. Jeszcze by sobie rozbila tę głupią głowę, próbując ześliznąć się po murze.

Zsiadł, zdjął łąso i zawołał do góry:

— Zostań tam, gdzie jesteś! Idę na górę.

Po drabinie takiej jak tamta, prowadząca na wieżę, wspiął się na płaski dach kościoła. Pat przyglądała mu się i rozmyślała:

„Dlaczego musiał się tu znaleźć o tej porze? Teraz koniec ze mną. Opowie ojcu, kto zerwał i spalił...”

— Łap tę łąnę! — zawołał Michał. — Przywiąż ją, ale porządnie, do słupa od flagi. Węzeł musi utrzymać twój ciężar, pamiętaj!

Dziewczynynie wydawało się to zejściem do klatki lwa. Ale musiała skorzystać ze sposobności wydostania się z pułapki.

„Lew” znajdował się na strategicznej pozycji, w poprzek jej jedynej drogi ucieczki.

Teraz więcej niż kiedykolwiek rada była ze swoich spodni. Lina była za krótka, nie dosięgała dachu kościoła. Michał stał z podniesionymi ramionami, by chwycić ją, gdy będzie zeskakiwała z odległości paru metrów. Pat puściła linę, spadła prosto na niego. Objął ją ramionami, jego ręce niechcący zamknęły się na jej małych piersiach. Puścił od razu, ale — podnieconego niedawną próbą uwiedzenia — dotknięcie i ciepło jej młodego, prężnego ciała żywo go poruszyło.

Pat próbowała rozwiązać kłopotliwą sytuację zuchwałością. Dość wysoka, ale jednak prawie o głowę niższa od niego, spojrzała na niego w górę ze złośliwym uśmiechem, z błyszczącymi oczyma.

— Pewnie muszę podziękować, zanim mnie pan każe zamknąć! — powiedziała.

Michał patrzył na nią jak oczarowany. Z rumieńcem zaskoczenia, oburzenia czy wstydu na smagłych policzkach wydała mu się po prostu piękna. Jej rozkwitająca kobiecość, choć nie tak odsłonięta jak wdzięki Elżbiety du Maurier, była o dwadzieścia cztery lata młodsza, świeża, nietknięta. Nie psuła wcale jej urody brudna smuga na prostym zgrabnym nosie ani potargane czarne włosy, nie skrępowane teraz noszoną zwykle męską czapką, która spadła jej z głowy. Michała ta dziewczyna zupełnie wytrąciła z równowagi.

— Twoje ubranie ucierpiało od tej jazdy na linie — powiedział niezręcznie.

Spojrzała na rozdarte na udzie spodnie i odparła, nadal wyzywająco:

— Moje ubranie może jest w łachmanach, ale pod nim bije gorące serce!

Michał pohamował chętkę do śmiechu. Poprzez ujadanie psa dosłyszał głosy trzech wieśniaków na dole. Chyba nie mogli dostrzec wiele więcej, jak dwie głowy nad balustradą. Trudno, musi odegrać swoją rolę — syna intendenta i urzędnika.

— Trzeci raz się spotykamy — powiedział — i za każdym razem popełniasz coś złego.

— Zło według pana i zło według mnie to dwie całkiem różne rzeczy — odrzekła zuchwale, odrzucając w tył głowę. Cóż, będzie, co być musi, a ona się przed nim nie upokorzy.

— Miałbym ochotę ukarać cię jak ostatnim razem, gdy...

— Nie waż się! — powiedziała groźnie, choć cicho. Zupełnie inaczej niż dotychczas. — Nie mam usposobienia niewolnicy. Nie dotknie mnie pan teraz!

Pat w niczym nie przypominała dziewcząt, jakie Michał znał dotychczas. Młode kobiety z jego sfery, spotykane na tańcach i przyjęciach pod czujnym okiem planujących mariaże matek, wdzięczyły się i flirtowały z kawalerami stanowiącymi dobrą partię. Po ślubie bywały z nich herod-baby, ale przed ślubem gruchały jak turkaweczki. Ta wiejska dziewczyna rozmawiała z nim jak równy z równym, jak mężczyzna z mężczyzną nie okazywała przed nim ani strachu, ani uległości. I wiedział — ze sposobu, w jaki zsuwała się po linie, i z dotknięcia jej ciała — że musiała być muskularna i silna.

Na dole bezręki Denis O'Grady drapał się w głowę swoim hakiem.

— Zerwała i spaliła flagę. Co teraz?

— Panicz ją przyłapał — dorzucił Kelly. — Napytała sobie biedy. I dla wsi zaczną się kłopoty.

— Wieś zapelni się żołnierzami — powiedział Kevin.

— Trzeba pozamykać przed nimi żony i córki, zakopać karto fle, schować albo wypić trunki.

— Wygląda mi na to, że panicz wyciągnął ją jednak z pułapki — zauważył O'Grady. — Może on nie taki jak jego ojciec?

— A cóż mógł innego zrobić? Zagadka tylko, po co się kręcił tutaj tak wczesnym rankiem — rzekł O'Reilly.

— Angielscy panowie są wszyscy źli, starzy i młodzi!

Ci trzej, z Johnem Barrym, Jamesem Byrne'em i paru innymi, byli uczniami i wiernymi przyjaciółmi Seana. Zadowoleni z wyczynu Pat, martwili się jednak, ponieważ przyła-

pano ją na gorącym uczynku i trudno było przewidzieć, jakie z tego wynikną skutki. Na dachu Pat mówiła:

— Niech pan zrobi, co ma zrobić, ale teraz proszę mnie puścić na dół.

— Wiem, co powinienem zrobić. I tak cała wieś niebawem się dowie... ci ludzie na dole!

— Żaden z nich pary nie puści — odparła Pat. — Moi przyjaciele raczej wycierpią tortury, niż mnie wydadzą. Wyszczuto by ich psami ze wsi.

Zaczęła schodzić po drabinie. Michał tuż za nią. Trzej mężczyźni stali i patrzyli. Nie przywitali Michała, tylko O'Reilly powiedział:

— Wczesnie wstajesz, Pat.

Dan skakał jej do rąk, potem zaczął biegać w kółko w radosnym podnieceniu.

Rola policjanta nie przypadła Michałowi do gustu. Do7 siadł konia i powiedział, ale bez przekonania:

— Postyszycie jeszcze o tej całej historii.

Wiedział, czego się po nim spodziewano. Pod nieobecność ojca powinien był dopilnować, aby Pat zamknięto w więzieniu w Trim.

Jak Kevin przewidywał, sprowadzono do Kilegad żołnierzy. Kradli, upijali się, zaczepiali kobiety, jeśli nierozważnie wytknęły nos za próg. Ale poza tym niczego nie osiągnęli. Oprócz Seana i Pat tylko czterech ludzi wiedziało, kto zerwał i spalił brytyjską flagę na wieży kościoła wielbego Ffolliotta. Trzej z nich mieli praktykę w wypieraniu się i zaprzeczaniu. A czwarty zjadł tego dnia samotnie śniadanie i pojechał do Dublina, rozmyślając po drodze.

— Niech ta ladaczniczka du Maurier myśli, że zwiąłem z jej powodu.

Incydent z brytyjskim sztandarem był świadomym wyzwaniem rzuconym władzom. Oczywiście, pomysł Seana i Pat. Pielęgnując chorą matkę, nie zaniebdywali swoich planów ani patriotycznych poczynań. Sean chciał, aby Kevin O'Reilly podjął się tego wyczynu. Ale Pat nalegała i prosiła. To będzie jej chrzest bojowy, dowodziła. I ona lepiej potrafi łązić po drabinach. Rzeczywiście, pod ciężarem kowala haki przytrzymujące drabinę oderwałyby się zapewne wcześniej i może z tragicznym rezultatem.

Była to tylko jedna z prowokacji podejmowanych ostatnio w Kilegad. Którejś nocy O'Reilly z grupą młodych ludzi poszedł na plantację drzew, świeżo posadzonych dużym nakładem kosztów przez Wintera, i pościął wszystkie wierchołki sadzonek. A pewnego ranka Józef przyszedłszy do dworu, zastał stado kóz objadających korę z drzew w sadzie i buszujących w ogrodzie. I nigdy sprawców nie wykryto.

Te lokalne drobne incydenty łączyły się ze znacznie szerszym ruchem. Chęć zysku z eksportu bydła rzeźnego na nienasycone rynki angielskie skłoniła wielkich właścicieli ziemskich do wyeksmitowania tysięcy dzierżawców, by ich ziemie przekształcić w pastwiska. Wieśniacy, doprowadzeni do ostateczności, gotowi byli chwytać się brzytwy, byle tylko nie utonąć.

Sposób ratunku zaproponował Daniel O'Connell, irlandzki poseł do angielskiego parlamentu, który w roku 1829 zyskał wdzięczność swych współwyznawców, zdobywając równouprawnienie dla katolików. Jeszcze w roku 1800 zawarto unię angielsko-irlandzką i zastąpiono dawniejszy parlament irlandzki wspólnym parlamentem dla obu krajów, z siedzibą w Westminsterze. O'Connell w tym właśnie upatrywał przyczynę obecnej niedoli irlandzkiej. Agitował więc za odrzuceniem unii; niechaj Irlandczycy rządzą Irlandczykami — a wtedy zaświeci słońce, zapanuje radość i dobrobyt.

O'Connell założył Stowarzyszenie Przeciwników Unii w roku 1841 i już w następnym roku zyskało ono więcej członków niż jakakolwiek poprzednia organizacja niepodległościowa.

Stowarzyszenie i jego przywódca zyskali gorących zwolenników w grupie bojowej Seana. Ojciec O'Leary właściwie do nich nie należał, ponieważ podejmowali się akcji, które chociaż nie posuwały się do gwałtów, jednakże wciągałyby Kościół w niepożądane sytuacje. Ale sprzyjając ich celom, ksiądz nieraz brał udział w naradach. Jego interwencje na ogół polegały na wylewaniu wiadra zimnej wody na bardziej rozgorączkowane głowy, snujące szalone projekty. Przy okazji bytności w Cork O'Leary spotkał O'Connella, który wywarł na nim silne wrażenie.

— Imponująca postać — opowiadał któregoś wieczoru, siedząc razem z przyjaciółmi Seana na progu chatki. — Wy soki, barczysty, przystojny. Jego przodkowie byli Irlandczykami czystej krwi celtyckiej. Ani kropla angielskiej czy protestanckiej krwi nie płynie w jego żyłach. Za młodych lat z zapalem uprawiał sport. Z powodzeniem broni irlandzkich patriotów, występując przed angielskimi sądami. Gdy przemawia z trybuny, to jakby czar rzucił swoim dźwięcznym, potężnym głosem, elokwencją i dowcipem. Poza tym słynie z kochliwości i licznych miłosnych przygód.

To ostatnie stwierdzenie przyjęto znaczącymi uśmiechami. Nie tylko O'Connell słyszał z kochliwości.

O działalności przeciwników unii i ich przywódcy wiedziano głównie od Seana, który na cotygodniowych spotkaniach odczytywał artykuły z czasopisma „Nation”, przysyłanego mu z Dublinu jako współpracownikowi dostarczającemu regularnie wiersze i artykuły o tematyce historycznej.

Denis O'Grady był jednym z poważniejszych, bardziej myślących członków grupy. Ale przemawiać nie umiał, kręcił się nerwowo i drapał swym hakiem.

— O'Connell jest typowym politykiem — powiedział, zacinając się trochę. — On uważa, że można zdobyć niepodległość, wygrywając w angielskim parlamencie jedno stron-

nictwo przeciw drugiemu. Ja tym posłom nie ufam. Oni go w końcu oszukają, wystrychną na dudka. Między sobą manewrują, idą na kompromisy, ale ze słabszym nie będą gadać, tylko wyślą przeciw niemu policję i wojsko.

— Pogląd nie pozbawiony słuszności — przyznał Sean.

— Ale O'Connell to najlepszy człowiek, jakiego w ogóle mamy. Nie powinniśmy jednak zapominać, że sam jest właścicielem wielkiego majątku ziemskiego. Gdy proponowano strajk dzierżawców, by zyskać obniżkę czynszów, O'Connell zaoponował. „Irlandia dla Irlandczyków” — to jego hasło i pewno szczerze je głosi. Ale on marzy o Irlandii dla irlandzkich dziedziców.

— Nie lubisz go — zaprotestował ojciec O'Leary — ponieważ zabrania wszelkich form gwałtu przeciw ludziom i zwierzętom. Nie chce rewolty. Wierzy w nacisk moralny. Zgadzam się z nim pod tym względem.

— Prawdę mówiąc i my się zgadzamy — rzekła Pat — przynajmniej na razie, chociaż czujemy potrzebę dokuczania nieprzyjacielowi.

Ksiądz uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. Domyślił się, kto spalił brytyjski sztandar na wieży protestanckiego kościoła i podziwiał dzielność i zapał dziewczyny.

O'Grady znowu zaczął się drapać.

— O'Connell zanadto zajmuje się polityką, a za mało się troszczy o warunki, w jakich żyjemy — powiedział. — A my chcemy uczciwych czynszów i pewności, że nas nie wyrzucą z gospodarstw, jak wyrzucono Kevina O'Reilly'ego, Toma Kelly'ego i innych.

— Przeciwników unii popierają kupcy w miastach i nawet niektórzy ziemianie katolicy — odrzekł ojciec O'Leary. — Ale ich niewiele obchodzą wasze czynsze, niestety.

Było to prawdą. Ludzie ze średnich klas w miastach mieli nadzieję, że irlandzki parlament zdejmie łańcuchy, jakie Anglicy — w obawie konkurencji na rynkach europejskich — nałożyli na handel, przemysł i postęp w Irlandii. A ci, nieliczni zresztą irlandzcy katolicy ziemianie, którzy popierali O'Connella, spodziewali się, że pod rządami narodowymi

będą z większą korzyścią gospodarować w swoich majątkach. Każda grupa w łonie Stowarzyszenia Przeciwników Unii miała na oku własne cele ekonomiczne. Jak miano zaspokoić wszystkich jednocześnie — tego na razie nie precyzowano.

— Właśnie dlatego, że każdy chce czegoś dla siebie, O'Connell nie popiera jawnie interesów żadnej grupy — zauważył Sean, jak zwykle przenikliwy. — To mogłoby wywołać antagonizmy. Sprytny z niego polityk.

— Chłopi są najliczniejszą warstwą — zaprotestował O'Grady.

— Ale kupcy i tamci dostarczają najwięcej funduszków — odparł Sean. — A żadnej działalności nie można prowadzić bez pieniędzy, i to dużych pieniędzy. W tej chwili najważniejszym celem jest zjednoczenie narodu. Musimy poprzeć O'Connella przynajmniej do czasu, gdy Stowarzyszenie będzie można nazwać naprawdę ruchem ogólnonarodowym. I dopiero gdyby nacisk moralny okazał się nieskuteczny, moglibyśmy...

Dan, leżący u nóg Pat, podniósł się, zawarczał, włos mu się najeżył na grzbiecie. Sean zatrzymał się, przełknął słowa, które miał wypowiedzieć: „sięgnąć po inne metody — i przejść do rewolty”.

Zza chaty dobiegł głos wolno zbliżającego się tupotu kopyt końskich. Pan Winter nie zsiadł z wierzchowca, tylko pochylił się, by zajrzeć do środka.

— Co tu się dzieje? — zapytał. — Namawianie do buntów, co? A ksiądz lubuje się w dziwnym towarzystwie. Mówiłem to już dawniej.

Sean i ojciec O'Leary wyszli do niego przed próg.

— Żadnego namawiania do buntów, zapewniam pana, panie Winter — rzekł ksiądz, który nigdy nie próbował na wiązać (chyba tylko z jedną Elżbietą du Maurier, znacznie dyskretnej szą poza domem) bliższych stosunków z dworem Winterów. — Co do towarzystwa, to może nie są święci, ale moi parafianie, a w tej chwili dyskutujemy o tym, co władze dublińskie pozwalają opublikować w tygodniku „Nation”.



Mówiąc ściślej, rozmawialiśmy właśnie o Danielu O'Connellu.

Winter, kierując się zasadą: „poznaj swego wroga”, był na wiecu zorganizowanym przez O'Connella w Dublinie.

— Wy, Irlandczycy, pójdziecie za każdym demagogiem i szarlatanem — odrzekł.

— My go inaczej oceniamy — odparł Sean. — Ocena zależy od punktu widzenia. — Nie zamierzał się poniżyć, ani nie pozwalał na to swoim druhom, zwrotom: „wasza wielmożność”, którym irlandzcy wieśniacy tytułowali szlachtę.

— Niczego nie osiągnie prócz zbierania tłumów, przed którymi może się wygadać. Poza tym spotka się z porażką, zapamiętajcie moje słowa. Jeżeli się spodziewacie, że O'Connellowi uda się przeprowadzić odrzucenie unii, to się bardzo mylicie. I marnujecie czas na takie rozważania. To nadęty balon. Pewnego dnia rząd brytyjski będzie miał tego wszystkiego dość i przekłuje go bagnietami, wtedy to puste powietrze z niego wyleci. Do widzenia.

Zgromadzeni popatrzyli po sobie. Ich spojrzenia pytały: „Co on teraz zrobi?” Sean odrzekł na nie wypowiedziane pytanie:

— Nie może nam nic zrobić. Ojciec O'Leary znalazł właściwe słowa: „Nation” jest publikowane oficjalnie.

Trochę się uspokoił. James Byrne odetchnął głęboko.

— Może my rzeczywiście marnujemy czas? — zapytał Tom Kelly. — Może O'Connell poniesie klęskę?

— Kiedy będzie miał większość narodu za sobą — odparł O'Leary — nawet Anglicy będą musieli wziąć to pod uwagę.

— Może i wezmą pod uwagę, ale inaczej, niż się spodziewamy — zauważył Sean. — Winter nie jest głupcem, a w Londynie pewno to i owo słyszał. Ale to nie należy do rzeczy. Powtarzam, że O'Connell to najlepszy człowiek, jakim w tej chwili rozporządzamy. Może mu się nie uda. Może nam wszystkim się tym razem nie uda. Ale niepodległość uzyskamy na pewno. Kiedy i jakimi metodami, tego nie można w tej chwili przewidzieć. Historia orzeknie, czy ci, co

o nią walczyli, teraz czy przed stu laty, marnowali czas. Jedyna prawdziwa porażka to przestać walczyć.

— Sam O'Connell nie mógłby tego lepiej powiedzieć!  
— przyklasnął Kevin.

— Tylko że narodowy przywódca nie odważyłby się nawet wspomnieć o możliwości klęski — dorzucił ksiądz.

— On, wielki człowiek, nie może wspomnieć o klęsce — zgodził się Sean. — My, ludzie mali, musimy przewidywać taką możliwość, bo na nas spadłaby wówczas odpowiedzialność za dalsze utrzymanie organizacji na naszym terenie. Musimy być gotowi do ponownej próby.

Zmrok już zapadał. Sean wziął harfę, mówiąc:

— Winter nas zbyt ponuro nastroił. Ale na to jest lekarstwo.

Struny zadźwięczały melodią starej pieśni, do której przyłączyły się wszystkie głosy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### I

— Nigdy nie spodziewałam się czegoś takiego, nigdy, nawet w najśmielszych snach — rzekła Pat.

Stała przy głowie osiołka. Sean siedział na wózku.

— Imponujący widok, prawda?—powiedział.—Nie mam głowy do liczb, ale zaryzykowałbym tak na oko: pół miliona!

— Więcej — potrząsnęła głową Pat. — I przecież my wszystkich nie widzimy. A jeszcze przychodzą.

Prasa dublińska, donosząc o wiecu, również nie zgadzała się w ocenie liczby. Jeden z dzienników podawał trzy czwarte miliona, inny — milion. Sam O'Connell, który w niczym nie odznaczał się skromnością, dowodził, że było półtora miliona ludzi.

W każdym razie tłumy płynęły, konno, pieszo i każdym możliwym rodzajem pojazdu, aż pokryły gęsto zielone zbocza po sam szczyt legendarnej Tary, rozproszyły się na polach u stóp góry, zablokowały drogi i ścieżki. Najliczniejsze zgromadzenie, jakie dotąd zebrało się w Irlandii, by posłuchać wielkiego mówcy. Na łamach „Nation” Sean miał później upamiętnić to wydarzenie naiwną balladą, może niewiele warta z punktu widzenia poetyki, ale łatwo wpadającą w ucho:

*Ani talent ni pióro opisać nie zdoła, Jakie  
tłumy wyległy, jak się odbijały Różnobarwnym  
widokiem od Tary zielonej, Wyzłoconej  
blaskiem owego dnia chwały.*

Daniel O'Connell ogłosił rok 1843 „rokiem odrzucenia unii”. Zbyt pochopna deklaracja. Ale zapal ogarnął tłumy jego zwolenników. „Do dzieła zatem, miliony ludu irlandzkiego!” wzywał „Nation”. „Do dzieła, katolicy, ewangelicy, protestanci! Ramię w ramię pod zielonym sztandarem naszej wspólnej ojczyzny! Wzniescie wysoko ten dumny sztandar bez skazy!”...

W całej Irlandii, w miejscowościach wybranych dla ich historyczno-emocjonalnego znaczenia, O'Connell przemawiał do olbrzymich tłumów na wiecach, przez londyński „Times” przezwanymi „ludzkimi nawałami”. Sean, który czytał prasę irlandzką, informował towarzyszy o postępie kampanii.

„Irlandzki patriotyzm żyje — oznajmił O'Connell na publicznym bankiecie. — Nie został pogrzebany, tylko uspiomy czeka, bym go wyznaczonego ranka obudził potrójnym pianem!”

Nie grzeszył skromnością, a zawsze sceptyczny Denis O'Grady zauważył:

— Miejmy nadzieję, że nie jest takim kogutem, co to wyobraża sobie, że słońce wstaje tylko po to, by usłyszeć jego pianie.

O'Connell nadal nawoływał do dyscypliny, do wstrzymania się od przemocy w jakiegokolwiek postaci, ale niekiedy nie mógł uniknąć nuty wojennego marsza. W Roscrea, w hrabstwie Limerick, wołał:

„Czy jest tutaj choćby jeden człowiek, który by nie oddał w potrzebie swego życia za Irlandię? Nie! Nie ma nikogo, kto by cofnął się przed bitwą, kto by nie pragnął chwały zwycięstwa...”

W Mallow, w hrabstwie Cork:

„Nigdy pierwsi nie chwycimy za broń; ale musimy być przygotowani na ewentualność ataku ze strony rządu. A w takim wypadku, czy mamy pozwolić się zdeptać butami? (Okrzyki: „Nie! Nie!”) Mogą mnie podeptać, ale to będzie moje martwe ciało...”

Te słowa miały być zapamiętane i wykorzystane przeciw niemu.

Olbrzymie tłumy zbierały się, oklaskiwały go, wielbiły — i może kazały mu pomylić popularność z osiągnięciem celu.

Oczywiście najpotężniejszy wiec zorganizowano na Tarze, która była religijną, kulturalną i polityczną stolicą dawnej Irlandii; na Tarze, gdzie w roku 980 Irlandczycy odnieśli słynne zwycięstwo nad duńskimi najeźdźcami; na Tarze, gdzie koronowano królów, gdzie w minionych czasach wolności zgromadzenie narodowe, zwoływane co trzy lata, nadawało prawa i rozstrzygało waśnie międzyplemienne. Ze starożytnej rezydencji królewskiej wyposażonej we wspaniałą salę bankietową, według dawnych kronik liczącą 230 metrów długości i 30 szerokości, nie pozostał w roku 1843 ani jeden kamień. Tylko niewysokie wały, nasypy i kopce, kryjące niezbadane tajemnice, znaczyły miejsca dawnej chwały Tary, znanej z ballad i legend każdemu ze zgromadzonych.

„Lud pokrył wzgórza tak daleko, jak okiem sięgnąć”  
— komentowano na łamach „Nation”.

Leżący na zaprzężonym w osiołka wózku Dan zawarczał. Zza wózka dobiegł znajomy głos:

— Po raz pierwszy spotykamy się bez konfliktu. A może w tym wózku ukryta jest bomba?

Pat odwróciła się i ujrzała panicza ze dworu Boyne, uśmiechającego się do niej z odcieniem sarkazmu. Fakt, że Michał zachował milczenie w sprawie incydentu z flagą, zyskał mu szacunek nie tylko Seana i Pat, ale i trzech wtajemniczonych druhów, a także ojca O’Leary’ego, który odgadł prawdę. Jednakże młody Winter był z przeciwnego obozu — i nie starał się wcale ukrywać lojalności wobec swojego środowiska.

— Dzień dobry — powitał go Sean dość uprzejmie.  
— Wspaniały słoneczny dzień!

Ale Pat każde spotkanie z Michałem podniecało do agresywności — może dlatego, że podświadomie chciała się bronić przed budzącymi się w niej dziwnymi emocjami.

— Czy pan przyjechał, żeby się przyłączyć do Stowa rzyszenia Przeciwników Unii? — zapytała. — Nie spodzie waliśmy się...

— Nie ma czego się spodziewać — przerwał jej Michał.  
— Przyjechałem tylko, żeby się przypatrzeć. Każdemu wolno, jak sądzę. A nie co dzień zdarza się sposobność, by zobać tyłu buntowników zebranych razem.

— Tu nie ma żadnych buntowników — odparł ostro Sean.  
— Dziewięciopunktowy program Stowarzyszenia zawiera deklarację: „Chronić i popierać na tronie irlandzkim majestat królowej Wiktorii, którą niechaj Bóg zachowa”. Wszystko czego żądamy, to suwerenne prawo rządzenia naszymi własnymi sprawami.

— Piękne słowa — powiedział Michał. — Ale sprawdzian słów kryje się w uczynkach. Czy O'Connell, a choćby i wy, potraficie utrzymać w porządku tę hołotę?

Machnął szpicrutą, obejmując gestem olbrzymie zgromadzenie. Gniew Pat wezbrał:

— Proszę nie mówić o hołocie! Wy, Anglicy, nazywacie nas także „błociarzami” i „chamami”. Ale proszę się rozjeźić! Ani śladu zamieszania. Widzi pan tych ludzi z oznakami milicji Stowarzyszenia na kapeluszach? Oni tu są po to, by zapewnić idealny porządek, a to więcej, niż potrafi wasza policja razem z jej bronią i brutalnością!

— To dopiero początek — odrzekł gładko Michał.  
— Zobaczymy, co będzie, gdy flaszki z whisky zaczną krążyć i budzić temperamenty!

Ten defensywno-ofensywny nastrój Michała wynikał z jego niespokojnego stanu ducha. Skończyły się lata uniwersyteckie, a on nie znalazł zadowalającego miejsca w życiu. Zaczynał dzielić obowiązki ojca — lecz niektóre niezbyt przypadają mu do gustu: ściąganie czynszów, wymuszanie groźbami zapłaty od głodujących rodzin, przekazywanie policji kłusowników, którzy złapali królika, by nakarmić dzieci. I eksmisje. Różnić się od innych w swojej sferze, mieć odmienne poglądy — było w złym tonie, tak go uczono. Michał zdawał sobie sprawę, że jest związany z dworem Boyne i wszystkim, co ten dwór symbolizował. Nie miał zawodowego wykształcenia, by zarabiać na własne utrzymanie. A ci „rebelianci” — Sean i Pat — własną pracą

i gospodarnością zdobyli sobie samodzielność. To go drażniło.

Ojciec O'Leary przyjechał na tej samej kościstej szkapie, której dosiadał na polowaniu. Kevin O'Reilly, Denis O'Grady, John Barry i inni z bojowej grupy z Kilegad także przyszedli i odnaleźli Seana. Michał odsunął się trochę. Siedział na koniu, starając się robić wrażenie pogardliwego i wyniosłego. Naprawdę odczuwał raczej pewne oszołomienie wobec olbrzymiego zbiorowiska, a nawet tłumiony respekt dla determinacji tych ludzi, która ich przywiodła tu, do Tary, ze wszystkich zakątków wyspy. I musiał podziwiać indywidualność człowieka, skutecznie narzucającego dyscyplinę niepoliczonym tłumom.

Około południa wielki okrzyk wzniósł się nagle i zaniknął jak przechodzący cyklon. Wszystkie oczy zwróciły się ku szczytowi góry, gdzie pojawił się Daniel O'Connell w towarzystwie księży i katolickiej szlachty.

— Czy sądzisz, że będziemy m dobrze słyszeć? — zapytał Kevin, do nikogo właściwie się nie zwracając.

— My będziemy słyszeć, ale ci tam dalej nic nie usłyszysz — odrzekł ojciec O'Leary.

— To trudno, ale sama obecność tutaj, udział w takiej demonstracji, rozpali entuzjazm — powiedział Sean.

Dwaj księża wygłosili krótkie mowy popierające O'Connella. Kilku ze szlachty również przemawiało, przeważnie kiepsko, jękając się, powtarzając, nudząc. Mało ich słuchano. Stłoczone tłumy rozmawiały i szumiały, nie kryjąc niecierpliwości. Wreszcie — długo wyczekiwany głos O'Connella. Więcej ludzi słyszało jego słowa, aniżeli Kevin i ojciec O'Leary przewidywali, bo jak powiedział O'Grady:

— ...ten głos rozlega się na kilometry, a tak brzmi, jakby przez miód go przesączono!

Ukazanie się olbrzymiej postaci przywódcy — przeżywanego, trochę przedwcześnie, „Oswobodzicielem” — ze wzniezionymi, szeroko rozpostartymi ramionami podziało na szumiące tłumy jak ręka położona na wibrujących strunach

harfy. Wszystkie szmery ścichły. Kilka chwil pełnej napięcia ciszy i wreszcie:

— Jesteśmy na Tarze królewskiej... z tego miejsca w odległych czasach prawowitej władzy promieniował autorytet na całą wyspę, aż do jej najdalszych krańców... Nasza jedność narodowa nigdy nie była tak widoczna, tak imponująca, jak na dzisiejszym wiecu. To widok nie tylko wspaśniały, ale i przerażający, budzący nie tylko słuszną dumę, ale i strach...

Pat zerknęła na Michała. Oddzielała go teraz od sąsiadów z Kilegad grupa nowo przybyłych. Uśmiechał się nie tyle z pogardą, ile pobłażliwie, jak człowiek, któremu groźapistoletem zabawką. Wargi dziewczyny zacisnęły się, jej oczy zabłyśły gniewnie. Już chciała coś powiedzieć, ale Sean podniósł rękę, by ją uciszyć.

— Takiej armii — mówił O'Connell — bo ponieważ za chowujecie spokój i ład wyćwiczonego wojska, więc wolno was nazwać armią takiej armii żadne wolne państwo nie zniósłoby na swym łonie, chyba żeby składała się z najwybrańszych obywateli... Dotąd krok po kroku zbliżaliśmy się do wytkniętego celu — odtrącenia unii — ale teraz wreszcie idziemy krokami olbrzyma...

Tłumy milczały, zaledwie śmiały oddychać, żaden szmer nie mącił głosu mówcy. Milicjanci przesuwali się między ludźmi, uciszając nawet szepty. Ci bliżej szczytu góry stali jak zaczarowani magnetyzmem O'Connella. Ci bardziej oddaleni nadstawiali ucha, by dosłyszeć choć pojedyncze słowa, przynoszone podmuchem wiatru.

— Angielski parlament jest dla nas stróżem tyranii, nie swobód... Nigdy nie ustanie opozycja Irlandczyków wobec unii, bo brak jej moralnej sankcji i powszechnej aprobaty...

I dalej zaapelował do najgłębszych uczuć, jakie w Irlandczykach budziła uroda ojczystego kraju:

— Nie ma piękniejszej krainy na całym świecie. Nigdy nie wschodziło słońce nad urodzajniejszą i żyźniejszą ziemią... (Po raz pierwszy ciszę przerwały wiwaty i oklaski.) Oto kraina, która porywa do najgorętszej miłości: jej malow-



nicza uroda cieszy i raduje oko; jej majestatyczne góry wznoszą się ku niebiosom; jej przezroczyste wody nawadniają równiny; jej porty otwierają się ku całemu światu... Nadchodzi epoka, kiedy jej naród, wytrwawszy w swej narodowej godności, będzie żył w dobrobycie i swobodzie! (Wiwaty.)

O'Connell przemawiał ponad godzinę. Budził entuzjazm, powoływał się na przeszłość Irlandii, jej bohaterów i dziejową sprawiedliwość.

— Nie sposób mieć więcej sił. Mam siły większe od tych, które wygrały bitwę *pod* Waterloo. (Szpileczka *złośliwości* w stronę urodzonego w Irlandii księcia Wellingtona, zwycięcy Napoleona, głównodowodzącego, a także ministra, który domagał się zastosowania przemocy w stosunku do O'Connella i olbrzymiej armii jego zdyscyplinowanych zwolenników.) Mam większe siły od tych, jakimi kiedykolwiek dysponował lub dowodził panujący książę albo wódz.

I nagle niespodziewana nuta powątpiewania, nagły przeskok od zaufania do niepewności.

— Mam dosyć sił... pytanie tylko: jak ich użyć?

Odwrócił się, przyjął podany puchar, wypił. Dłużej niż minutę trwała cisza, wielkie zgromadzenie jakby zlodowaciało od tego powiewu wątpliwości. Okazało się, że „Oswobodziciel”, chociaż „nie sposób mieć więcej sił”, nie wie, dokąd poprowadzić swoją „armię najwybrańszych obywateli”! Nagle milicjanci zaczęli wiwatować i natychmiast w błękit nieba nad głowami poszły salwy za salwami wiwatów i oklasków. Raz przerwawszy ciszę, tłumy krzyczały jak opętane. I zapewne mniej na cześć niezdecydowanego wodza niż na cześć „krainy, która porywa do najgorętszej miłości”.

Uśmiech Michała nie był już teraz ani sarkastyczny, ani wyniosły. Był to radosny uśmiech człowieka, który widzi przyszłe kłopoty rozwiewające się nagle jak groźna chmura mijająca bez burzy.

Kevin i większość druhów z Kilegad klaskali i wiwatowali wraz ze wszystkimi. Tak samo ojciec O'Leary, wyczuł bowiem w słowach O'Connella, że nie użyje on siły nawet w ostatecznym wypadku. Ale Sean nie klaskał. Gryzł kciuk

w zdenerwowaniu. A Denis O'Grady, pomagając sobie zawzięcie hakiem, powiedział poprzez otaczającą ich wrzawę:

— Jak użyć siły. Pytanie: jak? Dopiero wtedy, gdy rząd postanowi nas zdławić?

— I co za korzyść z tej wychwalanej armii? By go okłaskiwała? — pytał Kevin. — Nie powinien czekać, aż rząd zacznie, ale ruszyć samemu przeciw rządowi! Dlaczego nas nie poprowadzi na Dublin teraz?

Sean, który świetnie pamiętał większość dawniejszych przemówień O'Connella, teraz przypomniał:

— Kiedyś powiedział, że potrafimy „stawić czoło w bitwie”. Więc czy mamy czekać, aż będziemy „zdeptani butami”? Ma dosyć sił, by nas poprowadzić! Zaczynamy, zanim się zjawi cała angielska armia!

O'Leary próbował tłumaczyć:

— O'Connell chciałby, jeśli dojdzie do przelewu krwi, rzucić odpowiedzialność na Anglików.

— Nie na wiele mu się to przyda — odparł Sean. — Ani nam. Nie trzeba nam obrony przed zarzutami. Nam trzeba zerwania unii. A teraz właśnie mamy siły i nadszedł właściwy moment. I jeżeli on nie wie, jak się posłużyć tymi siłami, to znajdą się tacy, którzy będą wiedzieć.

— O'Connell to dobry taktik — upierał się ksiądz.

— Ale lepszy mówca niż wódz — mruknął O'Grady.

Pat, po dziewięćcemu szczerza, wymówiła słowo, które błąkało się w myślach Seana, O'Grady'ego, Kevina — i Michała również.

— Tchórz! — rzekła z gniewnym szyderstwem.

Tamci rozejrzeli się wokoło niespokojnie. Takie słowo o takim człowieku takiego dnia — mogło wywołać co najmniej awanturę. Ale nikt nie dosłyszał epitetu, wszyscy byli zbyt przejęci wiecem i imponującym określeniem „siła”.

Niebawem tłumy zaczęły falować i rozchodzić się w różnych kierunkach. Ci, którzy mieli daleko do domu, kierowali się pieszo albo konno w drogę powrotną. Inni zaczęli się cisnąć ku szczytowi Tary. Tam ponad stu muzykantów — harfiarzy, skrzypków, kobziarzy, doboszy — utworzyło

wielkie koło. O'Connell i jego świta weszli w środek tego kręgu, zdjęli kapelusze, stali chwilę w milczeniu, wreszcie odeszli. Milicja zaczęła formować tych, którzy szli pod górę, do kręgu grających muzykantów, w składne kolejki podchodzące z kilku stron.

— Trzeba tam pójść — powiedział Sean. — Na groby powstańców z roku dziewięćdziesiątego ósmego.

W insurekcji z roku 1798 irlandzcy powstańcy ponieśli krwawą klęskę, rozbici przez wojska brytyjskie na Tarze. I tam, na pobojuwisku, pogrzebano zabitych. Na ich cześć muzycanci wygrywali teraz smętne melodie.

Tom Kelly zgodził się przypilnować wózka z osiołkiem, więc Sean pokuścił się z druhami z Kilegad pod górę. Gdy tak stał przed grobem z odkrytą głową przyszła mu na myśl ostatnia zwrotka jego własnej ballady:

*Czyje serce nie zatęskni za śpiącymi w czarnej ziemi...  
Czyje oko nie zapłacze nad grobami bohaterów.*

Pat nie widziała Michała od chwili, gdy tłumy zaczęły się rozchodzić. Ale kiedy wróciła z Seanem do wózka, panicz z Boyne stał obok i przytrzymał konia, który usiłował zaspokoić głód, podskubując wydeptaną trawę. Michał nie był na grobach. Jeśli w ogóle cokolwiek myślał o owych „śpiących bohaterach”, można by jego uczucia streścić zwięźle: „Dobrze im tak!” Próbował parokrotnie nawiązać przyjazną rozmowę z Kellym, ale mu się to nie udało. Stał więc spoglądając na drugi brzeg rzeki Boyne niknący w oddali i zastanawiał się, czemu właściwie czeka na powrót kompanii z Kilegad. Przecież to wszystko buntownicy — uważał tak na równi ze swoim ojcem.

A jednak interesował się nimi, i to w przyjazny sposób. Trwożne ostatnie słowa O'Connella potwierdziły to, w co Michał chciał wierzyć — że ruch antyunionistów nie jest w rzeczywistości niczym więcej jak tylko nadętym balonem, który łatwo będzie przekłuć, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Ale znalazłszy się w tym olbrzymim zbiorowisku ludzkim,

zdał sobie sprawę, jak mało znał serca i umysły, obawy i nadzieje, cierpienia i drobne triumfy narodu, wśród którego żył

„Najwyższy czas, bym się do nich zbliżył! — rozmyślał. — Nie są ludźmi mojego pokroju i nigdy nimi nie będą, ale jak mam skutecznie zarządzać dzierżawcami, zwalczać bunt/, jeśli nic o nich nie wiem? Chciałbym ich lepiej rozumieć, choć trochę lepiej.”

Ale uciszył wewnętrzny głos, który pytał:

„A czy ty rozumiesz sam siebie? I może to jest najważniejsze na początek?”

Mimo niedyplomatycznego epitetu, jakim Pat uznała za stosowne obdarzyć „Oswobodziciela”, dziewczyna czuła się podniesiona na duchu. Poruszył ją ten imponujący wiec i chwila ciszy nad grobami powstańców z roku 1798. W tym nastroju chciała być w zgodzie z całym światem. Podeszła, stanęła przy Michale i bez złośliwości zażartowała:

— No a teraz przekonał się pan, że nawet flaszki z whisky nie naruszyły ładu i porządku naszego wiecu!

Była to prawda. Obeszło się bez bójek, kłótni, zamieszek, pijaństwa. Na najłżejszą oznakę jakiegoś zamieszania wkroczyła milicja Stowarzyszenia, rozdzielała zwaśnionych, zapobiegała wszelkim niesnaskom.

— Zamiast tego będą sobie jutro rozbijali głowy we własnych wioskach — powiedział Michał.

Pat gotowa była nawet mu wtórować:

— O tak, a przede wszystkim mężowie i żony, ale to dlatego, że żalują zawarcia swojej małżeńskiej unii, nie parlarmentarnej. Nie można za to winić O'Connella.

Michał poczuł się dosyć głupio. Co on tu właściwie robi? Czemu na nich czeka? O'Donovanowie wrócili i teraz nic mu nie pozostało, jak odjechać — co mógł równie dobrze, a właściwie lepiej, zrobić już poprzednio. Pat, patrząc na schodzące nisko nad horyzont słońce, ułatwiła mu wybrnięcie z zakłopotania:

— Czas już na nas wszystkich — powiedziała. — Słucha nie szumu skrzydeł nocnych ptaków o zmierzchu na szczycie Tary przynosi nieszczęście.

— Czy pani jest przesądna? — zapytał. — Może pani wierzy również w elfy?

Spojrzała mu prosto w oczy, wyzywająco.

— Nie. Ale elfy istnieją—odparła.

Roześmiał się z tego paradoksu, charakterystycznego dla inteligentniejszych Irlandczyków: konfliktu między logicznym myśleniem a instynktem.

— A czemu ja ich nigdy nie widuję? — nalegał.

Ale Pat nigdy nie brakowało słów i argumentów, choć może nie dość dyplomatycznych:

— Och, one się nie zajmują cudzoziemcami. Irlandzkie krasnoludki i elfy ograniczają swoje zainteresowania do Irlandczyków. One nas łaskocą i muskają, by nas budzić — budzić do obowiązku wypędzenia was z powrotem za morze. Wy, Anglicy, nigdy nie sypiacie — najeźdźcy nie śpiją.

— Nie chciałbym, abyśmy się znów rozstali w niezgodzie — odrzekł Michał, ale nadal uśmiechał się do niej. — Lepiej sobie pojadę.

Chociaż w spodniach, chociaż gotowa na równi z mężczyzną odgrywać rolę w ruchu politycznym, Pat potrafiła być po kobiecemu prowokacyjna:

— Niezgoda odnosi się do unii parlamentarnej, innej — powiedziała, patrząc w górę na niego i unosząc jedną brew. Żegnając Pat, Michał zachował się wobec niej z galanterią, z jaką angielscy szlachcice rzadko kiedy traktowali irlandzkich wieśniaków. Zdjął kapelusz w niskim ukłonie, a uśmiech jego nie miał w sobie żadnej ironii. Ale Dan, nie dając się tak łatwo ułagodzić tym, których uważał za wrogów, podniósł łeb i pożegnał go nienawistnym warknięciem.

Gdy Pat wskoczyła na wózek, Sean spojrzał na nią pytająco.

— O czym rozmawiałaś z tym... tym...?

Pat zbyła pytanie krótko:

— O elfach.

I miała nadzieję, że ciemniejący zmierzch ukrył jej rumieniec.

Zdrowie O'Donovanowej poprawiło się na tyle, że mogła wstawać z łóżka prawie codziennie, zajmować się domem i popędzać trzech synów, tych, którzy nadal mieszkali razem z nią na gospodarce. Twierdziła, że zdrowieje dzięki zakłębom i gusłom starej babki Hogarty, gdy właściwie jej własny organizm w połączeniu z żelazną wolą przyniósł chwilową ulgę w chorobie. Pat przychodziła regularnie, ale zwykle mogła prędko wracać do własnych zajęć. Ojciec O'Leary również zaglądał często, no i oczywiście Sean. Chora stała się teraz pobłażliwa, nawet serdeczna w stosunku do dwojga piskląt, które poprzednio wyrzuciła z gniazda. Jak zwykle po powrocie marnotrawnego syna, tak i teraz matka najwięcej o nich się troszczyła, przyrządzała im ulubione potrawy i nieustannie stawiała ich za przykład Eoinowi i Seamusowi, którzy wraz z Józefem odczuwali bardziej niż kiedykolwiek jej ostry język.

Sean i Pat mieli więcej czasu na „rebeliancką” działalność. Zaraz po wielkim wiecu na Tarze do Kilegad przyjechał wysłannik z Dublina i z rekomendacji ojca O'Leary'ego wybrał Seana, by założył i zorganizował Klub Antyunionistów, jakich wiele powstawało wówczas w całej Irlandii. Grupa kompanów Seana była oczywistym załączkiem Klubu.

Najcięższym zadaniem Seana było zbieranie składek na fundusz Stowarzyszenia w wysokości jednego szylinga miesięcznie od każdego członka Klubu. Suma niewielka, ale dla wielu w Kilegad, jak i gdzie indziej, trudna do odłożenia. Wydawanie jej co miesiąc oznaczało jeszcze mocniejsze zaciskanie pasa. Ojciec O'Leary wiedział, kto ostatecznie będzie poszkodowany:

— O tyle mniej dadzą na tacę w niedzielę — mrucał.

Ważnym momentem dla Klubu był dzień, kiedy nadeszły legitymacje członkowskie. Tego wieczoru w chatce Sean pokazał je Pat i Kevinowi, objaśniając ich symbole: zielony kolor na cześć Szmaragdowej Wypsy, jak zwano Irlandię;

w rogach nazwy czterech najważniejszych bitew w dziejach Irlandii; pośrodku — flaga i słońce wstające za horyzontem, z rozchodzącymi się promieniami; obok trójlistek koniczyny (również emblemat narodowy) z napisami na każdym listku: katolicy, dysydenci, protestanci, a wzdłuż łodygi słowa: „Quis separabit?”

Stukanie laską w drzwi — wszedł ojciec O'Leary. Dan podniósł się, przeciągnął ostentacyjnie, jakby chciał podkreślić ciężary gościnności, i podszedł, merdając leniwie ogonem.

— Prosimy! — mówił Sean. — Jakie nowiny z frontu parafialnego?

— Jak zwykle — westchnął ksiądz. — Nazwiska się zmieniają, ale wydarzenia zwykle takie same. Pani O'Malley, jak może już wiecie, urodziła dziś nad ranem bliźnięta, jedyne dzieci, jakie miała, od kiedy przed trzema laty zmarł jej mąż...

— Nieostrożna — wtrącił Kevin.

— A jej siostrzenica — ciągnął ojciec O'Leary — oddała swoje nieślubne dziecko na garnuszek i jutro bierze ślub. Poszedłem dziś rano do przyszłej panny młodej, ale jeszcze leżała w łóżku z panem młodym i poprosili, żebym przyszedł później, kiedy będą mniej zajęci.

Ksiądz zyskał sobie popularność we wsi, głównie dzięki dobremu sercu. Co rusz pakował do koszyka własny obiad i — sam głodny — zanosił go jakiejś niedożywionej rodzinie. Nikt nigdy nie zwrócił się do niego, by nie otrzymać pociechy materialnej albo duchowej. Bywało, że ktoś w potrzebie krępował się przyjąć, żeby go nie narażać na jeszcze większe wydatki i ograniczenia. Jego niewidzialna dusza z pewnością rozkwitała, ale jego widzialne ciało chudło, odzież wisiała na nim, rękawy na łokciach były wytarte, a mankiety postrzępione. Ojciec O'Leary miał prawdziwie irlandzkie poczucie humoru, nigdy nikogo nie potępiał i nie uważał siebie za wzór wszelkich cnót. Rozumiał ludzkie słabości i za to mieszkający Kilegad wybaczali mu chętnie jego własne grzeszki.

Stara gospodyni zmarła. Na jej miejsce ojciec O'Leary przyjął przystojną czterdziestoletnią wdówkę. Ale to mu nie

przeszkadzało zatrudniać dodatkowo — po Bożym Narodzeniu i po Wielkanocy — młodych mężatek, których mężowie nieraz późną nocą dobijali się do plebanii, żądając zwrotu swoich żon.

Sean pokazał księdzu jedną z legitymacji członków Klubu.

— Czy mogę na tej legitymacji napisać nazwisko ojca? — spytał i dorzucił: — Ksiądz bez poparcia polityków nigdy nie zostanie biskupem!

— Wasza polityka nie zaprowadzi mnie na biskupi stolec — odparł ksiądz. — Wyższy kler udziela, acz dość niechętnie, poparcia waszemu ruchowi, gdyż inaczej zraziłby sobie setki tysięcy wiernych. Ale naprawdę marzy im się jakaś wizja irlandzkich katolików zasiadających w Westminsterze, by tworzyć imperium wiary: nawracać muzułmanów i Hindu sów, kwakrów i pogan. A irlandzcy katolicy w irlandzkim parlamencie nie mogliby decydować o niczych sprawach, tylko własnych, irlandzkich.

— Dopóki nie mamy własnego rządu — powiedział Sean — wyższy kler zastępuje go, przynajmniej w pewnej mierze. Ale kiedy powstanie nasz rząd, będzie władał i klerem niezależnie od tego, co powie papież i Curia Romana. I dopilnuje my, żeby ojciec został biskupem.

— Jestem zwolennikiem O'Connella i Stowarzyszenia, ale wątpię, czy dożyję chwili, kiedy będzie obradować irlandzki parlament — argumentował ksiądz. — A przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że powstanie irlandzki parlament, czy ludziom będzie na pewno dużo lepiej?

— Nie należy się spodziewać od razu zbyt wiele — rzekł Sean. — Ale jeśli mają ze mnie ściągać podatki i eksmitować, to niech już to robią moi rodacy. Jedyne w polityce wybór to wybór między złem mniejszym a większym.

— Jesteśmy klótliwym narodem — zauważył ksiądz.

— Z kim będziemy się klócić, gdy Anglicy sobie pójdą?

Denis O'Grady i Tom Kelly przyszli właśnie i stali w drzwiach, przysłuchując się rozmowie. O'Grady wtrącił:



— Każdy z nas to jakby dwóch ludzi w jednym, bo co innego robimy, gdy czegoś chcemy — zazwyczaj kopiemy i gryziemy — a co innego, gdy już mamy, cośmy chcieli; wtedy podobni jesteśmy do kota nad miską mleka.

— Nie zawsze tak bywa z narodami — zaproponował ksiądz.  
— Choćbyśmy już dostali miskę mleka to, przywykli do kłót ni, zaczęlibyśmy się kłócić między sobą o tę miskę mleka właśnie. Wzniosłe ideały wielkiego ruchu bywają podmowane przez podłe, przyziemne demony ludzkiej natury.

Sean zdecydował się zamknąć dyskusję akcentem humoru:

— Tak, kompromis nie leży w naszym charakterze. Po patrzcie na nasze dziewczęta, wybacz mi, Pat! Albo zatwardziałe dziewice, albo nieustannie w ciąży. Nic pośredniego!

Pat niełatwo było zapędzić w kozie róg:

— W takim razie gdy mój czas nadejdzie, spróbuję ten typowy irlandzki charakter trochę rozwodnić. Nie widzę siebie ani w roli starej panny, ani też kłaczy rozplodowej.

Ojciec O’Leary zmierzył ją wzrokiem z uznaniem:

— Starą panną nie zostaniesz, jeśli nasi chłopcy potrafią docenić to, co widzą. Gdybym ja miał o dwadzieścia lat mniej...

— Ja bym się nie bawiła sukienką duchowną, ojciec — przerwała mu Pat. — Chcę związku trwałego. Jeden mąż czyzna, dzielny i silny, i żadnych skoków w bok.

Większość druhów Seana — ich liczba się zwiększyła od czasu wiecu na Tarze — przybyła już do chatki. Nie starczyło dla wszystkich miejsca, więc Sean musiał wyjść na pobliskie wzgórze przed chatką, by rozdać tam legitymacje i opowiedzieć im ostatnie nowiny z działalności Stowarzyszenia. Dowiedzieli się wtedy, że Anglicy wysyłają nowe oddziały wojsk do Irlandii.

— Przestraszyliśmy ich! — zauważył z satysfakcją Kevin O’Reilly.

Pat była przezorniejsza:

— Czas pokaże, kto się kogo przestraszy — ostrzegła.

— Przecież nie chcesz powiedzieć...? — zaczął Kevin.

— Wiesz dobrze, co chcę powiedzieć.

Złośliwy epitet, jakim obdarzyła O'Connella na Tarze, zawisł w powietrzu, przypomniany, ale nie wypowiedziany. Sean przerwał dyskusję:

— Czas już iść. Lepiej, żeby oni tam pierwsi nie przyszli. Bobby na nas winę zwalili.

— Kto i gdzie? O czym ty mówisz? — pytał O'Leary.

— To nie miejsce dla księdza, wielbny ojciec — odparł John Barry. — Iz pewnością nie dla Denisa O'Grady'ego.

Może nie było to również miejsce dla wątlęgo i chromego Seana. Ale na nic by się nie zdało mówić mu o tym. Zresztą inni z grupy bojowej — twardzi, nieustraszeni mężczyźni — nie mieli silnej indywidualności, jasnego umysłu ani opanowania, potrzebnych dowódcy. Oprócz Seana wrodzone zdolności przewodzenia nad ludźmi posiadała jedynie Pat, aleją trzeba było w tych rachubach wykluczyć. Nie dlatego, aby jej brakowało odwagi czy sił fizycznych, ale karczma, gdzie odbywało się wieczorne spotkanie mężczyzn, nie była odpowiednim miejscem dla młodej dziewczyny, chociażby w spodniach i tak bojowego usposobienia.

— Jesteście członkami Klubu, składaliście przysięgę, że nie będziecie stosować przemocy — przypomniał im ksiądz.

— Jak powiedział O'Connell: nie zadamy pierwszego ciosu — odparł O'Reilly, dodając: — A w każdym razie nie dziś.

Ojciec O'Leary zwrócił się do Seana:

— Dla swoich własnych, z pewnością wystarczających powodów nie chcecie, bym poszedł z wami. Gdzie jest moja legitymacja?

— Więc ksiądz naprawdę przyłączy się do nas, oficjalnie?

— Tak myślę. Jestem nie gorszym Irlandczykiem od każdego z was. A to znaczy, że jestem gotów umrzeć za sprawę pod warunkiem, że cel, do którego dążymy, jest dostatecznie mglisty!

Szlachetny gest i przenikliwa złośliwość.

Określony program polityczny na wypadek, gdyby Irlandii przyznano samodzielny parlament, jeszcze nie istniał. O'Connell nie odważył się sprecyzować polityki, która by

zadowolili chłopów, miejskie klasy średnie i katolickie ziemianstwo. Nikt by się nie odważył tego popróbować. O tym ojciec O'Leary dobrze wiedział.

— Przecież są ludźmi — powiedział oberżysta Murphy.  
— Tak samo chcą jeść jak ty i ja i tak samo chcą kobiet.

— Psy też — burknął Sean. — Człowiek musi wykazać się czymś więcej niż zwierzęcym apetytem.

Dziwiewięciu najbardziej zapalonych bojowców, każdy z grubym dębowym bijem, przyszło do karczmy i rozprawiało zapalczywie na niewyczerpany temat — jak Anglicy traktują Irlandczyków.

Dwie osoby wykluczone z tego grona, nie wiedząc o sobie wzajemnie, podkraślały się do karczmy, korzystając z wrzesniowego zmroku. Dan wyszedł z chaty za swoją panią, ale zmęczony, czując zbliżającą się noc, stał przez chwilę u stóp wzgórza, z jedną łapą wzniesioną i śledził wzrokiem Pat, szybko znikającą w mroku, po czym zawrócił samotnie z powrotem. Były czasy, kiedy... ale teraz instynkt mu mówił, że te czasy minęły.

Wiedząc, na co się zanoszą, i przewidując szansę dla siebie, Pat ukryła się w pobliskim rowie. Ojciec O'Leary, niepewny zamiarów bojowców i niespokojny, przyczaił się koło karczmy pod oknem. Zasłony zawieszono niedbale i można było przez szpary zajrzeć do środka.

Ci dwoje pierwsi usłyszeli tętę końskich kopyt na drodze.

„Jadą — pomyślała Pat. — Józef wiedział, o czym mówi!”

Zwykle ziemianie nie niżali się do kompanii z wiejskimi „chamami”. Ale teraz tuzin młodych szlachciców zsiadło przed karczmą z pięknie utrzymanych wierzchowców i przywiązało

je do długiego poprzecznego drąga przed zajazdem. Strojni jeźdźcy, w wysokich wypucowanych butach, głośno nawołując i śmiejąc się w sposób, który świadczył o pewnej nerwowości albo o sztucznym podnieceniu, skierowali się do karczmy.

Pod koniec osiemnastego wieku w północnym hrabstwie Armagh grupa urzędników, wielkich właścicieli ziemskich i pastorów założyła Towarzystwo Orańczyków. Nazwę wzięto od angielskiego króla Williama III, księcia Orańskiego, który pokonawszy w bitwie nad rzeką Boyne swego poprzednika na tronie, Jakuba II, ogłosił protestantyzm oficjalną religią w Irlandii. Dla Anglików w Irlandii William Orański i bitwa nad Boyne symbolizowała ich polityczną i społeczną zwierzchność, dla Irlandczyków — niewolę. Towarzystwo powstało więc teoretycznie po to, by bronić religii protestanckiej, ale bardzo szybko przekształciło się w organizację szlachty i bogatszych mieszczan, zwróconą przeciw chłopom i robotnikom. Bojówkarzami, którymi wysługiwali się organizatorzy, byli przeważnie synowie członków Towarzystwa, jego sympatycy lub młodzi ludzie szukający sposobności do awanturnictwa pod płaszczykiem na wpół oficjalnym. Musiało dojść do konfliktu między orańczykami a antyunionistami. A ówczesne przysłowie głosiło, że każdy sąd przyjmie słowo orańczyka przeciwko słowu rebelianta.

Rozmiary ruchu pod wodzą O'Connella wywołały niepokój. Zaczęto organizować filie Towarzystwa Orańskiego w wielu okolicach Irlandii. Jedną taką filię zorganizował William Winter.

Ojciec O'Leary usłyszał nadjeżdżających, ale ukrył się, nie chcąc narażać się na spotkanie. Przez szparę w zasłonie obserwował, jak nowo przybyli wchodzą do karczmy. Pat odczekała, aż wszyscy już znajdą się wewnątrz i wtedy dopiero odważyła się wynurzyć z rowu i zająć strategiczną pozycję przy drugim okienku, po przeciwnej stronie karczmy. Widziała wszystko, ale dosłyszeć mogła tylko podniesione głosy. Ksiądz, który stał pod oknem tuż za oddzielnym od niego szybą karczmarzem Murphym, słyszał nieco więcej.

Sean i jego druhowie z kijami w dłoniach siedzieli na swoich zwykłych miejscach, ignorując intruzów. Pat przede wszystkim chciała się dowiedzieć, czy Michał przyjechał. Nie mogła dokładnie wszystkiego zobaczyć, bo w karczmie było ciasno i coraz to czyjeś szerokie plecy przesłaniały jej widok. Mówiła sobie, że jego obecność lub nieobecność nie ma dla niej najmniejszego znaczenia. Nie wiedziała, że ku irytacji Wintera jego syn wykręcił się od udziału w organizacji orań-czyków.

— Najpierw muszę się zorientować, co oni będą robili — tłumaczył.

— Mówisz jak dureń — wybuchnął ojciec. — Przecież będziecie działać tylko w razie potrzeby i oczywiście w ramach przepisów prawnych.

— Ja wolę zobaczyć, co to znaczy „w razie potrzeby” — upierał się Michał. — Z moich uniwersyteckich doświadczeń wiem, że gromada młodzików po pijatyce miewa dość niekonwencjonalne pomysły na temat „ram przepisów prawnych”.

I nie pojechał. Nie dlatego, że się sprzeciwiał obronie religii protestanckiej. I nie dlatego, że żywił sympatię dla ruchu O'Connella — który zresztą po wiecu na Tarze uważał za zbyt mało groźny, by wymagał ostrej formy przeciwdziałania. Jego neutralność wynikała ze zrozumienia własnych interesów. Uważał się za dziedzica obowiązków ojcowskich i nie chciał wydawać się jawnym nieprzyjacielem tych, którzy we właściwym czasie będą jego podwładnymi. I znowu — nie ze względu na nich, ale dlatego, by zaoszczędzić sobie, jak ufał, wielu kłopotów.

Nowo przybyli naumyślnie pchali się na wieśniaków, cisnęli i tłoczyli udając, że w tłoku nieuważnie potrącają łokciem czyjąś głowę lub plecy. Wieśniacy nie dawali się sprowokować. Nadal ignorowali intruzów i rozmawiali, jak odgadywała Pat, o czymś obojętnym, może o urodzaju albo o chorobie bydła.

„Ten to się dopiero poci ze strachu” — zaśmiała się w duchu Pat, patrząc na karczmarza. Murphy jednak liczył

już również w myślach, ile zgarnie pieniędzy. Krzątał się więc, napełniając szklaneczki nowo przybyłym. Jeden z nich — wysoki, barczysty i wzgardliwy, wyglądał na przywódcę — machnął ręką i zawołał tak głośno, że poszczególne słowa dolatywały uszu ojca O'Leary'ego pod oknem:

— Gdy panowie... ta hołota powinna się wynieść... a jak nie...

Murphy stał odwrócony, więc ksiądz nie usłyszał jego odpowiedzi. W tej samej chwili na mgnienie oka wytworzyła się pusta przestrzeń między jednym oknem a drugim. Pat dojrzała jedno oko, zerkające przez szparę w zasłonie. Ojciec O'Leary dojrzał dwoje oczu tuż nad przeciwną framugą okna. Żadne nie dostrzegło uśmiechu rozpoznania na drugiej twarzy. I zaraz czyjaś tęga postać wkroczyła między nich.

„Chamy” ignorowały uwagi na ich temat. Kilku „szlachetnie urodzonych” podniosło głosy tak, że oboje przypatrujący się za oknami mogli dosłyszeć:

— O'Connell... wybatożyć... pod ścianę... te wielkie wiece... jedna salwa artyleryjska... rozprawi się z hołotą...

Szklaneczki opróżniono, nalano znowu whisky. W karczmie robiło się coraz hałaśliwiej. Sean, O'Reilly — siedzieli czujni, ale nadal spokojni.

„Trzymają się w ryzach — myślał ojciec O'Leary — ale i tak ich sprowokują do burdy.”

Pat dojrzała, co wydarzyło się potem. Noga w wysokim bucie celowo kopnęła stółek, na którym siedział Kevin O'Reilly, właśnie gdy kowal podnosił kufel do ust. Kevin przewrócił się na podłogę, kij spadł ze stukiem, a kufel wyleciał mu z ręki, oblewając zawartością twarz napastnika. Pat widziała, jak Sean gestem ręki wstrzymywał swoich. Więc antyunioniści jeszcze siedzieli — aż do chwili, gdy oblany piwem napastnik kopnął Kevina, usiłującego podnieść się z podłogi. Wtedy zerwali się — a Murphy uciekł do komórki za ladą, zatraskując za sobą drzwi. Orańczycy wydobyli z kieszeni myśliwskich kurtek krótkie kije podejrzanie przypominające pałki używane przez policję.

Wybuchło ogólne zamieszanie... bójka... trudno odróżnić swoich od obcych... Dwoje obserwujących mogło dostrzec tylko poszczególne incydenty. Kevin podniósł się i wściekłym ciosem pięści odrzucił swego napastnika wstecz, na innych orańczyków... Obaj się przewrócili, ograniczając jeszcze bardziej przestrzeń na podłodze... Antyunioniści, zebrani w zwartą grupę, osłaniali Seana, który jako najslabszy był celem szczególnie zażartych ataków „bohaterskich” orańczyków. Mniej liczni od intruzów wieśniacy nie żalowali kijów. Przywódca orańczyków rozłożył Toma Kelly'ego, a sam w zamian dostał potężny cios w głowę od Jamesa Byrne'a... W parę minut następny z intruzów trzymał się za ramię, trzeci — za kolano... Poturbowani cofali się do drzwi... Krok po kroku antyunioniści wypędzali przeciwników. Murphy ostrożnie uchylił drzwi od komórki, tyle, by móc zobaczyć, co się dzieje. Odetchnął — nabrał odwagi. Bójka wyraźnie wytaczała się na zewnątrz.

Wtedy nadarzyła się sposobność, na którą czekała Pat. Odbiegła od okna i zaczęła odwiązywać wierzchowce, każdego uderzając kijem po kłębie. W nocnym powietrzu rozległ się hałas galopujących kopyt, a Pat uciekła do rowu.

Poturbowani orańczycy wypadli z karczmy na dwór, w blade światło księżyca. Za nimi ich „straż tylna”, na którą z kolei naciskali antyunioniści z Kevinem na czele i silnie kaszlącym Seanem. Bójka, ciosy, krzyki, przewracanie stołków i stołów zagłuszyło poprzednio odgłos galopujących koni.

— O Boże! Konie! — wykrzyknął przywódca orańczyków.

— Uciekajcie jak najprędzej na własnych nogach! — zawołał jeden z jego kompanów. — My tu przytrzymamy tych wcielonych diabłów...

Poranieni pobiegli drogą, kusztykając i podpierając się nawzajem. Ale w antyunionistach krew wrzała. Jeden miał oko podbite i zapuchnięte, drugi krwawił obficie z nosa. Za to reszta ponosił bojowy zapach. Nie uszkodzowani orańczycy nie ulegli się i stawili im czoło, siedmiu przeciwko sześciu

zdołnym do walki antyunionistom. Przez ten czas pozostali orańczycy uciekali, jak mogli najszybciej. Teraz nadszedł drugi wielki moment dla Pat. W spodniach i swej męskiej czapce, nie zmęczona jeszcze walką i pełna wigoru, rzuciła się w sam środek bitewnego wiru.

— Stać! Dosyć! Przestańcie!

Między walczące strony wdarła się czarno odziana postać z podniesionymi do góry, szeroko rozpostartymi ramionami. Ojciec O'Leary. Jeden z orańczyków uderzył go w pierś, aż ksiądz się zatoczył od ciosu, ale nie upadł, natomiast obudził się w nim szczerzy Irlandczyk i w mgnieniu oka zapomniał o swej duchownej szacie. Ze zdumiewającą szybkością i siłą zamachnął się pięścią, która z łomotem wylądowała na szczęce przeciwnika i rozłożyła go jak długiego na drodze. Inny orańczyk odebrał Kelly'emu kij, podniósł go nad głowę księdza. Ale nie zdążył go spuścić, sam już leżał — a na nim ktoś, kto miał mięśnie jak postronki. To Pat nurknęła w tłoku i ramionami podcięła mu nogi w kolanach. Teraz zaś złapała go za włosy i walnęła parę razy głową o ziemię.

Jeszcze ktoś dostrzegł wysoką klasę bokserską, jaką zademonstrował ojciec O'Leary. Dostrzegł — i szczękając zębami, czym prędzej się wycofał na uginających się kolanach.

Tymczasem Murphy oplakiwał połamane stołki, przewrócony stół i ladę, potłuczone szklaneczki, miedziane kufle pogięte kopnięciami ciężkich butów. Więcej szkód nie było — butelki przezorny karczmarz zawsze trzymał pod zamknięciem.

Dopiero teraz rozognieni antyunioniści zorientowali się, co zaszło w ciągu tych ostatnich paru minut — najpierw interwencja księdza, a potem jego udział w bójce. Opuścili pięści i kije, zadowoleni z wymówki, że mogą złapać oddech, a nawet pozwolić orańczykom uciec.

— Przyjaciele, zachowajcie się po bohatersku — powiedział Sean. Zakasłał krótko, sucho, i dokończył: — A ja nigdy bardziej nie przeklinałem mego kalectwa.

Pat otrząsnęła się i rzekła:



— Coś mi się zdaje, że najakiś czas będziecie mieli karczmę Murphy'ego wyłącznie dla siebie.

#### IV

Ludzie wierzący — nawet najlepsi z duchownych i świeckich — miewają często skłonność do hipokryzji w swoich stosunkach z Bogiem. Wcale nie skruszeni, powtarzają akty skruchy bezmyślnie, przypuszczając, że w ten sposób ułagodzą gniew boski. Mogłoby się wydawać, że kpią sobie z Boga, którego zwał wszechwiedzącym, przypisując mu mniej mądrości, mniej przenikliwości, mniej człowieczeństwa niż tym, których On sam miał stworzyć na swój obraz i podobieństwo. Tak też ojciec O'Leary, schylony na klęczniku, modlił się i błagał Stwórcę o przebaczenie za grzech, jaki popełnił, gdy uderzony, nie nastawił drugiego policzka, lecz złamał przysięgę i sam użył siły. Nie dla Stwórcy, lecz dla człowieka z krwi i kości — w dodatku niezbyt udanego tworu boskiego — zarezerwował odpowiedź uczciwą, szczerą, męską, którą i Bóg chyba lepiej by ocenił.

Rankiem wielebny Ffolliott przyszedł na plebanię i zaczął ostro:

— Widziałem, co ksiądz robił wczoraj w nocy! Hańba, wstyd stanowi duchownemu!

Ksiądz odpowiedział nie jak pelzający lizus, lecz jak mężczyzna:

— Więcej bym przyniósł wstydu memu stanowi, gdybym był gdzie indziej. Gdy owce w niebezpieczeństwie, pasterz winien być z nimi, aby ich wilki nie pożarły!

I tego gościa nie poczęstował whisky.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### I

— Czas, byś naprawił swoje ogrodzenie, Larkin — powiedział pan Winter do jednego z dzierżawców w Kilegad, starego człowieka powykręcanego od reumatyzmu, wsparte go obu rękoma na kijku.

Michał, konno obok ojca, dostrzegł wyraz przestachu w oczach Larkina. Kobieta, młodsza od mężczyzny, wyszła na próg chaty. Była wysoka, ale wychudzona ciężką pracą i niedożywieniem.

— To ogrodzenie mego ojca, wasza wielmożność — powiedziała. — On sam je stawiał i niechaj on je naprawia, jeśli ma dość siły do takiej roboty. Kiedy tu przyszedł, nawet jednego słupka nie było, żeby oznaczyć, gdzie się kończy jego dzierżawa, a druga zaczyna.

— To nie ma żadnego znaczenia, kto postawił ogrodzenie — odparł zimno Winter. — Ogrodzenie jest na mojej ziemi. Według prawa jest to więc moje ogrodzenie, za które wasz ojciec płaci mi czynsz dzierżawny. Jeśli nie będzie naprawione w ciągu tygodnia, wiecie, czego się spodziewać.

— Wy i wasze prawa! — rzekła szyderczo kobieta.

Na to intendent wcale nie zareagował. Pojechał dalej, by grozić i dręczyć następnego biedaka. Robił to tak systematycznie i zawzięcie, że wieśniacy doszli do przekonania, że Winter znajduje w tym przyjemność. W rzeczywistości tak nie było. Jego zwierzchnik w Anglii, lord Dunboyne, wciąż potrzebował pieniędzy. Londyńscy prawnicy dopominali się

o większe wpływy z irlandzkich dóbr, dowodząc, że usprawiedliwiają to wysokie ceny płacone na rynkach angielskich za zboże i mięso. Winter miał własne posiadłości, przede wszystkim domy w Dublinie. Ale zapożyczył się, by je nabyć, przebudować i umeblować; żył na wysokiej stopie, hucznie podejmował gości i zawsze mu brakowało gotówki. Jeśli lord Dunboyne chce mieć więcej pieniędzy, muszą ich dostarczyć jego dobra. Michał, jadąc za ojcem, rozumiał to wszystko bardzo dobrze, ale...

— Czy musimy zawsze drażnić dzierżawców? — zapytał, podjeżdżając bliżej młodej, ledwo ujeżdżonej klaczy ojca.

— Czy nie byłoby lepiej posłać któregoś z naszych parobków, żeby naprawił ogrodzenie, skoro jest nasze?

— W interesach nie ma miejsca na sentymenty — odparł Winter.

— Tu nie chodzi o sentymenty — przerwał Michał.

— Wydaje mi się, że w naszym dobrze zrozumianym interesie powinniśmy starać się o to, żeby Irlandczycy byli zadowoleni, a przynajmniej niekoniecznie aktywnie wrody.

Przyparty do muru Winter zawsze uciekał się do oklepanych banałów:

— Irlandczyków nigdy nic nie zadowoli. Ustąpić im o cal, a zechcą wszystkiego. — I dodał zupełnie szczerze:

— Im więcej będę miał pretekstów, by ich usunąć z ziemi, tym lepiej dla mnie.

— Czy to aby nie krótkowzroczność? — spytał Michał.

— Nic nie powiększa szeregów antyunionistów tak jak eks misje. Ojciec wie, że ci, którzy się awanturują i popierają O'Connella, przeważnie nie znają się w ogóle na problemach politycznych. Mają tylko nadzieję, że irlandzki parlament za pewniłby im bezpieczne gospodarowanie na dzierżawach. Gdybyśmy my i inni właściciele traktowali ich przyzwoicie...

— Znowu sentymenty — burknął Winter. — Podwładni uważają tak zwane przyzwoite traktowanie za oznakę słabości. Przyzwoite! Czy to, co się wydarzyło w karczmie Murphy'ego ostatniej nocy, jest przyzwoite? Słyszałeś o tym, przypuszczam?

— Słyszałem, służba mówiła o jakiejś burdzie karczemnej — odrzekł Michał.

Murphy przybiegł osobiście wczesnym rankiem do dworu, by złożyć panu Winterowi sprawozdanie, odpowiednio podkoloryzowane. Nie chciał, by go oskarżono o popieranie awantur w prowadzonej przez niego karczmie.

— Wieśniacy zaatakowali tuzin orańczyków — wyjaśnił Winter. — Nieźle ich poturbowali.

— Wnieście ojciec oskarżenie do policji?

— Co? Żeby całe hrabstwo się śmiało, że dwunastu tęgich orańczyków dostało cięgi od kilku niedożywionych wieśniaków, w tym jednego kaleki? A ty nie masz czego się uśmiechać. Ponieważ tam nie byłeś, będą mówili, że się zląkłeś.

— Nie zląknę się nikogo, kto to powie — odparł Michał z nagłą zaciętością. — Ale chciałbym wiedzieć coś więcej. Murphy nie jest najbardziej prawdomównym świadkiem w hrabstwie Meath!

Słońce znikło. Winter popatrzył na groźne czarne chmury nadiągające od południowego zachodu.

— Przychodzą ci czasem do głowy naprawdę dziwaczne myśli, nie pasujące do twojego stanu, mój chłopcze — powiedział. — Przysłuchujesz się O'Connellowi i za często czytujesz „Nation”. Mówisz, chcesz wiedzieć, co sądzą nasi przeciwnicy. Ale to nie tylko to. Jesteś młody i marzysz o zmienieniu świata. Tak, tak, wszyscyśmy o tym marzyli za młodu. Zarażasz się myślami jak chorobą. Ale my powinniśmy trzymać się razem, zwłaszcza wobec tych olbrzymich wieców i klubów antyunionistów, a i wybory powszechne niedaleko.

— Moje poglądy, a przyznaję, że są nie sprecyzowane — rzekł Michał — nie mają nic wspólnego z O'Connellem. Ale wydaje mi się, że olbrzymia większość Irlandczyków jest przeciwko nam. Zastanawiam się, czy tak być musi, czy też...

— Głupcy i zawistni zawsze są w większości — odparł ojciec.

W tym momencie spłoszony zając wyrwał się spod żywo-  
płotu, wyskoczył na drogę tuż pod kopyta wierzchowców.  
Klacz Wintera spłoszyła się, stanęła dęba. A jednocześnie  
zaczęły padać pierwsze wielkie, ciężkie krople zapowiadają-  
ce ulewę.

## II

Gdy Winter dyskutował z synem, Pat zaprzęgała osiołka  
do wózka, wybierając się po ładunek tortu przygotowany na  
zimę. W chatce Sean brzdąkał na harfie, próbując kompono-  
wać melodię do nowej ballady, którą ułożył poprzedniego  
dnia. Kevin poszedł do kuźni, a Molly Maginn zabrała dzieci  
w odwiedzinę do matki. Z dała wielkimi krokami nadszedł  
ojciec O'Leary i ze śmiechem opowiedział o wizycie wieleb-  
nego Ffolliotta.

— Doniesie Winterowi, że ojciec brał udział w bitwie  
— zauważył Sean.

— Nic by mnie to nie obeszło — odparł ksiądz.

— A zresztą nie doniesie. Musiałby się przyznać, że nie  
przeszkodził wam się wymknąć.

Sean zmienił temat.

— Słyszałem, że ksiądz stracił tę przystojną wdówkę,  
gospodynię.

— A tak, trochę się stała niewygodna, jak na mężczyznę  
w moim wieku.

— Ale jak...?

— Udzieliłem jej rozgrzeszenia za wszelkie grzechy,  
jakie popełniła dotąd i jakie mogłaby popełnić do końca  
swego życia...

— Dla księdza niekosztowna sprawa — zakpił Sean.

— Ale ona pojechała do Trim z taką miną, jakby nie za-  
mierzała zmarnować mojego prezentu — zaśmiał się ojciec  
O'Leary.

Weszła Pat, mówiąc:

— Deszcz! Będę musiała zaczekać. Niech diabli porwą tę przekłętą pogodę!

Ojciec O'Leary pokręcił głową z na wpół żartobliwym wyrzutem:

— Kiedy się wreszcie nauczysz nie plamić tych ślicznych dziewczęcych ustek takimi wyrażeniami?

— Kiedy ojciec zaczniesz mnie uczyć i służyć pięknym przykładem — odparła. I zmarszczyła brwi: — Nie wiem, gdzie się podział Dan.

Wszyscy troje rozmawiali po irlandzku, starożytnym celtyckim językiem, jak zwykle członkowie Klubu Antyunionistów. Seamus wkroczył do chatki, jakby był jej właścicielem. Wysoki, barczysty, mówił głośno i wydawało się, że więcej miejsca zabiera niż tamtych troje razem.

— Przekłęty deszcz! — powiedział po angielsku. — Nie mogę w taką ulewę kopać ziemniaków. — Powiesił przemoknięty płaszcz, zniszczony i połatany, na gwoździu za drzwiami. — A wy tutaj gadacie tym dziwnym językiem — mówił dalej, siadając i rozpierając się wygodnie. — Kiedy wy się wreszcie ucywilizujecie?

— Mówiąc językiem tych, którzy w taki cywilizowany sposób postępują w Irlandii? — odparła Pat, a Sean dodał gniewnym, namiętym głosem:

— Może niewiele potrafimy wskórać przeciw tym łańcuchom, którymi nas skuli angielscy dziedzice i angielscy intendenci, angielskie czynsze i angielskie podatki, angielska policja i angielscy żołnierze. Może nie potrafimy ustrzec się angielskich sądów i angielskich więzień — najlepszym z naszych rodaków to się nie udało — ale jedną rzecz angielską możemy odtrącić, wypluć: ich język. Mamy własny! A to równie ważna broń w walce jak nasze dzieje!

Seamus zaśmiał się głośno, acz z pewnym przymusem:

— Ale mówkę palnąłeś, Sean! Gdybym był Anglikiem i chciał zaaplikować Irlandczykowi naprawdę końskie lekarstwo, mianowałbym takich filozofów jak ty, by nimi rządzi!

Od kiedy Sean opuścił dom, O'Donovanowie pozostali na gospodarce zaprzestali rozmawiania po irlandzku. Anglicy robili, co tylko mogli, by wykorzenić ten język; w szkołach uczono tylko po angielsku. Podręcznik do historii dla irlandzkiego dziecka wymieniał nazwę jego własnego kraju tylko dwa razy: podbój Irlandii w XII wieku i przekształcenie jej w angielską prowincję unią z roku 1800. Cytat „To jest mój kraj, mój kraj ojczysty” wymazano z czytanek jako niebezpieczną i uczono malca dziękować Bogu za to, że jest „szczęśliwym angielskim dzieckiem”.

— Nasi przywódcy też zawinili — odezwał się O'Leary.  
— Mówią o narodzie, a pozwalają na to, by niszczone język, który najlepiej wyróżnia i określa naród.

Wówczas Seamus rzucił swoją nowinę bombę.

— Myślę, że będziecie musieli przywyknąć do mojej angielszczyzny, chyba że nauczycie mnie znowu irlandzkiego, co niełatwo przyjdzie. Ja tylko z was żartowałem, żebyście takich ponurych min nie mieli. Naprawdę przyszedłem po to, by wstąpić do Klubu Antyunionistów.

Chwila zdumionej ciszy. Wreszcie Pat spytała:

— A co cię tak naszło?

— No cóż, posłyszałem o tej waszej wczorajszej nocnej awanturce. Przyszło mi do głowy, że mnie ominęła dobra zabawa.

— Słuchaj, Seamus — powiedział Sean. — Ruch przeciwników unii nie jest zabawą. Jest sprawą śmiertelnie poważną. Jeśli zdarza się bójka, to przypadkowa, wcale nie ma jej w programie.

— Ale zdarzać się musi — odparł Seamus. — A jak się zdarzy następnym razem, to chcę tam być. Jeśli wy mnie nie przyjmiecie, to może tamci...

— Oczywiście, że cię przyjmiemy — odrzekł Sean.

— Wszystko, co pomaga załagodzić niezgodę w naszej rodzinie... Ale czy ty mówisz serio? Czy matka wie?

— Jeszcze nie, ale ona będzie za tym. Jak by mogła nie być? Matka wciąż was dwoje wychwała, od kiedy zachorowała. Dla niej słońce świeci z waszych nosów! Dwa słońca!

— I zaśmiał się znowu szeroko, uderzając się po grubym udzie.

Pat nie podobała się cała sprawa Seamusa i Klubu. Ale wiedziała, że nie mogą mu odmówić i zapędzić go, jak groził, do przeciwnego obozu. Próbowała zmienić temat, mówiąc:

— Nie widziałeś przypadkiem Dana po drodze? Wybiegł o świcie i nie ma go.

Na zewnątrz chatki rozległ się nowy głos, bardzo angielski:

— Stój, moja piękna, stój spokojnie.

Pat otworzyła drzwi. Przed nią stał Michał — a na jego wyciągniętych rękach Dan, martwy, z głową owiazaną skrwa-wioną chusteczką do nosa.

Wstrząs, jakiego doznała, wyraził się najpierw nie w roz-pacy, lecz w wybuchu gniewu:

— Ty przekłety zabójco! — wykrzyknęła. — Nie możesz nawet psu pozwolić żyć?

Ale zaraz kobieta wzięła górę w tej bojownicze w spodniach. Rozpłakała się.

Jak większość mężczyzn, Michała płacz wprawiał w za-ambarasowanie. Niedorzecznie przypomniał sobie słowa matki, że kobieta może nie mieć racji — dopóki nie płacze. Michał z pewnością wołał już płonące gniewem oczy Pat, to bardziej pasowało do niej niż łzy spływające po twarzy.

— Naprawdę, bardzo mi przykro... współczuję... — zaczął niezręcznie.

— Przykro mu... współczuje... dużo wy tam wiecie...

— Pat załamała się i wpadła pędem do chaty.

Sean, O'Leary i Seamus, poruszeni pierwszym okrzykiem Pat, wyszli przed próg.

— Może się dowiemy, jak to się właściwie stało — powiedział Sean.

— Oczywiście. Ale czy nie mógłbym...? Gdzie mam położyć...?

— Przepraszam — rzekł Sean. — Zapominam o obo-wiązkach gościnności. Proszę mi dać psa i wejść do środka.

— Ale jestem cały mokry i zablocony.



— Nie zniszczy pan naszych perskich dywanów — uśmiechnął się Sean. — Seamus, połóż psa na moim lego wisku.

Pat stała w izbie twarzą do ściany, szlochając. Starła się opanować. Nie odwróciła się. Sean podsunął stołek gościowi, mówiąc:

— Prawdziwy antyk. Proszę uważać na sprężyny.

— Może filiżankę herbaty dla pana Wintera — zaproponował ojciec O'Leary. Zwrócił się do Michała: — Przemólk pan doszczętnie. Powinien by pan wypić alkoholu, ale go tu nie trzymają, chyba że go do tej pory nie wyczułem.

— Alkohol u irlandzkiego wieśniaka?! Z pewnością nie! — wtrącił Seamus, bardzo agresywny w swej nowej roli.

— Pan Winter podwyższyłby nam zaraz czynsz!

— Tutaj nie płaci się żadnego czynszu, o ile wiem — powiedział spokojnie Michał. — Ten... dom nie stoi na gruntach dworskich.

Sean zakrzętnął się przy czajniku. Ojciec O'Leary zdjął kurtkę Michała, powiesił ją przed ogniem. Pat nadal zmagala się ze swoim żalem, zirytowana żartami, które wydawały się jej nie na miejscu. „Mężczyźni! — myślała. — Żaden z nich nie ma serca!”

— To stało się zupełnie przypadkowo — zaczął Michał.

— W rzeczywistości byłem świadkiem, nie uczestnikiem.

— Zwracał się do pleców dziewczyny. — Jechaliśmy z ojcem konno. Byliśmy po tamtej stronie wsi, dlatego tak przemo-kłem. Zając wyrwał się z żywopłotu przed konie. Klacz mego ojca jest ledwie ujeżdżona. Spłoszyła się, stanęła dęba. Zając pognał na drugą stronę...

Pat odwróciła się gwałtownie.

— Zając! Zając! — wykrzyknęła. — Kogo tu obchodzi zając? Co z...? — Spojrzała na legowisko Seana, nie była w stanie wymówić imienia martwego przyjaciela.

— Wybiegł z żywopłotu w późniejszej pogoni za zającem, dysząc mocno — odrzekł Michał. — Kopyta klaczy opadły ciężko. Pies nawet nie poczuł ciosu, który... Klacz z moim ojcem poniosła, nie mógł jej pohamować.

— Bardzo to zacie z pana strony, że pan przywiózł... że go pan tu przywiózł — powiedział ojciec O'Leary. — Kto inny by się nie zatroszczył.

„Na przykład mój ojciec” — pomyślał Michał, a Seamus prychnął śmiechem i powiedział:

— Zwłaszcza że nie można było się spodziewać alkoholu!

— Milcz, Seamus! — Pat tupnęła nogą. — Nie czas na twoje głupie dowcipy.

Przeszła jej złość na Michała. Ale chciała dalej się złościć, to jej pomagało powstrzymać łzy. Seamus zamilkł i tylko zrobił minę niewiniątka.

Michał zastanawiał się, czemu właściwie kłopotał się odwożeniem martwego psa. Jakiś wewnętrzny przymus mu to nakazał — sentymentalizm, ojciec by powiedział. Gdy Sean mu podał dymiący kubek herbaty, postanowił zmienić temat. Ale nietaktownie wybrał pytanie, które zabrzmiało wyzywająco:

— Może byście mi powiedzieli — patrząc na Seana — dlaczego poprowadziliście wczoraj wieczorem bandę na pastników do bójki z młodymi szlachecami?

— Ach, więc to dlatego pan przywiózł... Dana — Pat zmusiła się, żeby wykrztusić imię. — Użył pan biednego, zamordowanego zwierzęcia jako wymówki, by tu przyjść i nas przeprosić...

— Jest pani niesprawiedliwa — odrzekł spokojnie Michał. — Przyjechałem dla jedyne go oczywistego powodu. Nie użyłem go jako wymówki. Po prostu skoro tu jestem...

— Nie poprowadziłem żadnych napastników do bójki — wtrącił się Sean. — Mimo prowokacji powstrzymywałem przyjaciół, dopóki mogłem. Ale nadeszła chwila, kiedy brak reakcji na brutalną zniewagę byłby tchórzostwem i zdradą w stosunku do jednego z nas, którego świadomie kopnięto, gdy leżał na podłodze, upadłszy wskutek głupiego, złośliwego podstępu.

Michał był zaskoczony.

- Może mi opowiecie całą historię — powiedział.
- Waszą wersję wydarzenia.
- Gdy wysłuchał opowiadania Seana — ze wstawkami Pat i księdza — któremu również przysłuchiwał się uważnie Seamus, Michał rzekł:
- Wydaje się, że są dwie strony medalu w tej sprawie.
- Musiał być jednak lojalny wobec swoich. Dodał więc:
- Zdajecie sobie sprawę, że zabranie kijów rzuca cień wątpliwości na waszą niewinność.
- Musieliśmy być przygotowani do ataku na nas — rzekł Sean.
- Więc wiedzieliście, że orańczycy wybierają się do karczmy?
- Mieliśmy o tym informację.
- Nic w tym dziwnego — wtrącił Seamus. — Każdy wie o każdym w tej wiosce. Nie sposób dojść skąd, wie się wszystko i już!
- Michał zignorował jego uwagę i powiedział:
- Z pewnych słów wywnioskowałem, że wy dwoje — wskazał głową na Pat i księdza — również byliście w to wmiészani.
- Tak się złożyło, żeśmy wszystko widzieli — odparł pośpiesznie ojciec O'Leary. — Ja próbowałem wstrzymać bójkę, gdy się wytoczyła na drogę.
- Michał się uśmiechnął:
- Ośmielam się wyrazić przypuszczenie, że ta młoda kobieta...
- Młoda dama, gdyby to była dziewczyna z tamtego obozu — rzekła Pat.
- I jeszcze by to było pochlebstwo dla wielu z nich — wtrącił szyderczo Seamus. — Niech się cieszą pochlebstwami, Pat. Im są wyżej, tym łatwiej im schlebiać. — Wy krzywił się do Michała i z ukosa zerkając w stronę księdza dodał: — Nawet Pan Bóg lubi pochlebstwa, bo czymże innym jest modlitwa?
- Ojciec O'Leary nic nie odpowiedział, ale pomyślał: „Ten młodzik więcej ma sprytu, niżbym przypuszczał”.

Michał się zmarszczył. Przyzwyczajenie nie pozwalało mu nazywać córki wieśniaka „dama”, więc dokończył, patrząc na Pat:

— Znając panią, przypuszczam, że nie próbowała pani powstrzymać bójki.

— Do pewnego stopnia tak. Zrobiłam, co mogłam, by się przyczynić do zwycięstwa.

Zachowywała się z wystudowaną impertynencją. Michał zwrócił się do Seana:

— Czy sądzicie, że takie chuligańskie wybryki posuwają naprzód waszą sprawę?

— A czy orańczycy sądzą, że to posuwa naprzód ich sprawę? — zapytał ksiądz.

— W tej okolicy — rzekł Michał — orańczycy zorganizowali się w odpowiedzi na strony waszego Klubu Antyunionistów, nie odwrotnie. To wyście zerwali rozejm.

— Klub Antyunionistów nie stanowi zagrożenia — odparł Sean. — O'Connell, jak wiadomo, jest przeciwnikiem gwałtów.

— O'Connell? Może — rzekł Michał. — Ale czy wszyscy jego zwolennicy...?

Michał, jak to się często zdarza młodym ludziom wychowanym w ramach pewnego światopoglądu, co do którego ich własne zdanie jeszcze się nie wykrystalizowało, znalazł się na pozycjach przeciwnych do tych, jakie zajmował w rozmowie z ludźmi swojej sfer.

— Występujecie przeciw prawu — powiedział.

— To prawo wam służy, dlatego je popieracie — odparła ostro Pat. — Nas krzywdzi, więc nim gardzimy, wyzywamy je, gdy tylko możemy.

— Wasze poglądy ukształtowała wasza sytuacja — tłumaczył ojciec O'Leary. — Nasze poglądy — nasza. Bardzo odmienne są te sytuacje. Jedynym czynnikiem wspólnym Anglikom w Irlandii i irlandzkim wieśniakom jest to, że tak samo przychodzą na świat. Żyją inaczej. Niech nas Bóg wspomaga, jeśli można powiedzieć, że irlandzcy wieśniacy żyją. Oni tylko wegetują. I umierają inaczej: wy z otłuszczenia,

przepalanej wątroby; oni z głodu albo też od sznura wokół szyi czy kuli w brzuchu. I pan się dziwi, że irlandzki wieśniak wyzywa prawo, które wasz naród ustanawia i narzuca?

— Wasi przedstawiciele mają głos w Izbie Gmin w ustanawianiu tych praw — protestował Michał.

— W Izbie Gmin zasiadają ludzie, którzy wcale nie reprezentują olbrzymiej większości irlandzkich wieśniaków, bo ci nie mają prawa głosu — odrzekł ojciec O'Leary. — Czy pan sądzi, że pański ojciec, poseł z okręgu Meath, reprezentuje wolę wsi Kilegad? Oszukujecie nas w ten sposób od wieków...

— Ale te wieki uprawniają nas do czegoś. Tradycji rządzenia Irlandią nie można odrzucić — rzekł Michał.

— Tak się panu wydaje — powiedział Sean. — Dla nas to tradycja ucisku, którą my albo ci, co po nas przyjdą, wreszcie przełamamy. Historia ma długą pamięć. To, co dzieje się dzisiaj, jest następstwem czynów ludzi — po naszej stronie lub po waszej — ubiegłych stuleci. Kiedy w Irlandii wybucha powstanie czy wojna domowa, to nie dlatego że jakiś polityk nie może lub nie chce przeprowadzić w Westminsterze ustawy o niepodległości ani nie z powodu różnic religijnych, ani nawet nie dlatego że irlandzcy nacjonaści żywo odczuwają niesprawiedliwość. Takie czynniki mogą być tylko iskrami, od których zajmie się chrust. Ale chrust leży od dawna. My walczyliśmy od pierwszego podboju... Bezpośrednie przyczyny, dla których ludzie walczą jak psy o kość, są przypadkowe i mogą być nawet drobne jak kostki kurczęcia, ale właściwe przyczyny leżą w tych grubych kościach ze szpikiem. Te przyczyny od stuleci gromadzą się i nabrzmiewają do wybuchu.

— Wykład świadczący o wielkiej erudycji — uśmiechnął się Michał. — Może zbyt pragmatyczny dla mnie. Mam umysł raczej empiryczny. Zastanawiam się tylko, co byście zrobili, gdybyście uzyskali niepodległość?

— Odzyskawszy nasze prawa — zaśmiał się ksiądz — czy nie zaczęlibyśmy narzekać, że odebrano nam nasze krzywdy? Możliwe. Wszak nie przestaniemy być Irlandczykami!

— Ale w każdym razie będziemy mogli swobodnie pójść do diabła własną metodą, nie cudzą — wtrąciła szybko Pat.  
— I Anglicy nie będą mogli nas powstrzymywać.

Michał wstał, wzruszył ramionami. Argumenty budziły w nim, jak zwykle w każdym, chęć sprzeciwu. Ale nie czuł się pewny siebie po „wykładzie” Seana.

— Doprawdy nie wiem... — zaczął.

Sean, wyciągając do niego rękę, przerwał mu:

— To najbardziej obiecujące stwierdzenie, jeśli mi wolno tak powiedzieć. Kiedy wiemy, że nie wiemy, to możemy się zawsze nauczyć. A wszyscy naprawdę wiemy tak mało!

— Mów za siebie — rzekł Seamus. I dodał chełpliwie:

— Mnie może więcej czasu zajęło, by zrozumieć, ale teraz to już wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć!

— Śmiało słowa! — powiedział Sean, potrząsając z po wątpiewaniem głową i spoglądając na brata z ukosa.

A Michał dodał:

— Pozazdrościć!

Gdy deszcz przestał padać, Pat wyszła na dwór i poklepywała czekającego konia. Nie mogła się oprzeć żadnemu zwierzęciu, a przecież nie było jego winą, że należał do wroga. Sean, ksiądz i Seamus nie wyszli za Michałem.

Młody szlachcic i dziewczyna, która nie była „damą”, podali sobie ręce. Uścisk ich dłoni trwał dłużej, niż trzeba. Magnetyzm płci drżał w ich palcach, przebiegał po ramionach, poruszał ich piersi, niepokoił łędźwie. Każde przypominało sobie poprzednie spotkania — gdy Pat, jako dziecko jeszcze, poszczuła Dana, by spłoszył kucyka chłopca; gdy wdrapała się na wieżę kościelną; lanie, jakie jej Michał sprawił; wiec na Tarze. Zawsze po przeciwnych stronach, tam gdzie ich losy umieściły, ale nawet tym antagonizmem — złączeni. A jednocześnie krępowała ich społeczna przepaść między nimi, której Pat nigdy nie mogła przekroczyć, a także pamięć o tym, że z winy ojca Michała poniósł śmierć ojciec Pat. Nawet nie powiedziaławszy: „do widzenia” — Michał odjechał.

Gdy później brat i siostra kopali grób dla wiernego zwierzęcia, Sean spojrzął znacząco na Pat i powiedział:

— Kiedy widzę kota w spizarni, wiem, po co przychodzi; taki rzadko kiedy dba o formalności.

Pat nie odpowiedziała. Była zbyt wstrząśnięta. Śmiercią Dana oczywiście.

### III

Do Pat zalecał się jawnie i wytrwale Artur Tullow.

Czy chciał się żenić — nie wiadomo, ale bardzo chciał mieć Pat. Starszy od niej o parę lat, pracował jako stajenny we dworze Boyne, gdzie jego matka, szczęśliwie uwolniona od małżeńskich więzów przed dwudziestu laty, pracowała jako praczka. Jego ojciec był agresywnym brutalem, stale się upijał i maltretował żonę. Pewnego dnia po jarmarku, mocno podpity, wyruszył do Trim. Ten koński kościotrup, którego zwał wierzchowcem, nie karmiony od dwunastu godzin, potknął się na brzegu rzeki po prostu z osłabienia. Koń i jeździec utonęli, ale tylko jednego z nich oplakiwano. Wdowa wzięła się za pranie i wstąpiła do sekty metodystów. Chodząc co niedziela pieszo do Trim na nabożeństwa, zatrzymywała się po drodze w miejscu, gdzie utonął jej mąż, by odmówić dziękczynną modlitwę.

Jej syn, dobrze zbudowany, ciemnowłosy i przystojny, bardzo męski, ponosił odpowiedzialność za pośpieszną odprawę niejednej młodej pokojówki, której naiwną łatwo-wierność wykorzystawszy, dowodził później, że leżała z niejednym, nie tylko z nim. Wieś znała go i wiedziała, co o nim sądzić, ale Winterów zwiódł udawaną pobożnością którą rzekomo wpoila mu od dzieciństwa matka, znana z dewocji. Na każdą okazję miał w pogotowiu cytat ze Starego Testamentu.

Spotkawszy pewnego ranka Pat na zaprzężonym w osła wózku, stanął na środku drogi z podniesioną ręką i pozdrowił ją słowami z pieśni Salomona:

— „Któraż to jest, co się pokazuje jako zorza, jasna jako miesiąc, czysta jako słońce, straszna jako wojsko uszykowane z chorągwiami?”

— Nie wiem — odparła. — Bo ja nie jestem jasna, lecz ciemnowłosa, czy jestem czysta czy nie, to wyłącznie moja sprawa, za to straszna potrafię rzeczywiście być i dowodę ci tego, jeśli mi natychmiast nie ustąpisz z drogi!

Pat mało go znała, ale nie miała doń zaufania. Jako młoda dziewczyna nie była ślepa na jego męską urodę i zaloty właściwie sprawiłyby jej przyjemność, gdyby go bardziej lubiła. Ale Pat nie cierpiała go za uwodzenie i oszukiwanie ufnych młodych kochanek.

Potrząsnęła lejcami osiołka zwanego Rory. Zwierzak nastąpił solidnie na stopę Artura i poszedł dalej. Artur krzyknął, uskoczył, ale zdobywając się na wielkoduszność, zawołał:

— „Aczkołwiek jest sześćdziesiąt żon królewskich, a osiemdziesiąt nałożnic, a panien bez liczby, wszakże jedna jest gołębica moja, uprzejma moja, jedynaczka u matki swojej!”

Pat odwróciła się i wcale nie jak gołębica pokazała mu zdrowy, czerwony język.

Odrażony Artur próbował zdobyć dziewczynę przez Józefa, zapraszając go na piwo do karczmy, obiecując mu chwalić go przed panią du Maurier, bo jak twierdził ze znaczącą miną, był u niej w łaskach. Ale zdradził się trochę zbyt wyraźnie, że prawdziwą przyczyną nagłej przyjaźni była Pat. Szczerze gardząc młodym stajennym, Józef udawał, że nie pojmuje, o co tamtemu chodzi. A gdy wreszcie zniecierpliwiony Artur poprosił go wręcz, by go zaprowadził do chatki na wzgórzu, Józef odpowiedział równie otwarcie, że kto się chęłpi romanssem z panią du Maurier, z wrogiego obozu, nie będzie mile widzianym w sztabie Klubu Antyunionistów. W rzeczywistości gospodyni Winterów już się dawno znudziła prymitywną miłością stajennego, któremu brakowało *finesse*, i przeniosła swe zainteresowania na pewnego młodego szlachcica z sąsiedztwa. Zostawiony na lodzie Artur pilnie rozglądał się za partnerką, tym bardziej że pokojówki okazały



się już znacznie przezorniejsze w stosunku do niego. Wśród młodych mężatek znalazłby może to, czego szukał, ale mimo wzrostu i siły fizycznej Artur był właściwie tchórzem i bardzo się bał rozgniewanego męża.

Posłyszawszy, że młodszy brat Józefa przyłączył się do Klubu Antyunionistów, postanowił to wykorzystać. Pomogło mu zamiłowanie Seamusa do piwa — matka nie dawała mu na to. A Artur szastał pieniędzmi. Sam stosunkowo dobrze zarabiał, miał też odłożoną sumkę, bo pani du Maurier opłacała oddawane jej usługi. Nic też prawie nie przynosił do domu.

— Matka i tak nie ma co robić z pieniędzmi — mawiał.

— Na jedzenie mało wydaje, bo zwykle udaje się jej coś ukraść ze dworu.

Pewnego ranka nowy przyjaciel Artura przyprowadził go do chatki na wzgórzu. Seana już nie było w domu.

— Hej, przyprowadzam wam nowego członka Klubu!

— krzyczał z daleka Seamus.

Pat nie miała wątpliwości, czym Artur się naprawdę interesuje. Potrzebował pretekstu, by przychodzić do chatki, kiedy będzie miał ochotę. A Pat wiedziała, że ona sama, jeśli chodzi o Artura, nigdy nie będzie miała ochoty.

— Sean nie zapisuje na razie nowych członków ■— skłamała wesoło.

— Czemu nie? — zdziwił się Seamus. — Przecież chodzi o ilość, może nie? Każdy się przyda!

Jednocześnie mrugnął do kompana tak znacząco, że zdradziłby się nawet, gdyby Pat nie domyśliła się już wcześniej, o co im chodzi. Wiedziała też, że Sean jej nie zgani, gdy się dowie, że się na niego powołała. Sean znał Artura, spotykał go w karczmie Murphy'ego i gardził jego udawaną pobożnością.

— Sean chce najpierw zorganizować i nauczyć dyscypliny tych członków, których już mamy.

Artur pożądał Pat coraz gwałtowniej. Przymusowa w ostatnim czasie abstynencja dawała mu się we znaki. Nie potrzebował gospodyni: jego matka posłusznie spełniała te funkcje

ku jego zadowoleniu. Potrzebował kochanki. Teraz nie mógł się już dłużej pohamować. Chwycił dziewczynę za ramię i zaczął:

— „Wargi twoje jako sznur karmazynowy, a wymowa twoja wdzięczna; skronie twoje między kędzierzami twymi są jako sztuka jabłka granatowego!”

Seamus parsknął głośnym śmiechem.

Pat szarpnęła rękę i zamierzyła się, by trzepnąć Artura z całych sił w policzek. Jednakże on, znacznie wyższy, cofnął głowę i uniknął ciosu. Pat, odzyskując równowagę po nieudanym zamachu, zaimprovizowała w odpowiedzi złośliwą parodię:

— A twój język jest językiem węża, a twoje intencje to intencje psa wobec goniącej się suczki! — I dodała: — Możesz to przyjąć jako próbkę mojej wdzięcznej wymowy!

Zalotnika zaskoczyła jej bezceremonialność. Ale upierał się przy swoim:

— „O źródło ogrodne, zdroju wód żywych, które płyną z Libanu!”

— Na litość boską zabierajcie się stąd, obaj! — wykrzyknęła Pat z grymasem obrzydzenia. — Mam robotę. Wynocha, bo puszcze na was zdrój żywej wody z tego nocnika!

— Słuchaj, nie odrzucaj go — próbował wstawić się Seamus. — To chłopak do rzeczy, zarabia dobrze, ma chatę...

— I kupuje ci piwo — przerwała Pat.

Brat zignorował szyderstwo i mówił dalej:

— Lepszego nie znajdziesz.

— Jeśli nie znajde, to się powieszę! — krzyknęła.

Chwyciła miotłę i rzuciła się ku nim. Młodzi ludzie uciekli na dwór, a Pat zatrzasnęła za nimi drzwi. Głośny śmiech Seamusa zagłuszał słowa Artura.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### I

Następny wiec gigant miał się odbyć w październiku w Clentarf, w pobliżu Dublinia. Sean, Pat i Seamus nie mogli się tam wybrać, chociaż zabrałoby im to nie więcej jak jedną noc podróży. Stan matki pogorszył się, musiała leżeć ciągle w łóżku, dokuczały jej nieustanne bóle. O'Reilly, O'Grady, Byrne, Kelly, Barry i paru innych mieli reprezentować Kilegad.

Było to ostatnie zgromadzenie przed zimą tego roku. Jeśli przechwałka O'Connella o odrzuceniu unii w roku 1843 miała się okazać prawdą — nadszedł moment krytyczny. Tak też ocenił to rząd brytyjski i posłał dodatkowe kontyngenty wojsk na Szmaragdową Wyspę.

Artykuły drukowane przed tym wielkim wydarzeniem na łamach „Nation”, z których urywki Sean odczytywał członkom Klubu Antyunionistów, cechował optymizm:

„Angielski premier potroił fundusze przydzielone dla college'u Maynooth” — gdzie irlandzcy chłopcy uczyli się teologii.

Na ten temat Sean zauważył:

— Bardzo sprytnie. Ochładza nacjonalistyczny zapal katolickiego kleru, a jednocześnie pobudza orańczyków do furii.

Czytał dalej:

„Kilku wyższych urzędników protestanckich podało się do dymisji na znak protestu przeciwko zwolnieniu ze stano-

wiska ich kolegów popierających Stowarzyszenie Antyunionistów".

„Radykałowie na kontynencie łączą się z irlandzkimi emigrantami, śląc słowa zachęty i obietnice poparcia Stowarzyszeniu Antyunionistów...”

„Amerykańscy politycy zapowiadają że jeśli Anglia wda się w wojnę z Irlandią utraci Kanadę...”

„Angielscy robotnicy oznajmili, że jeśli Irlandia zostanie zaatakowana, angielska arystokracja będzie miała nie jeden naród, ale dwa do zwalczania...”

Tyle oficjalne głosy na temat ruchu niepodległościowego. W Kilegad głos nieoficjalny wyraził wątpliwości.

Chociaż mało kto wierzył w elfy, krasnoludki, koboldy i inny „mały ludek” —jednakże, jak Pat, nikt nie zaprzeczyłby ich istnieniu z obawy, by jeżeli egzystują nie wywarły swej zemsty. Toteż nawet realnie patrzący na świat Denis O’Grady zapytał babki Hogarty, czy „mały ludek” nie szepnął jej do ucha czegoś o wynikach wiecu w Clentarf i o „roku odrzucenia unii”.

— Stara powiada, że kres jest bliski — zaraportował.

— Kres czego? — pytała Pat.

— Nic więcej nie mogłem z niej wydobyć — odrzekł O’Gardy. — Mówi, że „mały ludek” zwykle wypowiada się niejasno. Dla nich czas i wydarzenia mają inne znaczenie.

— Głupia stara czarownica! Szarlatanka! — wykrzyknął Sean. — Jak ci nie wstyd, Denisie, chodzić do niej?! Mówić, że kres bliski, to tak jak przepowiadać deszcz: wcześniej czy później na pewno nastąpi. Ale co z tego?

— Nic się nie stało — usprawiedliwiał się O’Grady.

Trudno więc było coś wywnioskować na podstawie głosu nieoficjalnego. Asocjacje historyczne też nie pomagały. Bo właśnie pod Clontarf w roku 1014 wielki wojownik i Wysoki Król Irlandii Brian Boru pokonał najeźdźcze plemiona nordyckie, ale chwałę zwycięstwa przyćmiła jego śmierć na polu bitwy.

Dalszą rozmowę przerwało nadejście Seamusa.

— Chodźcie no, a pośpieszcie się—powiedział do Seana i Pat. — Matka powiada, że nie pociągnie długo.

Sean i Pat wymienili spojrzenia: obojgu się przypomniało ostrzeżenie starej czarownicy: „bliski kres”.

— Czy naprawdę tak z nią źle? — pytała Pat, wiążąc chustkę na głowie.

— A kto tam wie! — Seamus wzruszył szerokimi barami. — Ona tak często. Ale teraz powiada, że musi mieć was oboje przy sobie.

## II

Popatrzwszy uważnie na matkę, Pat posłała Seamusa, by sprowadził ojca O'Leary'ego, a także Józefa ze dworu. O'Donovanowa nie udawała. Ataki bólów wracały co parę minut, oddychała z trudem. Nadal nie chciała się zgodzić na doktora, zapowiadając, że drzwi przed nim zabarykaduje. Babka Hogarty powiedziała, że nic jej nie pomoże, więc chora się uparła.

— Tylko zmarnujecie pieniądze — powiedziała. — Za nim on tu z Trim przyjedzie, mnie już nie będzie. Odejdę z tej doliny łez... do świata, do którego... chociaż nas zawsze za pewniano, że jest lepszy... niechętnie odchodzimy.

Gdy przyszedł ojciec O'Leary, chora jakby się ożywiła. Kłopotą się o to, co leżało jej na sercu przez całe życie.

— Pomódlmy się — powiedział ksiądz. — I udzielę ostatnich sakramentów.

— Z tym można poczekać — odparła. — Bóg mi okaże miłosierdzie, nawet jeśli już będę nieprzytomna. Dopóki mogę jeszcze myśleć, posłuchajcie mnie. Ksiądz będzie świadkiem tego, jak chcę rozporządzić moją własnością. Aby nie było zadnych kłótni.

Wypowiadała swoje ostatnie zarządzenia z wysiłkiem, między spazmami bólu, ale były jasne i najwyraźniej wynikały z długich, starannych przemyśleń.

— Eoinowi i Seamusowi zostawiam zwierzęta, narzędzia, zbiory. Józefowi to, co jest w domu, oprócz skrzyneczki, którą znajdziecie za obluzowaną cegłą zalepioną gliną za moim łóżkiem...

— Czy to, co jest w domu, przyda się Józefowi? — spytał Sean. — Więcej niż innym, którzy tu żyją?

— Tak, ochroni go — odrzekła matka po chwili przerwy, by przemoc ból. — Jeśli tamci dwaj wyprzedzą zwierzęta... będą musieli się wynieść... nie mogą prowadzić gospodarki bez zwierząt. Wtedy Józef też będzie coś miał... niewiele, ale zawsze.

Nie mówiła łatwo ani płynnie. Brak jej było tchu, musiała wciąż przerywać, jej cierpienia budziły litość obecnych prócz Eoina i Seamusa; ci chcieli tylko się wyrwać spod rąk ciężkiej ręki matczynej.

— A skrzyneczka? — przynaglił Eoin, a Seamus dorzucił:

— Tak, co w niej jest?

— Około pięćdziesięciu funtów... i trochę złota, które mi brat przysłał... To dla Seana i Pat.

— Dlaczego? — obruszył się Eoin.

— Bo ja... tak chcę. — O'Donovanowa mówiła z coraz większym trudem. — A wielbny ojciec... jest świadkiem... mojej ostatniej woli... Ci... ci... — gestem niepewnej, na wpół bezwładnej ręki wskazała najstarszego i najmłodszego ze swych synów — będą się słuchać ojca... choćby tylko ze strachu przed Bogiem... albo diabłem.

— Ja tego nie chcę! Nie przyjmę! — zawołał Sean.

— Ani ja — dodała Pat.

— No widzi matka. Seamus i ja, my będziemy wiedzieli, co z tym zrobić — rzekł Eoin.

— Nie kłóćcie się ze mną... nie mam sił... ani czasu... — poskarżyła się umierająca kobieta.

— Bardzo mi przykro, mamó, aleja nie mogę. I tak samo Pat, wiem o tym! — upierał się Sean.

— Nie ma potrzeby się klócić — wtrącił Seamus. — Weź to, Sean, i oddasz Eoinowi i mnie.

— Mam pewną propozycję — odezwał się ksiądz. — Proszę oddać na kościół zawartość tej skrzyneczki.

— Aby się wydawało... że kupuję sobie... drogę do nieba? — wykrztusiła O'Donovanowa. — Nie. Tak robią bogaci... Jeśli Bóg... nie zechce przyjąć... kobiety, która całe życie się trudziła... dla swojej rodziny... tylko chce jej pieniędzy, to...

— A czemu by tego nie oddać na fundusz Stowarzyszenia Antyunionistów? — zaproponowała Pat.

Jej matka zdobyła się na kpinę nawet w agonii:

— Co? Nielegalne zyski ze szmuglu? — spytała.

— Jeśli kościół mógłby je przyjąć, to mogłoby i Stowarzyszenie — zauważył Sean.

— Odbierać własnej głodującej rodzinie, by dać temu rebeliantowi O'Connellowi?! — krzyknął Eoin.

I nawet najnowszy członek Klubu nie mógł się powstrzymać:

— Matka zawsze chciała wszystkiego dla rodziny. Nie może matka teraz...

Ale matka ich zignorowała.

— Czy taka jest twoja wola, Seanie... i twoja, Pat?

— Tak — odpowiedzieli jak jednym głosem.

Eoin wybuchnął:

— Ojcie, ojciec nie może do tego dopuścić! Przecież ona jest niespełna rozumu!

— Każdy może swoją własnością rozporządzać, jak zechce — odrzekł spokojnie ksiądz. — A według wszelkich oznak wasza matka doskonale sobie zdaje sprawę z tego, co czyni.

— Już my zobaczymy... później — zapowiedział znacząco Eoin.

— O tak, zobaczycie! — Na chwilę oddech umierającej stał się lżejszy, mówiła swobodniej. — Józefie, bywałam często surowa dla ciebie. Ale wiem, że tobie mogę ufać. Odsuń łóżko, wyjmij skrzyneczkę i zanieś ją na plebanię. Ojciec O'Leary dopilnuje, aby moje życzenia...

Wydawało się, że straciła przytomność.

Łóżko odsunięto, skrzyneczkę znaleziono. Ojciec O'Leary dał Józefowi klucz od plebanii, potem udzielił umierającej ostatnich sakramentów. O'Donovanowej na chwilę znowu wróciła przytomność, tak że przyjęła sakrament z całą świadomością. Ale później zapadła jakby w odrętwienie.

Babka Hogarty stanęła na progu, ale Sean ją odpedził precz.

— Zabiłaś ją! — krzyknął. — Gdyby nie ty, miałyby doktora i może by jeszcze długo żyła! Precz, czarownico!

Stara kobieta krążyła wokół domu przez całą noc, mamrocząc jakieś zaklęcia.

Ojciec O'Leary czuwał razem z rodziną, O'Donovanowa chwilami wymawiała zrozumiałe zdania, zawierające okruciny jej mądrości życiowej, udzielała jeszcze rad, słyszanych po wielokroć:

— To i dobrze... bo wszyscy chcemy długo żyć... a boimy się starości...

— Trzymajcie się z dala od karczmy... tam sprzedają szaleństwo butelkami... whisky zatopiła więcej ludzi niż niż morze...

Józef wrócił z plebanii. Zamknął skrzyneczkę w szafie, klucz zwrócił księdzu.

— Sean się powinien ożenić — szepnęła O'Donovanowa i znowu zapadła w odrętwienie.

— Więcej wiem o kobietach niż żonaci mężczyźni — mruknął Sean do ojca O'Leary. — Gdyby nie to, już byłbym żonaty.

Eoin i Seamus kręcili się po izbie, nie mogąc spokojnie znieść tego długiego czuwania. Chwilami pomrukiwali gniewnie coś o skrzyneczce matki.

Józef klęczał obok ojca O'Leary'ego: obaj przesuwali w palcach paciorki różańca.

O'Donovanowa poruszyła się, ale nie otworzyła oczu.

— Pat...

— Tak, mam. Jestem tu, przy mamie.

— ...za dużo myślisz... kiedy kobieta zaczyna myśleć... traci... co najwięcej dla niej użyteczne... intuicję... — I jesz-



cze: — Miej oczy otwarte... przed ślubem, trochęje przymykaj... po ślubie.

Potem długa przerwa. Wreszcie O'Donovanowa wróciła do tematu, który najwidoczniej zaprzątał jej uwagę od dawna:

— Wyjdź za męża... bo pewnego dnia znajdziesz się... pod gołym niebem, bezdomna...

Sean mruknął jakby do siebie:

— Młode byczki już zagląдают przez płot.

Pat usłyszała go, choć jej głowa chyliła się od bezsenności. Skrzywiła wargi, bo słowa Seana przypomniały jej Artura Tullowa. Ale kiedy bardziej pociągająca postać zaczęła się kształtować przed jej na wpół przytomnymi oczyma, wówczas niewyraźny głos matki znowu przywrócił jej świadomość otaczającej rzeczywistości:

— Naucz się gotować... całowanie trwa rok... a gotowa nie... całe życie.

Dziwne, że takie były jej ostatnie słowa. Oddychała jeszcze, coraz ciężej, przez dwie godziny. Potem westchnęła, jakby wdzięczna za ulgę. „Kres.”

### III

Sean i Pat zajęli się przygotowaniami do obrzędów zwyczajowo związanych ze śmiercią. Do tradycji irlandzkich należało nocne czuwanie przy zmarłym, rozpoczynające się uroczyście od obrzędowego lamentu, a kończące zwykle, wobec słabości natury ludzkiej, zwłaszcza w jej irlandzkiej odmianie, pijaństwem i wybrykami.

Po śmierci męża O'Donovanowa nie urządziła stypy, uważając za grzech marnotrawienie ciężko zarobionych pieniędzy. Ale Eoin i Seamus nie mieli takich skrupułów: Sean i Pat respektowali wszelkie irlandzkie tradycje; a Józef się zgadzał, jak to było jego zwyczajem.

Na skinienie ojca O'Leary'ego Eoin i Józef przynieśli ciało do izby, w której sami sypiali, tej samej izby, gdzie przed dziesięciu laty leżały zwłoki ich ojca zabitego kulą żołnierską. Seamus zabrał sienniki z łóżka matki i wyniósł je przed chatę. Reszta rodziny przyłączyła się tam do niego. Zgodnie z rozsądnym zwyczajem likwidowania możliwości infekcji, najstarszy syn podpalił sienniki. Gdy płomienie skoczyły w górę, cała rodzina wybuchnęła wielkim lamentem, ale jego efekt zepsuł cokolwiek osiołek Pat, Rory, który uznał za stosowne przyłączyć się i zagłuszył wszystkich swym niesamowitym rykiem.

Jednakże udział Rory'ego raczej przyczynił się do skuteczności tego zwyczajowego sygnału, oznajmającego całą wsi, że śmierć przeszła drogą i zabrała jednego z mieszkańców. Prawie natychmiast, chociaż zaledwie świtało, sąsiedzi zaczęli wychodzić z domostw, kobiety w czarnych chustkach na głowie, kierując się do gospodarki Wolfe Tone. Głośnym płaczem i lamentami wyrażano współczucie. Zapomniano o tym, że O'Donovanowa nie cieszyła się sympatią we wsi. Należało dochować zwyczajowych obrzędów — tym bardziej że co najmniej dwoje z jej dzieci powszechnie szanowano, zaś Józefa lubiano za jego łagodną dobroć.

Na razie wszystko odbywało się zgodnie ze zwyczajem. Przez cały dzień rodzina przygotowywała się do nocnego czuwania. Pat jeździła zaprzężonym w osiołka wózkiem po wsi, a nawet po sąsiednich wsiach, pożyczając jedenaście brązowych świeczników — liczba powinna być nieparzysta i możliwie największa. Ojciec O'Leary dostarczył wysokie grube świece. Wydano te pieniądze O'Donovanowej, które nie były „w skrzynce”. Pat sprzedała wieprzka George'owi Nolanowi, katolickiemu szlachcicowi, u którego niekiedy pracowała. Za całą tę sumę zakupiono tytoń i ciasto w sklepie Sullivana oraz piwo — częściowo na kredyt — w karczmie Murphy'ego. Dziwić się tylko należało, że duch zmarłej nie powstał z grobu, by potępić takie marnotrawstwo.

Gdy zapadł zmierzch, ze stodoły wygnano krowy i przywiązano je u płotu. Podłogę w stodole zgrabiono, zamieciono,

umyto. Drzwi zdjęto z zawiasów i położono na czterech stołkach przyniesionych z domu. Na takich marach złożono ciało, przykryte, prócz twarzy, białym prześcieradłem; na piersiach zmarłej umieszczono talerz z solą. Brązowe świeczniki ustawiono dookoła ciała na marach.

Józef przyszedł, niosąc od Winterów wielki bukiet chryzantem. Te Pat wzgardliwie ofiarowała Rory'emu. Osiołek początkowo zabrał się do jedzenia kwiatów, ale później, jakby i on chciał się zdobyć na gest odtrącenia, wypluł łodygi i podeptał bukiet.

O godzinie dziewiątej zapalono świece, przyjaciele i sąsiedzi zgromadzili się znowu. Przyszli wszyscy członkowie Klubu Antyunionistów, włącznie z żonami i starszymi dziećmi. Ojciec O'Leary rozpoczął ceremonię uroczystą modlitwą za zmarłą. Następnie Sean grał na harfie żałobne melodie, a wśród gości rozdzielano fajki i tytoń, ciasta i piwa. Sean łagodnym tenorem, a Pat dźwięcznym kontraltem śpiewali o obracającym się nieustannie kole życia i śmierci:

*Na jej pogrzebie dzisiaj... a jutro na moim...*

Przez pewien czas wszystko odbywało się przystojnie, składano kondolencje, śpiewy miały nastrój żałobny, twarze zachowywały powagę i smutek. Ale stopniowo irlandzka stypa nabierała swego zwykłego charakteru. Takie ilości wypitego piwa nie mogły nie wywierać wpływu na niedożywione organizmy. Starszych uczestników ogarniała senność, więc zaczęli się wymykać. Ojciec O'Leary pilnował, żeby nie przewrócono świeczników. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni flaszkę i podawał Seanowi, zanim przechylił ją do własnych ust. Chłopcy i dziewczęta zaczęli dokazywać, a później znikać parami. Denis O'Grady zaśmiał się:

— Więcej dzieci poczęto po stypie niż w czasie nocy poślubnych!

Pat siedziała w kącie stodoły. Nic nie jadła ani nie piła. Nie była to z jej strony świadoma abstynencja ani też manifestacja

zmarwienia. Stypa musiała się odbyć, ale ją zużyła. Chciała, żeby jak najprędzej było po wszystkim. Zdawała sobie sprawę, że jest rada, iż Michał Winter nie ogląda tego widowiska, którego by nie mógł aprobować ani zrozumieć. Józef ją poinformował, że młody pan wyjechał w podróż do Francji, Szwajcarii, Austrii, do miast włoskich, a nawet do Grecji i Turcji. Była to jego wielka podróż na kontynent, mająca trwać może i do dwóch lat, na zakończenie tego, jak złośliwie mówił ojciec O'Leary, czego młody szlachcic angielski nigdy nie zaczynał — edukacji. Sean zauważył:

— Wysyłają młodych paniczyków za granicę, bo tam nie ma obawy, żeby się zarazili niepożądanymi obyczajami, skoro muszą przebywać tylko w kompanii Anglików, jako że nie znają innego języka prócz angielskiego.

Rzeczywiście „edukacja” nabywana w „wielkiej podróży” polegała głównie na poznawaniu obcych trunków i obcych kobiet, bo wiadomo było, że podróżujący młodzi arystokraci rzadko kiedy kładli się do łóżka na trzeźwo i samotnie.

— W ogóle o mnie nie wspomni — wzdychała Pat.

Michał często gościł w jej myślach, od kiedy przyniósł ciało Dana do chatki, tak często, że przestała już odpędzać jego natrętną wizję. I teraz wpadła w zadumę, ale do rzeczywistości przywołał ją Artur Tullow. Mocno podпиты, podszedł z nieodzownym cytatem na ustach:

— „Przyjdź, miła moja: wyjdziemy na pole...”

Pat popatrzyła na niego z pogardliwym niesmakiem, ściągając w dół kąciki ust, ale nie zaszczyciła go odpowiedzią.

— Dalejże! No śmiało! — zachęcał Seamus. — Kiedy dziewczyna milczy, to zaprasza! Mówię ci, ja wiem!

Ośmielony wypitym piwem młody stajenny spróbował ją objąć. Ale potknął się na nierównej podłodze stodoły, a Pat skorzystała ze sposobności i nogą podbiła mu kolana. Artur przewrócił się jak długi, a potem usiadł, rozcierając głowę, którą mocno uderzył o podłogę. Pat rzekła:

— Trzymaj ręce przy sobie. Wolałabym iść do piekła niż z tobą w pole!

Tulłow, oszołomiony trunkiem i uderzeniem, zdawał się jej nie słyszeć ani nie rozumieć jej słów. Patrzył wciąż na nią, uśmiechając się lubieżnie i ochryplym głosem powiedział:

— „Ten twój wzrost podobny jest palmie, a piersi twoje gronom...”

Na co Pat rąbnęła go z całej siły otwartą dłonią w głowę i wyszła na dwór. Artur potoczył się pod improwizowane mary, ramię zaplątało mu się pod stołek i nagle... drzwi i zwłoki spadły na niego. Pozostali goście od razu wytrzeźwiali na ten widok. Pół tuzina rąk wyciągnęło się, by podnieść odkryte groteskowo ciało, które leżało powykręcane jak złamana lalka rzucona przez dziecko. Ojciec O'Leary rzucił się kropić dookoła święconą wodą, mamrocząc niezupełnie zrozumiałe modlitwy, jakby chciał ukryć przed Panem Bogiem znieważenie majestatu śmierci.

Ten incydent ostatecznie zakończył stypę. Ale było już dobrze po północy, nim wszyscy wyszli, oprócz O'Donovanów, księdza i Artura Tulłowa, leżącego tam, gdzie się potoczył od ciosu ręki Pat i gdzie spadły na niego mary. Eoin i Seamus podnieśli śpiącego znawcę Biblii, zaciągnęli go z trudem do bramy i wyrzucili na drogę.

Józef potrzęsnał głową.

— Bardzo to wszystko nieprzystojne — mruczał.

A Sean, sceptyk i kawaler:

— Wcale nie. Jemy i upijamy się na weselach, chrzciach, na stypach i kiedy nie mamy nic lepszego do roboty. Może w ogóle nie mamy nic lepszego do roboty!

#### IV

Gorączka przedwiecowa opadła trochę w domu O'Donovanów wobec rodzinnych zdarzeń. Co prawda śmierć matki nie dotknęła głęboko nikogo w rodzinie oprócz jednego

Józefa, który był milczkiem i nikt naprawdę nie wiedział, co on czuje i myśli. Matka rządziła żelazną ręką. Wszyscy czuli się z nią związani silnym chłopskim poczuciem wspólnoty rodzinnej, ale mało czym innym. Jednakże udzieliło im się poruszenie, jakie jej zgon wywołał wśród sąsiadów. Podówczas śmierć nie była jeszcze codziennym, nawet cogodzinnym, gościem na irlandzkiej wsi, jakim miała stać się niebawem. Na razie posepny gość dostarczał pewnego rodzaju urozmaicenia, bardzo pożądanego w ciężkiej, nudnej, nieprzerwanej rutynie siewów i żniw, płacenia czynszów i wy-skrobywania resztek na następny posiłek. O'Donovanowie stali się z konieczności ośrodkiem tej rozrywki. Wiec w Clontarf znalazł się chwilowo w cieniu.

Ale już następnego dnia po stypie grupa członków Stowarzyszenia pod wodzą Kevina O'Reilly'ego wyruszyła z wielkimi nadziejami do Clontarf. A rankiem w dzień pogrzebu delegaci powrócili zmęczeni, przygnębieni i gniewni — tym razem nie tyle na Anglików, ile na samego O'Connella.

— Byliśmy jeszcze o kilka mil od Clontarf — opowiadał O'Grady, drapiąc się rozpaczliwie swoim hakiem — kiedy nadjechali konni, wysłani przez O'Connella, żeby zawiadomić nas i setki tysięcy innych na gościńcach, że wiec odwołano. Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Postanowiliśmy iść dalej, a kiedy wreszcie dotarliśmy do Clontarf, zastaliśmy na okolicznych wzgórzach obozowisko angielskich żołnierzy. Było ich najwyżej z tysiąc.

Księżę Wellington, jak się dowiedziała grupa z Kilegad, przemógł chwilową słabość, która w roku 1829, gdy był premierem, kazała mu skapitulować wobec postawionego przez O'Connella żądania emancypacji katolików, i odzyskawszy charakterystyczną nieugiętość, przekonał Sir Roberta Peela w wilię wiecu w Clontarf o konieczności zakazu publicznych zebrań. Aby mieć pewność, że wbrew zakazowi wiec nie zostanie zorganizowany, polecił wysłać wojsko. W tym momencie sprawdziły się chełpliwe zapowiedzi pana Wintera, obawy Seana i niektórych druhów z jego grupy, a może także i zagadkowe proroctwa babki Hogarty.

— Jedni, kiedy usłyszeli ostrzeżenie jeźdźców, zawrócili od razu — John Barry podjął opowiadanie. — Ale większość zrobiła to co my: poszła dalej do Clontarf w nadziei, że może jednak O'Connell poprowadzi nas na żołnierzy, przecież była ich tylko garstka ostatecznie! Ale ani O'Connell, ani żaden z jego najbliższych kompanów wcale się nie pokazał.

— A chociaż część zawróciła — zauważył Tom Kelly — było nas jeszcze więcej, powiedziałbym, niż na Tarze. I zatłoczone statki płynęły z ludźmi z Glasgow i z Liverpoolu.

Kevin dorzucił:

— Gdybyśmy tylko jedno słowo usłyszeli, wrzucilibyśmy Anglików do morza!

Ale O'Connell miał wszelkie kwalifikacje na wodza rewolucji prócz tej jednej, że nie chciał rewolucji. Żaden Irlandczyk przed nim nie miał takiego wpływu na masy, iżby mógł jednym słowem wezwać rodaków pod broń — choćby tą bronią były dzidy, widły i dębczaki w braku karabinów. A jednak on właśnie nie chciał tego słowa wypowiedzieć. Jego tchórzliwość skłoniła księcia Wellingtona do historycznego, ale niegodnego szyderstwa z odważnego i szlachetnego narodu:

*„Pour la canaille, fait la mitraille”.*

*Tak „siłą moralną” zgasa jak zamoczony knot.*

— Irlandię wygrano pod Clontarf i pod Clontarf Irlandię przegrano — rzekł O'Grady, dumny z melodramatycznego epigramu.

A Pat, coraz częściej zabierająca głos w dyskusjach, zauważyła:

— Wellington, urodzony w Irlandii, wygrał drugie Waterloo. Te olbrzymie tłumy, setki, tysiące... a O'Connell nie wie, co z nimi począć. On jest jak ta krowa, co to da pełne wiadro najlepszego mleka, a później je przewraca jednym kopnięciem.

— W naszym ruchu niepodległościowym kryje się paradoks — powiedział Sean. — Przywódcy nie uosabiają cnot

swoich zwolenników, ich siły i heroizmu. Tylko naród jako całość posiada te zalety. A naród potrzebuje przywódców...

Najbardziej zmartwił się ojciec O'Leary. Wiedział, co znaczy załamanie „siły moralnej”, co znaczy zdrada O'Connella. Ręka, która wstrzymywała gwałty, napaści, wystąpienia zbrojne, rebelię nawet, została jakby nagle sparaliżowana. A łatwo było odgadnąć, czego można się spodziewać po ludziach płomiennymi wezwaniami rozpalonych do białej gorączki, a potem nagle pozostawionych samym sobie. Dalsza rozmowa wyraźnie tego dowiodła.

— Pod Clontarf był jeden człowiek — powiedział O'Grady — który jeździł na koniu między ludźmi, nawołując ich, by nie rozpaczali i nie pozwolili się rozpaść organizacji. Mówił: „Przywódcy czasem zawodzą, ale naród żyje i walczy dalej”. Nazywał się Smith O'Brien i podawał się za potomka Briana Boru...

— Słyszałem o nim — przerwał ojciec O'Leary. — Jest ziemianinem, posłem z okręgu Clare.

— Mówił, że dopiero co wrócił z podróży po kontynencie — ciągnął O'Grady — i że nigdzie tam nie ma takiego ucisku, takiej niedoli, które by można porównać z uciskiem angielskich rządów w Irlandii.

— Jeśli O'Connell nie poprowadzi nas do walki, to zrobi to Smith O'Brien! — wtrącił z zapalem Kevin. I dodał z szyderczym grymasem pod adresem księdza: — Ja opowiadam się za O'Brienem i za rebelią! Dość już gadaniny i wieców, i przezorności!

— Niestety, nie bardzo ufam ziemianom w charakterze przywódców chłopów — mruknął Sean. — Oni tylko wtedy chwytają za łopatę, kiedy się boją, że my uciekniemy z ziemniakami.

Nie było już czasu na dalsze dyskusje, na prześledzenie powodów katastrofy. Za godzinę kondukt pogrzebowy miał opuścić gospodarkę Wolfe Tone, udając się do kościoła i na cmentarz. Ale wieczorem Sean usiadł z harfą w rękę i gniewnie szarpiąc struny, układał balladę, która razem z melodią miała się ukazać na łamach następnego numeru „Nation”:



*Ziemia nie dość głęboka, by ukryć  
Tchórzliwego niewolnika, który się cofa...*

## V

Pogrzeb odbył się składnie, bez żadnych przeszkód. Choć lał prawdziwie irlandzki deszcz, zebrało się wielu mieszkańców Kilegad i okolicznych wsi. Trumnę nieśli trzej synowie zmarłej i Kevin O'Reilly, który sam się ofiarował w zastępstwie Seana mówiąc, że kusztykanie kaleki robiłoby wrażenie, jakby zmarła O'Donovanowa dostała czkawki.

Procesja mężczyzn, kobiet i dzieci rzetelnie wywiązała się z tradycyjnego obowiązku głośnego zawodzenia:

— Och! Och! Och! Ach... Ach...

Głosy wznosiły się coraz wyżej od pierwszego „Och” do ostatniego „Ach” w żalonym lamencie.

Większość zawodzących żałobników, trzeba tu zauważyć, należała do Kościoła protestanckiego. Było to powszechne zjawisko przy takich okazjach. Protestantów bowiem przeważnie zatrudniała angielska szlachta, a ta wiedziała, że nie można odmówić wolnego popołudnia na udział w pogrzebie — wszystko jedno czyim. Katolicy natomiast od rana do nocy pracowali w swoich gospodarstwach. Jedną z kobiet, kucharka z zamożnego dworu odległego o jakieś trzy kilometry, szczególnie donośna w lamentowaniu, zapytała idącego obok niej uczestnika pogrzebu:

— Ach! A kto tam jest w tej trumnie? Po kim płaczemy?

Jedynie incydenty, urozmaicające zwykłą monotonię pogrzebowej rutyny, wiązały się z karetą wynajętą w Trim przez żonę sklepikarza Sullivana, aby deszcz nie zniszczył jej czarnego czepeczka i zapinanych na guziki bucików, które nosiła na każdym pogrzebie klientów swego męża przez ostatnie dwadzieścia lat i zamierzała nosić przez drugie dwadzieścia. Wynajęta stara landara rzeczywiście ocaliła czepeczek, ale

nie oszczędziła bućków i naraziła na poważny szwank jej dostojeństwo.

A było to tak. Kiedy Sullivanowa zobaczyła Pat na wózku, nad którym rozpięto, żeby osłonić Seana przed deszczem, prowizoryczne urządzenie przypominające namiot po uderzeniu cyklonu — uparła się, że musi mieć w kondukcje pierwszeństwo przed osłem.

— To zależy, czy osioł jest przy dyszlu, czy siedzi w powozie — wypaliła Pat.

Zanosilo się na bójkę, bo Pat była silna i muskularna, a pani Sullivanowa miała potężniejszą wagę i praktykę nabytą w biciu własnego męża. Ale wmieszał się Rory. Wydał z siebie jedno z tych niesamowitych ryknięć, które każą się dziwić, czemu matka natura obdarzyła te zwierzęta tak długimi uszami, by słyszały własny głos.

— W Kilegad padł krajowy rekord — powiedział później ojciec O’Leary. — Najgłośniejszy lament na irlandzkim po grzebie. Dzielnym Rory!

Sean pod chwiejnym brezentem trząsł się ze śmiechu. Głos pani Sullivanowej, chociaż przyzwyczajony do wrzasku, nie mógł jednak współzawodniczyć z Rorym. Pat popędziła zwierzę i zajęła miejsce tuż za trumną.

O pół mili od kościoła wydarzył się następny incydent. Z pojazdu pani Sullivanowej wypadła podłoga. Pasażerka wydała okrzyk, który mógł zaiste współzawodniczyć z rykiem osła, a zarazem był próbą tego, z czym miał do czynienia jej małżonek. Ale woźnica okazał się kompletnie głuchy. Co więcej, spał smacznie na koźle. Szkapa, z opuszczoną głową, kusztykała dalej, a lamentujący uczestnicy konduktu mieli tak pyszną zabawę, że nie kwapili się z interwencją. Tak więc pani Sullivanowa, przeklinając i złorzecząc, musiała maszerować wewnątrz karety — widać było tylko jej nogi i spódnice, gdyż głowa znalazła się poniżej poziomu okien.

Trudno było żalobnikom zachować w takich okolicznościach powagę godną pogrzebu. Ale może z trudem ukrywane śmiechy nie tylko wiązały się z kłopotami sklepikarzewej,

należały również do irlandzkiej tradycji pogrzebowej. Nie na próżno dziekan katedry Świętego Patryka w Dublinie, urodzony w Irlandii, Jonathan Swift, autor sławnych „Podróży Guliwera”, na sto lat przed śmiercią O'Donovanowej powiedział:

„Najweselsze twarze widuje się w karetach konduktu pogrzebowego”.

## VI

W Kilegad ostatnim wydarzeniem roku 1843 były wybory do angielskiego parlamentu.

Ustawa o emancypacji katolików z roku 1829 była po trochu oszustwem, ponieważ jednocześnie podwyższono cenzus majątkowy dla głosujących. W rezultacie uprawnienia do głosowania otrzymali tylko zamożniejsi katolicycy ziemianie i kupcy. A wielu z nich dążyło do wspinania się po społecznej drabinie za każdą cenę i tak pragnęło dopuszczenia do kół angielskiego ziemiaństwa, że wypierało się rodaków i demonstracyjnie popierało kandydatów protestanckich.

Przyznanie prawa głosu większej ilości posiadaczy gospodarstw chłopskich o niewielkim areale, którzy nie mogli mieć nadziei na wciśnięcie się do elity, byłoby — zdaniem autorów ustawy — równie niebezpieczne jak uprawnienie dzierżawców. Jeszcze by wystawili własnych narodowych kandydatów! Wyłączano ich więc postanowieniami ustawy o emancypacji katolików.

Kontrkandydatem dotychczasowego posła z okręgu Meath, pana Wintera, był dubliński adwokat, nieznanym nawet z nazwiska w Kilegad, tak zwany liberał. Winterowi zależało na posłowaniu głównie dlatego, że nie chciał utracić możliwości uzyskania dla krewnych i przyjaciół dobrze płatnych posad i synekur, które rząd zwykle przydzielał w charakterze łapówek za poparcie. A liberalnemu adwokatowi zależało na

występowaniu w dobrze płatnych procesach przed sądami londyńskimi.

Wieśniacy — dzierżawcy i drobni właściciele — nie mieli żadnej roli do odegrania w wyborach. Co najwyżej mogli głośno i bezskutecznie protestować przeciw obu kandydatom.

Uprzedzając taką ewentualność, pan Winter puścił w obieg pogłoskę, że zamierza obniżyć czynsze. Rozsiewali te pogłoski gajowy Curran i jego pomocnik Keefe, do którego obowiązków należało łapanie królików (ten powtarzał, co mu kazano, z porozumiewawczym mrugnięciem), oberzysta Murphy i — co było bardzo dziwne — członek Klubu Antyunionistów Seam us O'Donovan, przypuszczalnie poinformowany przez Józefa. Pan Winter prowadził otwarty dom dla szlachty z sąsiedztwa — kosztowna, ale skuteczna metoda zyskiwania głosów, lepsza od pompatycznych przemówień. Wydawano nieustannie wystawne przyjęcia, stoły ugiwały się od mięsiva i win, a większość gości płci męskiej służba musiała później wynosić do powozów.

W wilię i w dzień wyborów w karczmach w Kilegad i w innych wioskach podawano bezpłatnie piwo w nadziei przytłumienia sennym opilstwem ewentualnych demonstracji. Jednakże w Kilegad zdumiewająco mało osób skorzystało z hojności pana Wintera. Na walnym zebraniu Klubu Antyunionistów przed wyborami Sean i Pat przekonali członków, że nie powinni zaglądać do karczmy.

— Nie jesteśmy wieprzkami, byśmy złopali aż do sennałości pomyje w ich korytach — wołała Pat.

A Sean tłumaczył:

— Będziemy się zachowywać spokojnie, bez demonstracji prócz jednej. Co do tej jednej otrzymacie instrukcje jutro.

— Dlaczego nie możemy dzisiaj wszyscy wiedzieć? Nie jesteśmy dziećmi! — protestował Seamus, arogancki jak zwykle.

— Nie chcemy, by przed czasem wiadomość się rozniosła — odrzekł spokojnie Sean. — Ale jutro, w dzień wyborów, macie wszyscy stawić się tutaj w naszej chatce. Nie przychodźcie razem, ale po dwóch, trzech. Wy, członkowie

Klubu, wasze żony i dzieci w wieku ponad szesnaście lat. I przyprowadźcie ze wsi każdego, kto zechce. Wielu przyjdzie po prostu z ciekawości. Będziecie tutaj tylko kilka minut. Nie chcemy urządzać takiego zgromadzenia, żeby policja mogła się przyczepić. I na miejscu sami będziecie mogli decydować, czy chcecie się przyłączyć do tego, co proponujemy: tak albo nie. Ale powtarzam, macie przychodzić spokojnie i małymi grupkami.

— Wygląda mi to na zabawę smarkaczy — szydził Seamus.

— Ale jeśli chcesz pozostać członkiem Klubu, to lepiej przyjdź — ostrzegła go Pat.

— A jutro przekonacie się, że to nie jest zabawa smarkaczy — dodał ojciec O'Leary.

Pat i Sean rzadko kiedy zachodzili teraz do domu swoich trzech braci. Eoin i Seamus nadal się gniewali z powodu ostatniej woli matki w sprawie zawartości „skrzyneczki” i uważali, że tych dwoje, których przezywali „Cyganami”, oszukiwało ich. A tych dwoje nie mogło patrzeć spokojnie na to, jak wyzyskiwano potulnego Józefa. I po zebraniu przedwyborczym Klubu Pat wzięła Seamusa na stronę.

— Źle robicie, zwalając na Józefa całą domową robotę — powiedziała.

— To nasza rzecz — odparł gniewnie Seamus. — Co w domu, należy teraz do niego. Kiedy należało do matki — niech ją! — ona gotowała i szorowała. Teraz Józef może to robić.

— Ale on ma swoją pracę we dworze...

— My też mamy swoją pracę — przerwał jej Seamus.

— I cięższą od jego roboty!

W rzeczywistości, jak Pat dobrze wiedziała, ci dwaj, na których opierała się gospodarka, często wylegiwali się do późna w łóżku, a Józef przed pójściem do dworu podawał im herbatę albo piwo. Maślanka i inne oszczędności poszły w odstawkę.

Pat niewiele miała wolnego czasu. Sean zarabiał mało i nieregularnie. Dziewczyna musiała solidnie się napracować

z wózkiem i sama w ogrodzie u najmującego ją czasem dziedzica z sąsiedztwa. Ale po rozmowie z Seamusem zdarzało się często, że w pogodne dni, kiedy dwaj bracia przynajmniej na jakiś czas szli w pole, Józef wracając znużony po ciężkim dniu pracy do domu, zastawał podłogę pozamiataną, statki pozmywane, a obiad gotujący się pomalutku w garnkach na kuchni.

Wieżć, że w chatce na wzgórzu coś się szykuje na dzień wyborów, dotarła do dworu Boyne wkrótce po zebraniu Klubu. Gdyby Michał był w domu, pan Winter wysłałby go na zwiady. Ale panicz wciąż jeszcze bawił na kontynencie. Więc gdy w wielkiej sieni kościoła protestanckiego odbywały się wybory, kandydat partii konserwatywnej musiał sam znaleźć chwilę czasu, żeby pojechać do chatki. Dwaj wieśniacy szli właśnie pod górę, zatrzymali się i wypytywali kogoś wracającego stamtąd, potem ze śmiechem szli dalej. Wszyscy byli widocznie zadowoleni z niespodzianki, którą im przygotowano.

Winter zsiadł z konia i wszedł do środka.

— Dzień dobry, wszystkie głosy są mile widziane! — powitał go Sean wesoło, nieomal impertynencko. — Tutaj się odbywa tajne głosowanie, jakiego nie znajdziecie w sieni kościelnej. Nikt nie będzie wiedział, że pan głosował przeciwko sobie samemu, panie Winter.

Harfiarz siedział z Pat i ojcem O'Learym za stołem, na którym stało duże drewniane pudło z wyciętym podłużnym otworem u góry. Przed Pat leżał stos pociętych kartek, na każdej widniały napisane trzy linijki, obok ołówki. Jeden z wieśniaków skreślił dwie linijki pisma, a złożywszy papier, wsunął go do skrzyneczki. Drugi, któremu Pat podała kartkę, rzekł:

— Nie umiem tego przeczytać.

Ojciec O'Leary wziął go na bok i szepnął coś do ucha.

— Mogę zobaczyć jeden z tych papierków? — spytał Winter.

— Jeśli pan sobie życzy głosować w naszych wyborach, i owszem! — odrzekł Sean.

Ale położył rękę na stosie kartek.

— Co to za nonsensy? — pytał Winter.

— Akurat taki nonsens, a może nawet mniejszy, jak to, co się odbywa tam na dole — odrzekła Pat.

— Impertyncją daleko nie zajdziecie — rzekł Winter, w którym już wzbierał gniew. — W sieni kościoła odbywa się procedura ordynacji jej królewskiej mości...

— A tutaj procedura „chamów z mokradel” — przerwał mu Sean.

— Nie pokażecie mi tych kartek? — ostrym, wyzywającym tonem zapytał Winter.

— Tylko jeśli pan zechce głosować — rzekł z uśmiechem Sean. — Albo też jeśli jako urzędnik będzie pan miał nakaz rewizji.

— Nie będę brał udziału w tych głupstwach — odparł Winter i wyszedł ze złością.

Przeklinał sam siebie, dosiadając konia. Powinien był zabrać jedną z tych głupich kartek, przeczytać ją i podrzeć, cokolwiek to było. Teraz nic już nie mógł zrobić. Wieśniacy spokojnie zachodzili do chaty jednego z sąsiadów. Nie mógł się nawet ponizzyć do tego, by spytać jednego z nich, o co w ogóle chodzi. To było zadanie dla policjanta, ale wszyscy policjanci byli tego dnia zajęci pilnowaniem urn wyborczych.

„Założyłbym się, że to jakieś podżeganie do buntu — rozmyślał. — Spryciarz z tego Seana O'Donovana. Były seminarzysta. Tacy zawsze najgorsi. Bylebym znalazł chociaż jakiś pozór, a wsadzę go za kratki. Ale... może gdybym nalegał, żeby przeczytać to, co oni tam wypisali na tych kartkach, naraziłbym się na pośmiewisko.”

Miał rację.

Gdy ogłaszano ponowny wybór Wintera na posła do parlamentu, całe Kilegad i większość wiosek w hrabstwie Meath zanosiły się od śmiechu. A ojciec O'Leary, zaklejając kopertę, zauważył:

— Rzadko kiedy grupa wyborców dowiodła, a nawet miała sposobność dowieść, takiego zdrowego rozsądku.

Rozwiązanie zagadki olśniło Wintera podczas wielkiej uczty, która przekształciła się w pijacką orgię, na cześć jego zwycięstwa w wyborach. Gdy wesołość doszła zenitu i niejedna z sypialni była nielegalnie zajęta, wygalowany lokaj, kłaniając się, podał zwycięzcy dnia zapieczętowaną kopertę:

— Zostawiła ją jakaś młoda kobieta z plebanii, jaśnie panie. Powiedziała, że to pilne.

— Z plebanii! — wykrzyknął Winter. — Co, u Boga Ojca, może chceć ode mnie ten przeklęty ksiądz o tej porze nocy? I założyłbym się, że z niego buntownik!

Rozdarł kartkę i odczytał kilka wstępnych zdań, komentujących ograniczenia praw do głosowania w oficjalnych wyborach. I w dalszym ciągu:

„...wobec czego postanowiono dać pozbawionym prawa głosu dorosłym mieszkańcom — mężczyznom i kobietom na równi — tej wsi możliwość wzięcia udziału w tajnym głosowaniu... wprawdzie nie ma ono oficjalnego znaczenia, stanowi jednak wyraz opinii publicznej w formie, którą można przekazać jednemu przynajmniej przedstawicielowi klasy rządzącej...”

„Na kartkach do głosowania, których przyjęcia we właściwym celu odmówił pan wówczas, gdy zaszczylił wizytą chatkę zajmowaną przez Patrycję i Seana O'Donovanow, napisano nazwiska dwóch kandydatów wyznaczonych do oficjalnych wyborów. Poniżej widniało trzecie, dobrze znane nazwisko czynnego i użytecznego członka tutejszej społeczności”...

„Wydaje się, że chociaż rezultat jest dla pana niefortunny, jednakże wynik skrupulatnie przeprowadzonego głosowania powinien obudzić zainteresowanie szanownego pana, a może nawet premiera rządu angielskiego”.

„Ponad połowa dorosłych mieszkańców Kilegad — dokładnie 305 osób — głosowała. Dziewięć dziesiątych głosów — dokładnie 274 — oddano na trzecie nazwisko na liście wyborczej. Został wybrany... Rory, osioł Patrycji O'Donovan!”



## CZĘŚĆ DRUGA

### ROZDZIAŁ SIÓDMY

#### I

Babka Hogarty nie miewała gości. Jej chałupka kryła się między posepnymi sosnami, gdzie — jak głosiła zabobonna plotka — widywano dziwne zwierzęta i ptaki: istoty z głowami szczurów i ogonami wiewiórek, inne z głowami puchaczy, ale z płetwami zamiast skrzydeł. Chałupa stała na samym krańcu Kilegad, za kościołem protestanckim, ostatnia i zupełnie odizolowana od ludzi.

Pewnego listopadowego dnia w roku 1846 ojciec O'Leary poszedł do chałupy. Wieś nawiedzały kłęski takie właśnie, w jakich przepowiadaniu babka Hogarty się lubowała, prorokując i strasząc ludzi. Ale tym razem nie pokazywała się od wielu dni. Ksiądz odgadywał, co to znaczy. Stara kobieta vegetowała na ochłapach jedzenia, które wydostawała groźbami:

— Daj mi, bo inaczej zamienię twoje dzieci w kruki!

Albo:

— Daj, bo ześlę zarazę na twoje zbiory!

Teraz nikt nie przejmował się jej groźbami. Zaraza i tak zniszczyła zbiory ziemniaków. Głodowali straszliwie, nie posiadali nic, czym by mogli załagodzić jej pogróżki.

Ojciec O'Leary szukał przejścia między sosnami, które schylały się pod chmurnym, wciąż zapłakany niebem, zaciemniając i tak ledwie widoczną ścieżynkę. Kolczaste bezlistne krzewy chwyciły go za spodnie. Na pukanie nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Kopnięciem otworzył drzwi

— i cofnął się uderzony wstrętnym odorem. Z trudem chwycił oddech, ale w tym ciasnym zakątku jakby w ogóle nie było powietrza. Zakrył nos i usta chustką do nosa, pochylił głowę jak szarżujący byk i wszedł do wnętrza chałupy.

Okien nie było wcale. Jedyne światło — a właściwie tylko bledsza ciemność — dochodziło przez na wpół otwarte drzwi. Ksiądz stał zmagając się z odorem i próbował rozróżnić w mroku przedmioty. Długa deska, podparta pniakami z dwóch końców, na niej butelki, otwarte, przewracane, ich zawartość w plamach na desce i glinianej podłodze. Zioła, cuchnące wywary — wszystko w bezładzie...

Lopot skrzydeł, słaby, jęklivy krzyk — nagle coś straciło mu kapelusz z głowy i padło na ziemię w konwulsyjnych drgawkach. Ojciec O'Leary opanował się, podniósł kapelusz. Papuga babki Hogarty leżała w drgawkach, najwyraźniej wydając ostatnie tchnienie. Lojalna wobec swej pani do końca, zaatakowała intruza. Ksiądz z powrotem upuścił kapelusz, by zakryć konającego ptaka.

„Niech ma spokój, gdy zdycha — pomyślał. — Ja i tak nigdy więcej nie włożę tego kapelusza.”

Musiał wyjść, by nabrać powietrza w płuca. Potem znowu osłonięty chustką wszedł jeszcze raz, otwierając drzwi na oścież. Obszedł dookoła kapelusz, który już leżał nieruchomo. Dostał się w zupełną ciemność pod ścianą i potrącił nogą jakiś miękki przedmiot. Wyciągnął gwałtownie rękę, by się wesprzeć o ścianę, nie sięgnął, upadł.

Wydał mimowolny okrzyk, zerwał się na nogi, cofnął o krok ogarnięty zgrozą. Tak, odgadywał, co tu znajdzie, ale nie przeczuł, w jaki sposób. Potknął się i upadł na zwłoki babki Hogarty.

Jego pierwszym odruchem było odwrócić się i uciec, wybiec z chałupy, wybiec z lasu, z powrotem do... Ale nigdzie nie można uciec przed śmiercią. Bo śmierć dookoła. Za godzinę ojciec O'Leary będzie odprawiał ceremonie pogrzebowe po raz szósty tego dnia. Młodzi zachowali jeszcze względną odporność i żyli paroma na wpół zgniłymi ziemnia-

kami lub garścią wyżebranej mąki na dzień. Ale starzy, słabi, pokonani niedożywieniem całego życia, leżeli na swoich legowiskach, czekając ostatecznego uwolnienia. A gdy umierali, trudno było znaleźć ludzi, którzy by mieli dość siły, by wykopać groby i zanieść tam zwłoki. Ksiądz musiał wzywać do tej pracy nawet ułomnego i chorego Seana. Wózek z osiołkiem Pat odprawiał służbę jako karawan. Nikt już nie myślał o stypach i tradycyjnych lamentach.

Opanowawszy się raz jeszcze, O'Leary wszedł z powrotem do chałupy. Przeżegnał zwłoki, wymruczał w chustkę: *Requiescat in pace...* Potem zapalał zapalną za zapalną i patrzył. Babka Hogarty, skóra i kości, nie żyła od wielu dni — jak zdradzał wstrętny odór. Ksiądz pomyślał:

„Jeśli nasze ciała mają zmartwychwstać, czemu Bóg pozwała na to upokarzające gnicie?”

Przed śmiercią stara kobieta musiała poprzewracać i pomieszać wszystkie swe specyfiki, którymi przed trzema laty przyśpieszyła śmierć O'Donovanowej i wielu innych dawniej i później.

Nie było nic do zrobienia. Ksiądz wyszedł z chałupki, zamknął drzwi. Klamki nie było — nocą babka Hogarty opierała o drzwi pień drzewa.

Gdy wychodziła, nikt i tak nie ośmieliłby się zajrzeć do siedziby czarownicy.

— Muszę namówić Kevina i jeszcze kogoś, by pochowali te cuchnące resztki, a później podpalili rudę.

Znużony bardzo, ze schyloną głową, ksiądz poszedł z powrotem zarośniętą ścieżyną w stronę drogi. Głosy... Zatrzymał się, słuchał.

— Powiedziałeś: dwa szylingi — głos kobiecy.

I głos mężczyzny: <

— Masz jednego. Dam ci drugiego jutro, gdy znowu przyjdiesz.

— Daj mi zaraz, ty brudny...

Głuchy odgłos ciosu, szelest gałęzi, jakby coś padło pod drzewa. Ojciec O'Leary pobiegł, przeskakując kolczaste krzewy, rozdzierając ubranie, w stronę, skąd dobiegały odgłosy

sprzeczeki. Kobieta podnosiła się z trudem spomiędzy krzewów. Przez las biegł policjant...

Nad okiem kobiety szybko rosła opuchlizna. Była to ta sama kobieta — teraz o dwanaście lat starsza i wdowa — której ksiądz niósł wiadra z wodą pierwszego dnia po przybyciu do Kilegad i którą zapraszał na plebanię do pomocy starej gospodyni.

— Jak mogłaś... i to z angielskim policjantem?! — wyrzucił.

Potarła oko i odpowiedziała pytaniem:

— A jak się utrzymuje przy życiu połowa kobiet we wsi? I ich rodziny także? Zrobiłam to, żeby mieć co zjeść, i znowu zrobię, żeby jeść. Więcej mi to korzyści przyniesie niż rozgrzeszenie, które od ciebie dostałam za to samo.

Ksiądz i kobieta z głodu sprzedająca swoje ciało za mizerne szylingi poszli razem drogą do wsi, mijając kościół protestancki, chaty i domy. Ale mało kto miał dość sił i ciekawości, by potrząsnąć głową ze zgorzaniem albo zdziwić się, dlaczego ksiądz proboszcz wybrał sobie na przypuszczalne amory wilgotny, ciemny las zamiast własnej wygodnej plebanii.

## 11

Upadek Daniela O'Connella w roku 1843 wywarł mniejszy wpływ na ruch niepodległościowy, niż można było oczekiwać. Organizacja Antyunionistów przetrwała, a wkrótce William Smith O'Brien, Karol Duffy — redaktor tygodnika „Nation” — i młody doskonały mówca nazwiskiem Thomas Meagher zmienili nazwy lokalnych filii na Kluby Konfederatów. Ci trzej namawiali wieśniaków, by nie oddawali — jak tego żądali Anglicy — posiadanej broni, a nawet by się o nią starali. Członkom Klubu, którzy jeszcze mieli siły się wspiąć na wzgórze do chatki, Sean odczytywał ze szpalt „Nation” brzemiennie znaczeniem słowa Meaghera:

„Nie wierzę, aby Bóg w niebieszech nie pobłogosławił użycia broni... Gdy wzniosę mojąszablę w obronie człowieka czy w walce o jego wolność — uważam ją za świętość... Jeśli czasem szczerwieńa całun ciemieży, to rozkwitała również wawrzynem, by przystroić czoła wolności... Od jej ciosu z wód Atlantyku powstał wielki naród, a skuta łańcuchami kolonia zjednoczyła się w wolne stany”.

Jasne było, że nowe dowództwo nie cofnie się przed zbrojnym powstaniem. Ojciec O'Leary zastanawiał się, czy nie powinien wycofać się z Klubu Konfederatów — ale tylko się zastanawiał. A Kevin O'Reilly, z kilku pomocnikami na ochotnika, przekuwali nocą różne żelastwo na dzidy.

W roku 1846 cios o wiele straszniejszy niż upadek „Oswobodziciela” uderzył dotkliwie nie tylko w ruch niepodległościowy, ale w całą wiejską ludność Irlandii. Katastrofa znana jest w historii Anglii pod nazwą „kłęski głodu”; ale Irlandczycy znają ją pod mianem „głodowego pomoru”.

W całej Europie różne zarazy spowodowały niskie zbiory ziemniaków w roku 1845, a zupełny brak plonów w latach 1846 i 1847. Ale tylko w Irlandii można mówić o kłęsce głodu, bo tylko w Irlandii wieśniacy musieli oddawać pod postacią czynszów i podatków dziedzicom, pośrednikom i rządowi absolutnie wszystko, co przynosiła hodowla i co dawała ziemia — prócz ziemniaków, którymi się żywili wraz z rodzinami. Tak się cywilizowało kolonie.

Gdy w Irlandii zawiodły zbiory ziemniaków, ani właściciele ziemscy, ani pośrednicy, ani rząd nie zmniejszyli na jotę swych surowych wymagań. Nie wyrzekli się ani funta mięsa, chociaż oddający go dzierżawcy i płatnicy podatków przymierali głodem. Zaiste dla dziedzica im więcej zgonów, tym lepiej — oszczędzało mu to kłopotów z eksmisjami.

W Irlandii było podówczas około trzystu tysięcy dzierżawionych gospodarstw po 2 hektary lub mniej i drugie tyle gospodarstw po 2 do 7 hektarów. Ilość bydła, zbóż i innych płodów rolnych — których nie dotknęła zaraza — eksportowana z Irlandii w latach kłęski głodowej, wystarczałyby na

wielokrotne wyżywienie tych, którzy umierali z głodu. Toteż Sean zauważył z goryczą:

— Opatrzność zesłała zarazę, ale śmierć głodową zesłali Anglicy.

Znaczne sumy zbierano w Anglii i na kontynencie na pomoc dla głodujących. Nawet rząd hojnym gestem przyznał sumę mniej więcej równą wartości tego, co Anglia w stanie wojny wydawała w ciągu pół dnia. Ale wydano zarządzenia ograniczające udzielanie nawet tych zapomóg. James Byrne, dzierżawca na dwóch hektarach, jako jedyny z całej wsi Kilegad powlókł swe wynędzniałe ciało do Trim, by zgłosić się po zapomogę.

— Według przepisów — powiedziano mu — kto się zgłasza po zapomogę, musi zdać dzierżawioną gospodarkę, o ile posiada ponad jedną ósmą hektara. I musi zgłosić się do pracy.

— A co dostanę w zamian za ziemię, którą i mój ojciec, i mój dziad przede mną uprawiali? — zapytał Byrne.

— Porcję kukurydzy na posiłek dla każdego członka rodziny.

— Czy to wystarczy, byśmy się najedli?

— No cóż, w każdym razie pomoże...

— Dziękuję, choć nie ma za co — odparł Byrne. — Zdechnę z głodu, tak, ja i moja rodzina także, zanim zrobimy panu Winterowi prezent z moich paru hektarów, by je dołączył do swoich setek.

Praca, do której Byrne i setki tysięcy innych mieli się zgłosić, polegała na budowaniu gościńców prowadzących donikąd i mostów ponad wyschniętymi strumykami. W ciągu lat pomoru śmierć z głodu, tyfusu i cholery, a także emigracja w poszukiwaniu chleba zmniejszyły ludność Irlandii o jedną trzecią. Na statkach zaś były takie warunki — przejazdy opłacało się normalnie — że ponad jedna czwarta emigrantów nigdy nie docierała do brzegów Ameryki.

Nic dziwnego, że Pat, Sean i tysiące innych wspominali z goryczą słowa wymówione przy zawieraniu unii przez

Williama Pitta, ówczesnego premiera rządu angielskiego, przyrzekającego obu krajom cudowne rezultaty.

„Obopólne korzyści... równe prawa... wzajemne przyjazne stosunki... nierozdzielne interesy...”

Puste słowa. A ponieważ puste — zbrodnicze.

## m

Pat i Sean niewiele mieli teraz możliwości działania. Przeważająca większość kobiet i mężczyzn z Kilegad zeszła na najniższy poziom człowieczeństwa: walczyła o zachowanie życia. Drugi rok z rzędu zawiodły zbiory ziemniaków. Czekala ich jeszcze jedna zima głodu, nędzy, eksmisji.

Pat ciężko pracowała na utrzymanie Seana i własne. Lepiej im się powodziło niż większości wieśniaków, ponieważ ich egzystencja nie była uzależniona od zbiorów, nie mieli też do płacenia czynszów ani podatków. Ale wielu z tych, którzy w mniej drastycznych warunkach zatrudniali Pat i jej osiołka, płacąc w naturze, teraz nie mogli sobie na to pozwolić.

Ojciec O'Leary, którego niedzielna taca zaledwie mu starczała na najtańszą whisky, nie mógł płacić Seanowi za pisanie kazań.

— I dawniej nikt ich nie słuchał — powiedział. — A teraz biedacy zasypiają w ławkach po prostu z wyczerpania.

Z drugiej strony Sean pisywał więcej do „Nation” i również do nowego dublińskiego czasopisma narodowego, „The Irishman”. A nieregularny pracodawca Pat George Nolan — który wraz z paru innymi katolickimi szlachcicami z sąsiedztwa dopomagał ojcu O'Leary'emu — znajdował dla niej więcej pracy niż zazwyczaj, a jego żona ciągle twierdziła, że ma w domu więcej żywności, niż potrzeba jej rodzinie.

Skromne to były pociechy w niedoli. Tymczasem dawna gospodarka O'Donovanow, Wolfe Tone Farm, przestała utrzymywać swych mieszkańców, obecnie tylko Józefa i Seamusa.

Od śmierci matki Eoin i Seamus zaniedbywali gospodarkę, która staczała się z każdym rokiem. Nikt ich nie poganiał teraz i nie powtarzał przestróg O'Donovanowej, która jeszcze na łożu śmierci upominała, by nie pili. Zarobki Józefa szły głównie na zapłacenie czynszu.

Eoin, obecnie trzydziestodwuletni, ożenił się w końcu. Jego żona, Ellen, hoża i dorodna, w okresie zalotów wydawała się łagodna, potulna, namiętna. Ale gdy tylko ksiądz ogłosił ich mężem i żoną, pokazała swą prawdziwą naturę. Była jędzą i córką jędzy. Jej ojciec miał gospodarkę o jakieś dziesięć kilometrów od Kilegad; mętnymi obietnicami wygodnego życia nakłoniono Eoina, by tam zamieszkał. Ojciec byłby zresztą łatwym w pożyciu człowiekiem, gdyby mu na to pozwolono. Ale żona trzymała go pod pantoflem, biła miotłą i krzyczała. Niebawem Ellen zaczęła naśladować matkę. Eoin musiał pracować od świtu do zmierzchu, nie miał ani szylinga dla siebie. W nagrodę dawano mu niewystarczające pożywienie i aż nadto wystarczające objęcia trudnej do zaspokojenia żony.

Jednakże Eoin nie uszczuplał już przynajmniej skąpych zasobów domowych. Józef po odejściu brata rzucił pracę w dworze, by gospodarować do spółki z Seamusem. Pat co prawda proponowała, by zdać gospodarkę: Józef mógł nadal pracować jako ogrodnik, a Seamus przyjął zajęcie zaoferowane mu w rozwijającej się kuźni Kevina O'Reilly'ego. Ale Seamus z pogardą oznajmił, że nie zostanie niczym najmitem, a Józef oświadczył, że oddanie gospodarki Winterowi byłoby zdradą pamięci ich zmarłej matki. Seamus był z pewnością zbyt leniwy, a zarazem agresywny i samowolny, by mu pozostawić prowadzenie gospodarki na własną rękę.

— Niechby się Seamus ożenił — proponowała znowu Pat — a ty byś mógł zamieszkać z nami. Kevin robi nam jeszcze jedno wyrko.

— Co? I żeby Seamus, jak Eoin, zaprzął się do niewolniczej pracy dla ludzi, którzy nawet nie są z jego krwi i kości? — zaprotestował Józef.



Józef nie żywił szczególnej miłości do młodszego brata, ale poczuwał się do odpowiedzialności za rodzinę.

Józef i Seamus zgodzili się spłacić drobnymi ratami udział Eoina w gospodarce, zmniejszonej co prawda w wyniku niejednej sprzedaży zwierząt i różnych ruchomości, na czym skorzystał tylko karczmarz, Murphy, w porównaniu ze staniem, w jakim je zostawiła O'Donovanowa. Pan Winter sprawił wszystkim niespodziankę, ponieważ nie okazał gniewu na wiadomość, że jego ogrodnik rzuca pracę, by ratować gospodarkę, która w innym wypadku z pewnością wpadłaby w jego ręce. Przeciwnie, zrobił coś bez precedensu jak na właściciela ziemskiego w tych stronach: tytułem premii przyznał nowej spółce gospodarzy pewną obniżkę czynszu dzierżawnego, nieznaczną, ale jednak obniżkę. Na krzyk, jaki się na wiadomość o tym podniósł ze strony pominiętych, a może bardziej potrzebujących dzierżawców, Winter odpowiedział pogardliwym milczeniem, co już więcej było do niego podobne.

Pracowitość i zapobiegliwość Józefa, odziedziczone po matce, wydobyły na krótko gospodarkę Wolfe Tone z upadku. Ale wszystko to było jeszcze przed nieurodzajem na ziemniaki. Teraz młodzi O'Donovanowie znaleźli się w tylko odrobinę mniej tragicznym położeniu od swych sąsiadów.

Jednym z najmniej dotkniętych katastrofą głodu był Kevin O'Reilly. Z jego kuźni korzystała głównie okoliczna szlachta, której kieszenie nie traciły na niedoli całego kraju. Wielu ziemian wyzyskało tragiczną sytuację wieśniaków, by wydusić z nich nie tylko bieżące czynsze, ale każdy szyling zaległości. Molly Maginn i jej dzieci odżywiały się dobrze, zaopatrując w sklepiku Sullivana, który miał coraz mniej kupujących za gotówkę, a Kevin, o sercu równie szerokim jak jego potężne bary, nieustannie próbował — bez urażania ambicji rodzeństwa — dołożyć coś niecoś do skromnych posiłków Pat i Seana.

Szczególnie często dostarczał do chatki na wzgórzu, a także zanosił na plebanie, pstrągi i łososie, złowione oczywiście nielegalnie. Ojciec O'Leary usprawiedliwiał kłusownictwo, nawet kradzieże, które się mnożyły ostatnio, mówiąc:

— W takich czasach jak dzisiejsze może być cnotą raczej niż grzechem zabieranie czegoś, co według prawa należy do innego, pod warunkiem że zabiera się bogatym grabieżcom dla wspomżenia biednych i potrzebujących. Ale niechaj nikt, kto ukradnie coś drugiemu wieśniakowi, nie oczekuje ode mnie rozgrzeszenia.

Można było również przypuszczać, że w owych tragicznych czasach głodowego pomoru chwila rozrywki, jakiej dostarczało łowienie ryb, była jeszcze bardziej niż zwykle potrzebna, by zapomnieć o otaczającej zewsząd niedoli. Kevin miał wrodzoną skłonność do kłusownictwa, jak kaczka do pływania. Rad z entuzjastycznego kompana swoich wypraw, wtajemniczył Pat, zawsze żądną przygód, w sekrety sportu wędkarskiego. Kevin lubował się w przeciwstawianiu własnego sprytu tępej, pozbawionej wyobraźni solidności gajowego, protestanta Edwina Currana, tęgiego, wielkiego mężczyzny, który według określenia Pat, chodził jak z sianem na zakręcie. Kevin nie był też wolny od typowej dla wędkarza skłonności do przesady, więc Sean kpił sobie z niego:

— Największe ryby, jakie złowiłeś, to te, które ci uciekły!

Pewnego wieczoru Kevin powiedział:

— Wiesz, Pat, łososie płyną w górę rzeki, szukajmyjsca na tarło w strumieniach na terenie majątku. Nie pójdziemy spać dzisiejszej nocy!

— Chwała Bogu — odrzekła Pat. — Ja i tak mało sypiam, tylko leżę i zamartwiam się. Lepiej czymś się zająć.

Wstał błądy księżyc, z rzadka przechodziły obłoki. Para kłusowników zabrała długą tykę, haki sporządzone w kuźni, stare worki, małą puszkę parafiny i większą smoły. Tak wyposażeni udali się przez lasy Wintera do strumienia. Wybudowana na nim tama tworzyła dość szerokie rozlewisko i ryby chętnie tam żerowały. Światło księżyca padało na polanę jak szron, nurt wody szemrał, wiatr świstał między nagimi gałęziami drzew, a sosny szumiały posepnie.

Dwójka kłusowników zmoczyła worki parafiną i smołą, a Pat umocowała na tyczce naddarty skrawek worka i podpaliwszy go, trzymała nad rozlewiskiem jak latarnię. Bali się

tylko, by migotliwe światło nie zwabiło gajowego. Płonące strzępy spadały do wody. Kevin stał z hakiem w ręku i wpatrywał się w krąg światła na wodzie, który miał przyciągnąć ryby. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo.

— Na nic — westchnął Kevin. — Nie wiedzie nam się tej nocy, dziewczyno. Ryby zeszyły na głębie.

— Jeszcze trochę! — nalegała Pat, podniecona, w optymistycznym nastroju.

Rzeczywiście, w chwilę później Kevin szepnął:

— Uważaj!

Cień pojawił się w kręgu światła...

— Wielka! — wyszeptała z nabożeństwem Pat.

Lekko pokręciła tyczką, rozżarzając resztki palących się szmat... poleciały iskry... ryba krążyła jakby otumaniona... Kevin podniósł hak... uderzył mocno i celnie... Pat puściła tykę, schyliła się, ręce w wodzie szukały skrzeli... dzwignęła i w mgnieniu oka ryba była na brzegu... Kevin przykląkł na jej łbie, bo rzucała się... Pat pobiegła po kamień, by ją dobić.

— Piękna sztuka! — rzekł Kevin. — Dobrze, żeś nas namówiła, by poczekać dłużej.

— Może jeszcze będą! — Pat podskakiwała z radości.

— Sza! — Kevin podniósł ostrzegawczo rękę.

Oboje stanęli, usiłując zasłonić zdobycz. Poczuli pod nogami rytmiczne dudnienie czyichś ciężkich kroków. Obłok odsłonił księżyc i dostrzegli w oddali postacie idące ku nim.

— Kto tam? — rozległ się głos.

Kevin położył palec na ustach.

— To Curran! — szepnęła Pat.

Gajowy chciał się wywiązywać ze swoich obowiązków wobec pracodawcy, ale jego dobrą wolę w tym względzie paraliżował strach przed wieśniakami. Wiedział dobrze, że gdyby schwytał kłusownika albo doniósł o nim, chłopcy mogliby go pobić albo wytarzać w smole i pierzu. Jedynym więc niebezpieczeństwem, jakie z jego strony groziło kłusownikom, był jego zwyczaj strzelania w powietrze, gdy dosłyszał podejrzane odgłosy albo dostrzegł intruza na terenach dworskich.

— Stać albo strzelam! — zawołał teraz.

— Nie ma się czego bać — mruknął Kevin. — Keefe jest z nim, on go już pohamuje.

Pomocnik gajowego był pod wielu względami przeciwieństwem swego towarzysza: niski, muskularny, o bystrych oczach i brzydkiej, jakby małpiej twarzy, zeszpeconej — a może upiększonej — długą blizną biegnącą od lewego oka aż prawie do kąta szerokich ust. Keefe uważał bliznę za order męskości, bo ranę zadał mu mąż rogacz. Chytry i zwinny Keefe nie żywił ani cienia lojalności w stosunku do swego pracodawcy. W latach klęski głodowej więcej królików, które jego fretki wygnały z nor, poszło do garnków wieśniaków w Kilegad niż na sprzedaż w imieniu dziedzica. Keefe był katolikiem, należał potajemnie do Klubu Konfederatów i zaprzyściągł czynny udział, w razie gdyby doszło do akcji, ale w zebraniach nie uczestniczył. Wprawdzie nieraz wykpiwał Currana i wystrychnął go na dudka, jednakże miał dla niego jakieś przywiązanie, jak średniowieczny trefhiś dla księcia, którego mitra nie mogła ukryć głupoty.

Keefe zaśmiewał się z przygody, jaka spotkała Currana, gdy pewien kłusownik przyłapał gajowego pochylonego i posłał mu z dość dużej odległości ładunek śrutu w odwrotną stronę medalu. W karczmie Murphy'ego opowiadał:

— Curran ściąga spodnie i rozciera sobie siedzenie. Gdy byście to mogli zobaczyć! — Śmiał się, aż mu łzy z oczu ciekły. — A potem, trzymając spodnie, biegnie przez pole. Jezus Maria, ależ biegł! „Na Boga, to morderstwo!” — krzyczy. Nagle potyka się o własne spodnie i pada, tyłkiem do góry. Popatrzyłem i powiadam: „Morderstwo czy nie, aleś cały w czarne cętki, jak popieprzony!” „Ja umrę!” — on jęczy, a ja mówię: „No to umrzesz jak bohater, tyłkiem do góry!” A nic mu przecież nie było, tylko go trochę posiniaczyło. Takem się uśmiał, że jeszcze przestać nie mogę.

Ale Keefe nie zawsze mógł pohamować Currana, gdy mu się śpieszyło do cyngla.

— Widzę was! — krzyknął gajowy do Pat i Kevina. A kowal nie mógł się powstrzymać:

— A kuku! — odpowiedział mu cienkim falsetem.

Chociaż para kłusowników nie ruszyła się z miejsca, Curran wystrzelił z obu luf. Kora sypnęła się z pnia tuż nad Pat i sowa uleciała z krzykiem, spłoszona hałasem. Gajowy i jego pomocnik podeszli bliżej, popatrzyli na wspaniałą zaiste królewską rybę.

— Przyłapani na gorącym uczynku. Ładna z was para!

— Właśnie mieliśmy ją wrzucić z powrotem do wody — uśmiechnął się bezczelnie Kevin.

— Bardzo dobrze, zobaczymy to!

— Ta ryba jest ślepa — kpiła Pat. — Ocaliliśmy ją od rozbicia łba o tę zatopioną kłodę!

— Nie chcę słuchać twoich... impertynencji! — rzeki Curran.

Ostatnie słowo wykrzyknął już właściwie w locie. Kevin schylił się z szybkością błyskawicy, chwycił go za udo i rzucił prosto w rozlewisko. Strzelba upadła na brzeg. Gajowy wyrzucił się i wrzasnął:

— Na pomoc! — jakby naprawdę tonął.

— Ażebyś utonął! — wykrzyknął Kevin, ale bez wielkiej nadziei, bo rozlewisko przy brzegu było zupełnie płytkie.

Keefe, trzęsąc się ze śmiechu, podniósł tyczkę porzuconą przez Pat i podał ją Curranowi, który chlapał się w rozlewisku. Pat porwała rybę i oboje z Kevinem pomknęli do lasu. Odwracając się, zobaczyli jeszcze, jak Keefe ganiał Currana w kółko po polanie, grożąc mu, że jeśli przestanie, zaziębi się na śmierć.

— Prawie mnie utopili! — Curran łapał powietrze niczym ten pstrąg na brzegu, zanim go Pat dobiła kamieniem.

Dwoje kłusowników musiało się zatrzymać — oboje pokładali się ze śmiechu. Ukryli się wśród drzew i przeczekali, aż Keefe namówił gajowego, by poszedł do domu się przebrać.

— Wróćmy! — nalegała Pat. — Tam będzie więcej takich ryb jak ta!

— Na tę noc dosyć — zawyrokował Kevin. Zważony później na prymitywnej wadze, którą Kevin sporządził w swo-

jej kuźni, pstrąg osiągnął prawie dwadzieścia funtów. Pat oczyściła rybę i podzieliła na porcje po parę funtów każda:

— Dla Molly — mówiła. — Dla ojca O'Leary'ego, Józefa, Denisa O'Grady'ego, Drummondów... ich jest sześcioro... a to dla nas, Sean.

— Piękna sztuka! — uśmiechnął się Sean.

Ale w jego sercu nie było uśmiechu. Podczas nieobecności Pat i Kevina zważył się. Stracił cztery funty w ciągu dwóch tygodni. Ale pozerającej go choroby nie wywołał głód. I los przeznaczył, że zginie inaczej.

Pat i Kevin znajdowali przyjemność w kłusownictwie na strumieniach i wymykaniu się gajowemu, w zdobywaniu żywności dla kilku, niestety tylko kilku, mieszkańców Kilegad. Mieli prawo do godzinnej rozrywki, podczas której zapominali o tragedii swojej wsi, o tragedii całej Irlandii.

Ale dzwon na kościele katolickim i — chociaż może nie tak często — dzwon na kościele protestanckim wydzwaniały nieustannie posępną wieść o nowej śmierci. Z chat wciąż wynoszono ciała, a niosący je zataczali się z wysiłku, sami coraz słabsi. Niejednego z dzielnych członków Klubu wyniesiono *na cmentarz, między innymi Jamesa Byme'a i jego żonę*, do końca posępnie trwających na dwuhektarowej gospodarce. Ojciec O'Leary odprawiał tak często pogrzeby, aż spostrzegł, że już przez sen powtarza „Requiem” — bezpłatnie, tak samo jak na jawie. Wielebny Ffolliott po parę razy dziennie stawał z odkrytą głową nad grobami tych, których nie uratowała ani zmiana wiary, ani zamożni współwyznawcy.

A Kilegad nie leżało w najbardziej dotkniętym klęską okręgu. W niektórych prowincjach Irlandii śmierć zbierała takie żniwo, że trzeba było kopać masowe groby, a w miejscowościach, gdzie nikt nie miał sił, by kopać — zwłoki palono. Były wioski na zachodzie wyspy, gdzie księża udzielali ostatnich sakramentów zbiorowo wszystkim mieszkańcom naraz. A żałobne dzwony były, były bez przerwy.

Rząd zarzucił pracę przy budowie dróg i mostów, a także przydzielanie porcji kukurydzy. Zapowiedziano, że plan za-

pomóg i pracy będzie kontynuowany „prywatną dobroczynnością”. W rezultacie nowe drogi zostawiano nie ukończone w środku pól, na wpół zbudowane mosty spadały do strumieni albo znikwały rozkładane. Kukurydzę wystawiono na sprzedaż po cenie trochę wyższej od rynkowej, aby nie narażać na szwank krociowych zysków pośredników!

Zniesiono Ustawę Zbożową, która zapobiegała spadkowi cen na zboże na Wyspach Brytyjskich. Genialni ekonomiści argumentowali, że wynikające z tego niskie ceny zboża — i towarzyszące temu zjawisku ceny innej żywności — ulżą irlandzkim wieśniakom. Ponury żart! Dopomogło to angielskiemu, a nawet po części irlandzkiemu robotnikowi. Ale irlandzki wieśniak nie jadał chleba!

Tanie zboże amerykańskie zalało rynki brytyjskie. Irlandzki wieśniak otrzymywał mniej niż dotychczas za płody rolne, miał mniej pieniędzy na opłacenie sztywnych czynszów i podatków, stawał w obliczu eksmisji i głodowej śmierci.

Tymczasem w Izbie Lordów książę Cambridge proponował iście książęce rozwiązanie:

„O ile wiem, gnijące ziemniaki i morskie wodorosty, a nawet trawa, odpowiednio zmieszane dostarczają bardzo zdrowego pożywienia. Wiadomo, że Irlandczycy potrafią się wyżywić byle czym. Nawet gdy zbiory ziemniaków całkowicie zawiodą, mają jeszcze pod dostatkiem trawy na łąkach...”

Nic dziwnego, że dzwon pogrzebowy z kościoła ojca O'Leary'ego nadal wydzwaniał żałosne wieści... nawet wtedy, gdy dzwonnik padł na kamienną podłogę, bo jak zabobonna wieść głosiła, serce dzwonu biło nadal bez ludzkiej ręki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### I

— Nikt nie zauważył braku miliona czy iluś tam Irlandczyków na naszej planecie — powiedział Maurycy Buchanan.

— A tobie brak czasem zwykłego człowieczeństwa — odparł Michał.

— Im mniej Irlandczyków, tym mniej kłopotów — zachichotał Maurycy. — Przekonałem się o tym w ciągu trzech lat, które spędziłem jako doradca polityczny lorda gubernatora na zamku dublińskim.

— O Boże, jak mi ich żal! — mówił Michał. — Biedacy! Odjęto im od ust ich jedyne pożywienie.

Szczerze współczuł wszystkim głodującym wieśniakom. Ale oczyma wyobraźni widział ich w postaci rodzeństwa, które tak często przekraczało ścieżkę jego życia. Podczas dalekich podróży często nawiedzało go we wspomnieniach tych dwoje — a zwłaszcza jedno z nich.

...dziecko, które jego, młodego chłopca, podstępem zrzuci z siodła... mała dziewczynka ratująca życie lisa... na wieży kościelnej... na szczycie Tary... w chatce na wzgórzu, symbolizującej walkę o niepodległość... wysoka szczupła postać, ciemne włosy, ciemne płomienne oczy, oliwkowa cera...

Michał nie należał do tych, którzy według określenia Seana „nie dbali o formalności”. A przecież jak inaczej?... Chłopska dziewczyna, nieomal Cyganka... a on z bogatej szlacheckiej rodziny...



— Czemu się martwisz, skoro to ich własna wina?  
— Maurycy wzruszył chudymi, spadzistymi ramionami.  
— Uparli się jak szaleńcy, żeby się trzymać tych karłowatych gospodarstw. Powinni byli już dawno rzucić je i wziąć się do pracy zarobkowej.

— Mieszczuch z ciebie — odparł Michał. — Nie rozumiesz, czym jest dla wieśniaka ziemia, nawet i dzierzawiona, ale uprawiana z dziada pradziada.

— Chamy! — burknął wzgardliwie Maurycy. — Błociarze! Daj spokój, nie chcę ich nawet wspominać w cudownym otoczeniu tej wspaniałej starożytnej kultury. Pójdę popatrzeć jeszcze na Herculanium. Idziesz?

Michał potrząsnął przecząco głową.

— Nie jestem w nastroju do tarzania się w prochach odległej przeszłości. Terazniejszość naszego kraju...

— Naszego kraju? — przerwał mu szyderczo Maurycy.  
— Może i tak w znaczeniu, w jakim chlew, którego jesteśmy właścicielem, może być nasz. Życzę ci satysfakcji z współczujących rozmyślań. Zobaczymy się wieczorem przy obiedzie: pewno wcześniej nie wrócę.

Dwaj podróżnicy zawitali na krótko do Turcji, a później wrócili znów do Europy, zamierzając spędzić kilka tygodni w Atenach. Jednakże pomimo zagrabionych przez lorda Elgina słynnych rzeźb antycznych — później zakupionych przez Muzeum Brytyjskie i tam umieszczonych — prace wykopaliskowe w Atenach ograniczały się jeszcze przede wszystkim do usuwania naleciałości rzymskich i etruskich, zasłaniających skarby sztuki greckiej. Maurycy Buchanan doradził wobec tego powrót do Neapolu i skoncentrowanie się na pobliskich ruinach Pompei i Herculanium, które przed osiemnastu wiekami padły ofiarą trzęsienia ziemi i wybuchu Wezuwiusza, a teraz od blisko stu lat archeologowie odkopywali je spod popiołów i lawy.

Nieliczne listy, które Michał otrzymywał od ojca, wspominały pobicznie o nieurodzaju na ziemniaki w Irlandii, ale bez szczegółów o rozmiarach klęski głodowej, jaka nawiedziła kraj. Teraz właśnie dostał od matki, za pośrednictwem przy-

jaciela rodziny podróżującego z misją dyplomatyczną, relację dokładniejszą, która go przeraziła.

„Lepiej wracaj do domu — pisała na zakończenie matka. — Ale nie mów ojcu, że ja ci doradziłam. I tak jest niezadowolony, ponieważ nalegam — przeważnie na próżno, niestety — by konkretnie wspomagał głodujących wieśniaków. Wierzę, że masz serce, mój synu, i możesz tu zrobić wiele dobrego, jeśli nie zabraknie ci odwagi, by się czasem przeciwstawić ojcu. Ksiądz O'Leary — niezły człowiek, chociaż papista i jak powiadają, rozpustnik — a nawet ten tuman Ffolliott robią, co mogą. Ale nie mają środków. Ksiądz sam podobno nie dojada, jego tusza zniknęła, a sutanna wisi na nim jak na strachu na wróble...”

Michał odczytał głośno urywki tego listu, co jego towarzyszowi podróży dało asumpt do szyderstwa.

Buchanan był kuzynem Elżbiety du Maurier, dobiegał czterdziestki i teoretycznie pracował w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych, ale od dawna był na bezpłatnym urlopie. Pan Winter namówił go, by za odpowiednim wynagrodzeniem towarzyszył jego synowi w podróży po kontynencie. Buchanan znał dobrze język włoski i dzieje antycznych kultur; z punktu widzenia wiedzy historycznej i lingwistycznej był rzeczywiście doskonałym przewodnikiem po europejskich ośrodkach sztuki, architektury i archeologii. Pod jego kierunkiem „wielka podróż” Michała uniknęła wulgarnej formy „edukacji”, najczęściej spotykanej i sarkastycznie określonej przez Seana. Młody szlachcic istotnie dowiedział się dużo o sztuce i o starożytności. A ponieważ był z natury spostrzegawczy i interesowały go sprawy ludzkie — dowiedział się również sporo o współczesności narodów europejskich, a także o samym Maurycym Buchananie.

Wysoki, przygarbiony, z łysawą głową przypominającą nieudanego konia, Maurycy był człowiekiem wykształconym, odczytanym, o czarujących manierach, zwłaszcza w stosunku do kobiet, chociaż one jako takie go nie interesowały. Znał tajniki dyplomacji, dzieje wojen i buntów, kunszt gry politycznej. Ale poznawszy go bliżej i nasłuchawszy się do znu-

dzenia jego ubarwionych wspomnień — Michał zaczął nim pogardzać. Razem z całym swym wykształceniem i intelektualizmem Buchanan był kłamcą, hipokrytą, szpiegiem, który się chełpił demaskowaniem innych szpiegów. A jego wiedza i urok osobisty służyły mu za przynętę do budzenia podziwu i łapania w swe sieci urodziwych młodzieniaszków, których zaznajamiał z homoseksualizmem.

Gdy Maurycy pojechał powozem do Herculanium, Michał bez szczególnego żalu powziął decyzję. Spakował swoje rzeczy i wczesnym rankiem następnego dnia wyruszył w drogę powrotną do Anglii. Nocując w oberży w Szwajcarii, mimo ostrzeżenia napił się nie przegotowanej wody z karafki i zaraził się tyfusem, na szczęście w dość łagodnej formie. Wyzdrowiawszy, pojechał dalej, ale był jeszcze tak słaby, że gdy wiosną 1847 roku dotarł do Dover, trzeba go było znieść na noszach ze statku; musiał też zatrzymać się na dłuższą rekonwalescencję w domu swoich krewnych pod Londynem.

Wracając pomału do zdrowia, wypoczywając, miał dość czasu na rozmyślanie. Zastanawiał się nad niedolą Irlandii, nad nędzą Kilegad. Ciekaw był, co się dzieje z Seanem i Pat O'Donovanami. Coraz wyraźniej zaczynał dostrzegać, że Anglia nie tylko nie rozwijała zasobów naturalnych podbitego kraju z korzyścią dla Irlandii, ale wykorzystywała je tylko dla własnego dobra. Jego angielscy krewni zbywali wiadomości o klęsce głodowej wruszeniem ramion i szyderstwem, jak Maurycy Buchanan.

— Irlandczykom zawsze brak było zapobiegliwości — mówił stryj Michała, wysoki urzędnik państwowy. — Może teraz się czegoś nauczą.

— Czego głód ich może nauczyć, co by było korzystne dla nich? — pytał Michał.

— Tylko Irlandczycy mogą być takimi głupcami, by spodziewać się, że wyżyją z jednego gatunku płodów rolnych — odparł stryj.

— Przecież nie mają alternatywy — tłumaczył Michał.

— Inne zbiory muszą iść na opłacenie...

Ale stryj nie chciał wysłuchiwać opinii różnej od jego własnej. Przerwał mu:

— Inne narody lepiej sobie radzą.

A Michał rozumiał, że bezcelowe byłoby przypominać, że inne narody, nawet w ucisku, mogły najpierw żywić siebie i dopiero później żywić innych, a w Irlandii było odwrotnie.

Przybywszy wreszcie do Dublina, Michał dorwał się do „Nation” i innych czasopism zapełnionych relacjami o okropnościach rozgrywających się w całym kraju:

„Dziesięć tysięcy zgonów w ciągu tygodnia... tragedia bez dna... niekończąca się lista nie pogrzebanych zwłok— szczerńniętych, opuchniętych, nagich...” „Psy i kruki żywią się ciałami...” „Na zachodzie zdarzają się nawet wypadki kanibalizmu...” „Kto ma siły, by wyżebrać, pożyczyć lub ukraść trochę pieniędzy, ten emigruje; kraj jest pozbawiany najlepszych, najdzielniejszych synów...”

Pod Dublinem założono kuchnię i wydawano zupę, typowy przykład „dobroczynności w rękach prywatnych”. Michał poszedł zobaczyć, co się tam dzieje. Wstrząsnął nim widok wynędzniałych rzemieślników, bezdomnych wieśniaków, głodujących szwaczek — skóra i kości — poganianych przez policjantów, krzyczących i poszturchujących tych, którzy osłabieni wlekli się zbyt wolno, a później jedli wodnistą zupkę umocowanymi na łańcuchach łyżkami. Jeszcze bardziej oburzył go widok wygalowanych oficerów, strojnych dandysów i dam, którzy przyjeżdżali, by się przyglądać irlandzkim biedakom, chciwie chłepcącym życiodajne pomyje. Patrzyli jak na widowisko, krzywili się z niesmakiem z powodu zezwierżenia nieszczęśników, podnosili uperfumowane chusteczki do nosów, wymieniali głośne, pogardliwe uwagi:

— Jak człowiek może upaść tak nisko?!

— Lepiej pozwolić im umierać i już...

— To położy kres burdom. Będziemy mieli ład i porządek.

— Tak, dawniej policja nie mogła sobie z nimi poradzić.

I młody dziewczęcy głos, przenikliwie podniesiony:

— Doprawdy odrażające! Wolę przyglądać się, jak się karmi w chlewach świnie mego ojca...

Michał wrócił do swego pokoju błądy ze złości.

I to się dzieje w samym sercu najbogatszego imperium świata — mówił do siebie. — Wydaje się, jakby ktoś sobie życzył tej głodowej klęski!

Nie był daleki od prawdy. Główny doradca ekonomiczny rządu brytyjskiego wyraził rzeczywiście obawę, czy aby zaraza ziemniaczana nie wygaśnie, zanim nie wymrze wystarczająca ilość Irlandczyków! Maurycy Buchanan nie był wyjątkiem w przekonaniu, że „im mniej Irlandczyków, tym lepiej”.

Michał nie wyobrażał sobie jeszcze „Irlandii dla Irlandczyków”. To, co przeczytał, usłyszał i zobaczył, poruszyło jego serce, ale nie dotknęło umysłu. Był synem intendenta wielkich dóbr, kolonizatorem wykształconym na angielskim uniwersytecie. Marzyła mu się kolonia szczęśliwych, ciężko pracujących, dobrze odżywionych Irlandczyków, którymi po ojcowsku rządząliby oświeceni Anglicy. Utopia na osobisty użytek. I jak inne utopie — nie do zrealizowania przez niedoskonałe, chciwe, żądne władzy istoty ludzkie.

Trwale nawróceni neofici — nawet nawróceni na wiarę w bunt — nie rodzą się w ciągu jednej nocy. Odchodzą od dawnych poglądów i uczuć pomału, krok za krokiem, zanim przyjmą nowe. Michał dostrzegł przed sobą zaledwie błysk światła. Zanim świadomie i celowo zwróci się ku nadchodzącemu świtowi, będzie musiał zaznać emocji, której siła tworczą różni się od litości, a nawet gniewu.

## II

Przybywającego do dworu Boyne Michała zgorszyły przygotowania do wielkiego przyjęcia. Było wczesne popołudnie, ojciec jeszcze nie wrócił. Po zdawkowym przywitaniu pani

du Maurier, która popatrzyła na niego z zagadkową ironią, Michał udał się prosto do matki i ucałował ją czule, wybuchnął:

— Wystawne przyjęcia w domu intendenta w czasie, gdy wieśniacy masowo umierają z głodu!

Pani Winterowa leżała na kozetce. Jej włosy osiwały zupełnie, klasyczne niegdyś rysy wyostrzyły się, piękna jasna cera wydawała się teraz pergaminem naciągniętym na kości, ciało wychudło od długoletniej choroby. Obok leżała książka i robótka ręczna, którymi usiłowała wypełnić długie nużące godziny. Na tacy były ciasteczka i karmelki. Psuła sobie nimi apetyt, o ile go jeszcze miewała. Podniosła do syna rękę szkieletu:

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedziała. — To była decyzja ojca i gospodyni, aby dla uświetnienia twego powrotu wyprawić bal.

— Czy ojciec chce, żeby wieśniacy nam się zbuntowali? Zwariował chyba!

— Pewnie wszyscy jesteśmy po trochu zwariowani — przerwała matka. — Ojciec sądzi, że czas, abyś się ożenił...

— A to już lepiej niech mnie pozostawi wybór pory i osoby!

— Wiesz, jaki on jest — powiedziała. — Jego wola musi rządzić wszystkim. Wybrał już dla ciebie dziewczynę. Przywiozła ją pani du Maurier, która ponoć kilkanaście lat temu była w domu jej rodziców. To zupełna sierota i najmłodsza córka szkockiego lorda. — Cień uśmiechu rozjaśnił na moment jej bezkrwiste wargi. — Prawdziwa arystokratka, jak powiada pani du Maurier, a ojciec wierzy jej na słowo. Wiesz, jak bardzo chciałby wejść w te kręgi. Muszę jej to przyznać, panna bardzo ładna. Chociaż moja kobieca intuicja mi podpowiada, że coś tu nie tak, jak być powinno.

— W każdym razie ja sam chcę decydować, kiedy się ożenię i z kim.

— Dwadzieścia sześć lat... masz jeszcze właściwie dość czasu — mówiła matka na wpół do siebie. Z twarzą zwróconą

ku oknu sięgnęła ręką po łakocie i nie patrząc wybierała palcami kształt cukierka. — Stare, ale prawdziwe powiedzenie głosi: jadaj w kompanii, ale śpij samotnie, jeśli cenisz sobie wolność.

Michał parsknął śmiechem wbrew złemu humorowi. Matka często przytaczała takie powiedzonka, ściągnięte przeważnie z lektury autorów dawnych i nowszych.

— Zajęło mi przeszło dwadzieścia lat, by zrobić z ciebie człowieka — ciągnęła powoli, jakby znudzona. — Uważaj, by jakaś inna kobieta nie zrobiła z ciebie głupca w dwadzieścia minut.

— Do tej pory udawało mi się zawsze ocalić siebie — powiedział Michał.

— Ale chyba nie ocalić swoją czystość? Jeśli nie przedtem, to na kontynencie jakaś kobieta...

— Zachowałem i czystość. Mam staroświeckie, może nawet purytańskie poglądy na miłość.

— Prawdziwa miłość jest jak duchy — rzekła Winterowa. — Każdy o nich mówi, ale kto je widział naprawdę?

— Ja jednak wierzę, że prawdziwa miłość istnieje i że ją znajdę. Ale nie podadzą mi jej na tacy. Sam poszukam.

— A gdy ją znajdziesz... albo będzie ci się zdawało, że znalazłeś... małżeństwo jest jak rów, do którego ślepy prowadzi ślepego...

Po omacku poszukała następnego karmelka.

Winter powitał syna słowami:

— Mam nadzieję, że już wyzdrowiałeś. Ta ziemniaczana zaraza przyczyniła nam dużo kłopotów. Czyszów nie płacą, ciągle eksmisje. Potrzebna mi twoja pomoc.

Wiadomość, że ojciec nie tylko wyprawia bal nie w porę, ale jeszcze zamierza go ożenić — by go ustatkować? czy dla dobrego mariażu? — sprawiły, że Michał z trudem hamował gniew.

— Pomówimy o tym później — odrzekł tak szorstko, że ojciec podniósł w zdziwieniu brwi, ale powiedział tylko:

— Masz rację. Przede wszystkim musimy uczcić twój powrót do domu. — I dodał znacząco: — Ufam, że odzyska-

łeś siły i witalność. Bo to potrzebne i dla innych powodów. Ale chodź, trzeba się przebrać. Lokaj na pewno już rozpakował twoje rzeczy i odprasował ci strój wieczorowy. Goście zjadą, nim się obejrzymy.

### III

Dla zachowania pozorów Sean zorganizował losowanie między dziesięciu pozostałymi przy życiu konfederatami — włącznie z Kevinem, Kellym, Barrym, Seamusem i Pat — o to, kto z nich ma poprowadzić jako dowódca napad zaplanowany na czas balu we dworze Boyne, balu, który wzbudził wiele gorczy i gniewu. Ale niektórzy konfederaci, chociaż dobrzy do akcji, nie nadawali się na wodzów, a byłoby niepożądane, gdyby po losowaniu zaczęła się krytyka i niezgoda. Tak więc Sean po cichu zdecydował, że los musi paść na osobę, która by była nieustraszona, pomysłowa, stanowcza, a takim ciesząca się zaufaniem i popularnością, by wyeliminować wszelką możliwość dysputy.

Dziewięć karteczek z nazwiskami umieszczono w głębokim naczyniu, nakrytym chustką. Następnie ojciec O'Leary — poproszony, by wyciągnął kartkę jako osobiście niezainteresowany, a także by wzbudzić zaufanie, że wszystko odbywa się uczciwie — miał podnieść róg materiału i włożyć rękę do naczynia. Pod zasłoną ręką jego, niby to mieszając kartki, zsunie z ukrycia w rękawie dziesiątą. Tę karteczkę wyciągnie, rozwinie i przeczyta nazwisko wyznaczonego przez Opatrzność dowódcy — Patrycji O'Donovan.

— Czy sądzisz, że ojciec O'Leary zgodzi się odegrać taką oszukańczą rolę? — spytała Pat brata.

A Sean, wspominając swoje lata w seminarium, odpowiedział z porozumiewawczym uśmiechem:

— Książd bliżej Boga stoi, potrafi nagiąć los do swojej woli.



## IV

Trochę spóźniony Michał zszedł do wielkiego hallu po szerokich marmurowych schodach ozdobionych posągami nagich kobiet podtrzymującymi lampy. Stamtąd szeroko otwarte drzwi prowadziły do sali balowej udekorowanej kwiatami, flagami i draperiami. Nie rebeliancka irlandzka zieleń, lecz błękit tarczy z harfą przypominał mu — gdyby potrzebował przypomnienia — o bracie kogoś, kogo od chwili wylądowania w Irlandii bardzo pragnął zobaczyć. Jak ona, wieśniaczka, wyglądałaby w tym towarzystwie, które strojnym tłumem zapełniało salę balową — w towarzystwie wykwintnych galantów i szeleszczących jedwabiami upudrowanych dam? Zirytowany nie wiedzieć na kogo Michał jeszcze nie wchodził do salonu, tylko stał i nerwowo przygryzał skórę przy paznokciu na środkowym palcu prawej ręki.

Stan zdrowia pani Winterowej nie pozwalał jej uczestniczyć w większych zgromadzeniach. Przyjmowała tylko osobistych przyjaciół, i to zawsze w swoich apartamentach. Elżbieta du Maurier od dawna odgrywała rolę pani domu w dworze Boyne. Stała teraz z ojcem Michała obok najważniejszego gościa wieczoru, emerytowanego admirała — lśniącego od epoletów, szamerowań, orderów — ze sztabu lorda gubernatora oraz młodej pięknej dziewczyny, rudowłosej, o ciemnych oczach i ponętnych kształtach.

Michała zewsząd zasypywano pytaniami o jego wielką podróż. Nie był zresztą lubiany przez młodych synów szlacheckich z okolicy. Najbardziej odcięło go od nich to, że nie przyłączył się do orańczyków. Ale jednak, jako synowi najpoważniejszej figury w całej prowincji, nie można mu było okazywać zbyt jawnie niechęci. A prócz tego niejedna matka panny na wydaniu, mimo ploteczek, które już się rozeszły, związanych z osobą pięknej młodej dziewczyny stojącej obok Wintera, nie zaniechała jeszcze nadziei matrymonialnych.

Winter przywitał syna i przedstawił go najpierw — z porozumiewawczym i źle zamaskowanym mrugnięciem — jaśnie

wielmożnej pani Urszuli Gordon, córce hrabiego Thurso, a następnie admirałowi.

Orkiestra zagrała tradycyjny taniec angielski w rytmie galopady, zwany „Sir Roger de Coverley”, podczas którego tańczący najpierw stają naprzeciw siebie w dwóch szeregach, a następnie nieustannie zmieniają partnerów. Admirał, chociaż już siwowłoso i o nieco sztywnych nogach, z wielką galanterią poprowadził panią du Maurier i stanął naprzeciw niej. Michał nie miał wyboru i musiał poprosić do tańca hrabiankę Urszulę.

Przyjemnie było popatrzeć na nią, gdy tak stała naprzeciw niego. Jej suknia podkreślała cienką talię i obiecujący biust. Objęcie jej wąskiej kibici i okręcenie w tańcu mogłoby być rozkoszne i takiego zdania był niejeden z jej przyszłych partnerów w tańcu noszącym miano „Sir Roger de Coverley”. Aie Michał zauważył, że panna nie tańczyła dobrze, śledziła poruszenia innych, czasami gubiła się, nie wiedząc, jak tańczyć dalej. I on sam był roztargniony, gdyż w jego myśli wdzierало się wciąż wspomnienie innej dziewczyny, która nie mogła poszczycić się arystokratycznym pochodzeniem, ale która może głodowała, może już nie żyła. Nie było nikogo, kogo by odważył się zapytać o nią.

Szerokie fałdziste spódnice, sterczące na usztywnionych halkach, wirowały wokół ciemnych wąskich spodni... białe ramiona połyskiwały nad mocno wyciętymi stanikami, przyciągając ukradkowe spojrzenia brodatych i wąsatych mężczyzn wszelkiego wieku... kołysały się długie loki, pobrzękiwały wojskowe ordery i ostrogi, muzykę nieomal tłumił tupot nóg, śmiechy, a gdy zamaszysty „Sir Roger de Coverley” dobiegał końca, również sapanie danserów, z których nie wszyscy byli w odpowiedniej do takiego tańca formie.

Z kolei walc, a później kadryl i polka, o której Michał opowiadał, że zdobyła w Paryżu ogromną popularność i nieomal wyparła z prasy politykę.

Michał doskonale tańczył, ale tego wieczoru nie miał ochoty do roztaczania towarzyskich zalet. Bał na jego cześć irytował go niepomierne jako nikczemna manifestacja zbyt-

ku w obliczu głodu. Nie chciał znieważać ojca wychodząc z sali, ale po desperacku starał się utopić niesmak i niepokój w trunkach, których obfity wybór stał na kredensach i które roznosili na tacach liczni lokaje, sprowadzeni na tę okazję z Dublina.

Pani du Maurier z admirałem poprowadzili gości do sali jadalnej. Siadano zgodnie z prawem pierwszeństwa. Nikt nie chciał popełnić gafy i znaleźć się z partnerką przed baronetem lub rycerzem, żaden kapitan nie skompromitował się podaniem ramienia pani pułkownikowej. Michał znowu znalazł u swego boku zręcznie podsuniętą przez gospodynię hrabiankę Urszulę, a ponieważ wypił już więcej, niż to bywało jego zwyczajem, więc uśmiechnął się do niej i zaprosił do kolacji.

Stoły ugiwały się od półmisków z najwykwintniejszymi przysmakami. Michał nie był tak dalece podпиты, by go ten widok nie napełnił wstrętem. Nałożył pełny talerz swojej partnerce, ale sam nic nie jadł. Korki butelek z szampanem strzelały wesoło, kryształowe kieliszki napełniano i wznoszono. Z posępnej melancholii nastrój Michała zmienił się nagle w lekkomyślną, szaleńczą wesołość. Hrabianka Urszula, chociaż przypuszczalnie dobrze odżywiana we własnym domu, jadła tak, jakby nie wiedziała, kiedy będzie miała drugą taką sposobność. Jednocześnie szczebiotała z wdziękiem, słuchała z pochlebną uwagą i śmiała się wesoło z przygód Michała w dalekich krajach. Pan Winter podszedł i stał przez chwilę za młodą parą; syna trącił znacząco łokciem, hrabiankę po ojcowsku pogładził po ramieniu i zauważył z przymrużeniem oka:

— Gdybym był w jego wieku, droga hrabianko, stanął bym w szranki przeciw niemu o nagrodę z pani rączki!

Niebawem podeszła też Elżbieta du Maurier:

— Używajcie, moje dzieci! Tylko raz jest się młodym.

Zły humor Michała rozplywał się w szampanie wypitym po whisky. Podrażniony bliskością ponętnych wdzięków towarzyszeki — nieskapo ujawnianych głębokim dekoltem — pomyślał, że rada Elżbiety jest wcale rozsądna. Ujął hra-

biankę Urszulę pod ramię i wyprowadził ją z sali jadalnej przez wielki hall do małej alkowy, gdzie goście z pewnością nie zagłądali.

Wychodząc z salijadalnej, jego towarzyszka odwróciła się i ledwo dostrzegalnie skinęła komuś głową. Michał dostrzegł to, ale nie był w nastroju, by zastanowić się nad znaczeniem tego gestu.

— Czemu odłączamy się od gości? — pytała w alkwie hrabianka, kokieteryjnie przechylając głowę.

— Ponieważ piękność pani wymaga hołdu.

— A jakąż to formę ten hołd...?

Odpowiedział na pytanie, zanim je dokończyła, biorąc ją w ramiona. Cofnęła głowę, odsłaniając w tym ruchu piersi nieomal aż do sutek, odwróciła twarz, ale udami przyłgnęła do niego mocno. Rozpalonemu trunkiem Michałowi do reszty zakłęciło się w głowie. Zwalczył jej opór, obrócił jej twarz ku sobie, ustami sięgnął jej ust.

— Nie tutaj ! — szepnęła, zwinnym obrotem ciała wymykając się z jego objęć.

Z alkowy wąskie kręte schody prowadziły na piętro wprost do szafami, używanej przez służbę do prasowania bielizny, cerowania i szycia. Hrabianka Urszula szybko wskoczyła na stopnie. Zaśmiała się na widok rozczarowania wyraźnie malującego się na twarzy Michała. W uśmiechu tym było wyzwanie, a gdy biegła krętymi schodami pod górę, unosiła spódnicę wysoko, ukazując zgrabne łydki.

Michał nie pomyślał, że zachowuje się w sposób nie pasujący do panienki z arystokratycznego domu. Podniecony alkoholem i pożądaniem, zapomniawszy zupełnie o nieokreślonej przestrodze matki sprzed paru godzin, pognął na górę za tymi jedwabiem połyskującymi nogami. W drzwiach do szafami dziewczyna obróciła się, pokazała uwodzicielski różowy języczek i pięknymi oczyma posłała mu nieomylną zachętę, by ją ścigał dalej. Michał pobiegł za nią długim korytarzem. Już wydawało się, że mu umknie, ale się zatrzymała, dysząc głośno, akurat w porę, by mógł ją pochwycić i wtrącić do pokoju, którego drzwi otwierała.

W pokoju — był to gościnny, oddany do jej użytku — Michał znowu ją porwał w objęcia, szukał jej ust. Opierała się. Delikatny jedwab sukni rozerwał się na ramieniu, zsunął z jednej strony, obnażył jędrną okrągłą pierś zdradzającą pod niecenie dziewczyny czerwienią sterczącego sutka. Znowu mu się wywinęła, odskoczyła, ale potknęła się o białą owczą skórę leżącą na podłodze, upadła na jej wełnistą miękkość i leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma. To otrzeźwiło go trochę. Złakł się, czy się nie uderzyła. Podeszedł niepewnie. Otworzyła oczy i jakby chciała się przed nim bronić, ode pchnąć go, uniosła ściśnięte kolana. Jedwab spódnicy ze śliznął się w dół, odsłaniając nogi aż do pośladków — krągłych, proszących się o pieczętę. Nie mogąc w porę się zatrzymać, Michał niezręcznie potknął się i upadł na ciało dziewczyny.

Zaskrzyphiała klamka źle naoliwionych drzwi. Zanim Michał zerwał się na nogi, zanim dziewczyna mogła obciągnąć kompromitująco zadartą suknię — Elżbieta du Maurier weszła do pokoju z ironicznie słodkim uśmiechem.

— Uprzedziłam cię kiedyś, że nie pomnę sposobności — powiedziała do zmieszanego Michała. — Czekałam długo i cierpliwie. Ale wreszcie moja godzina nadeszła i jest słodka, mój drogi Michale. Co ojciec powie, gdy o tym posłyszysz, nie potrzebuję podkreślać. Córki hrabiego nie można wyobrazić bez konsekwencji. Konsekwencji na całe życie.

Michał milczał. Cóż mógł powiedzieć? Przyłapano go za pierwszym razem, gdy w taki sposób stracił głowę. Alkohol teraz kompletnie mu wywietrzył i panicz mógł tylko w duchu przeklinać swoją poprzednią chęć utopienia w winie niepokoju i niezadowolenia.

Hrabianka Urszula stała, dygocąc na całym ciele, odwrócona od gospodyni i syna pana domu. Próbowwała bezskutecznie ratować podartą na ramieniu suknię. Elżbieta podeszła do niej, objęła ją opiekuńczym ruchem, podprowadziła w stronę zasłoniętego okna, zaczęła mówić cichym głosem. Michał udając, że poprawia kamizelkę i krawat, nastawił ucha. Dosłyszał tylko parę oderwanych wyrazów:

— ...odegrałaś... a ja moją... przyszłość... zapewniona...  
Elżbieta odwróciła się i rzekła lodowatym tonem:  
— Dzięki mojej interwencji, Michale, nie byłeś może w tym pokoju dość długo, by osiągnąć swoje cele. Ale dość długo, by posłużyć moim. Proszę wyjść.  
Usłuchał.

## V

Minęło trochę czasu, zanim Elżbieta zeszła na dół. Wchodząc do wielkiego hallu, zobaczyła chyba ze trzydziestu młodych ludzi tłoczących się w podnieceniu wokół pana Wintera. W drugiej grupie stali admirał i większość starszych panów. Rozmawiali wszyscy naraz. Coś niezwykłego tu się wydarzyło. Gospodyni musiała się przepychać, by dotrzeć do pracodawcy.

— Muszę z panem pomówić.

— Nie teraz. Otrzymałem właśnie wiadomość...

— Koniecznie teraz. To pilne — i zrecznie wyprowadziła go nieco dalej od rozgorączkowanych orańczyków.

Szybko opowiedziała, co zaszło, oczywiście w sposób najbardziej odpowiadający jej intencjom, i zakończyła:

— Muszą zaręczyć się natychmiast i wziąć ślub bez odwlekania. Rodzina hrabiego nie może nigdy dowiedzieć się o tym, co panu zakomunikowałam.

— Hrabianka ma opiekuna — odrzekł Winter. — Należy mu się ta grzeczność, aby poprosić go o jej rękę.

— To niedołązny starzec — nalegała Elżbieta. — Lepiej sobie nim teraz głowy nie zawracać. Poinformujemy go później. Będzie zadowolony, że się tej opieki pozbywa.

— Wszystko to może poczekać dzień czy dwa. Rad jestem, że w żyłach moich wnuków będzie płynęła arystokratyczna krew. — I dodał prychając śmiechem: — Słowo daję,

nie myślałem, że Michał ma tyle ognia. Teraz muszę iść z tymi panami.

— Dlaczego? Dokąd?

Odchodząc już rzucił przez ramię:

— Otrzymałem wiadomość, że... — Ale resztę zdania zagłuszyła wrzawa czyniona przez podpitych młodych gości.

— Jedźmy już, szanowny panie!

— Nie zwlekajmy...

— Nie chcemy, by się bez nas obyło...

— Mamy dawne porachunki...

A Winter zawołał jeszcze do pani du Maurier, wychodząc ze dworu:

— Proszę przysłać Michała za nami do zbożowego spichlerza!

## VI

Michał, opuściwszy pokój hrabianki, przeszedł przez korytarz do pokoju naprzeciwko, a sprawdziwszy, że jest pusty, czekał tam, aż Elżbieta zejdzie na dół. Tymczasem się zastanawiał:

„Dość długo, by posłużyć moim celom”. Tak powiedziała. Co to mogło znaczyć? Czy te słowa nie były przypadkiem niedyskrecją z jej strony? A jeśli tak, mogłyby wyjaśniać...

Wiedział dobrze, że gospodyni go nienawidziła od chwili, gdy nie powiodło się jej go uwieść. Jej cel! Czy to możliwe? I „konsekwencje na całe życie”. Prawdę powiedziawszy, dziwny wieczór, nie tylko od chwili gdy po raz pierwszy spróbował pocałować hrabiankę Urszulę w małej alkwie. Wtedy był zbyt podniecony trunkami i pożądaniem, by jasno rozumować. Teraz zaczął rozpatrywać poszczególne incydenty wstecz i wiązać je z podsłuchanymi oderwanymi wyrazami: „...odegrałaś... a ja moja... przyszłość zapewniona...”

Odegrałaś? Co? Rolę?... A potem: „A ja moją”. Elżbieta też odgrywała rolę? „Przyszłość zapewniona.” Twoja przyszłość jest teraz zapewniona? Czy też: ja dopilnuję, aby twoja przyszłość była zapewniona? W każdym razie z pewnością mniej więcej tak to brzmiało: „Ty odegrałaś swoją rolę. Ja odegram moją i dopilnuję, aby twoja przyszłość była zapewniona”.

Warto się nad tym zastanowić, może da się coś zmienić? Nadal cofał się we wspomnieniach tego wieczoru. Ta chwila zatrzymania, by nabrać tchu, ten głośny oddech — czy nie udawany? — właśnie gdy się wydawało, że dziewczyna mu ucieknie na korytarzu... pokazanie języka... uniesiona wysoko spódnica na schodach... „Nie tutaj”, co oznaczało: „Chodź gdzie indziej!”... Lekkie kiwnięcie głową, gdy wychodziła z sali jadalnej... brak wprawy w tańcach... i słowa jego matki: „Coś tu nie tak, jak być powinno”.

Rozpalone pożądanie zastąpił teraz gniew.

Gdy Elżbieta wyszła, Michał udał się z powrotem przez korytarz do pokoju hrabianki i nacisnął klamkę: drzwi nie były zamknięte. Suknia już w porządku, włosy przyczesane. Dziewczyna powitała go uśmiechem, bardzo z siebie zadowolona. Michał nie tracił czasu na ceregiele:

— Spisek, pułapka — rzekł z wściekłością. — Zaplanowana przez Elżbietę du Maurier, a ty byłaś chętną przynętą!

— Jak pan śmie? Czy to w Europie nauczył się pan tak mówić do hrabiowskiej córki?

Ale Michał już szedł na całego:

— Prawdziwe arystokratki nie potrzebują przypominać, kim są! Przywykły do swego stanu i zakładają, że wszyscy inni też.

Nagle chwycił jej rękę w przegubie, wykręcił do tyłu brutalnym, jeszcze w szkole wyuczonym chwytem. Nie lubował się w okrucieństwie, ale musiał dowiedzieć się prawdy, i to prędko.

— Powiedz mi całą historię, bo ci wyłamię rękę!

— Och... — Wolną rękę, zaciśniętą w pięść, wpackowała sobie w usta. Nie śmiała teraz wołać pomocy. Chciała naj-



pierw zorientować się, co on wie, a co podejrzewa. Ale musiała zdradzić to, co sama wiedziała. Michał mocniej wykręcił jej ramię. Z bólu gryzła własną pięść aż do krwi. Potem zemdlała. Michał wziął wody z karafki, chlusnął jej w twarz. Teraz, gdy była zdana na jego łaskę i niełaskę, czuł do niej więcej litości niż gniewu. Posłużono się nią, bezwolnym narzędziem. Kiedy wróciła do przytomności, pomógł jej wstać, posadził na krześle i powiedział do jeszcze oszołomionej dziewczyny:

— Nie jesteś żadną hrabiowską córką. I nietrudno będzie to sprawdzić. Powiedz mi całą prawdę, a wyprowadzę cię stąd i nie doprowadzę do konfrontacji z ojcem, który by kazał wtrącić cię do więzienia za oszustwo. Mów prędko.

Potrząsnęła głową, potarła ręką czoło, spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Złapał mnie pan. A historia jest krótka.

Głos jej stracił arystokratyczny akcent, gdy opowiadała mu nikczemną historię od dawna planowanej zemsty wzgardzonej kobiety.

O tyle blisko hrabiego, że była utrzymanką jednego z jego synów... odprawiono ją... miała pecha... jej matka, niezamężna, przyjaźniła się kiedyś z Elżbietą du Maurier... umarła... a ona chora, bez pieniędzy, dosłownie głodowała, jadła w kuchni dla ubogich w Dublinie... Elżbieta znalazła ją tam, nakarmiła, zaopiekowała się, obiecywała złote góry... byle tylko wysiliła się trochę w sztuce uwodzenia, która nie była dla niej nowością.

— Ale przecież fakt, że nie jesteś z arystokratycznego rodu, wydałby się...

— Dopiero po ślubie. A gdyby mnie pan wtedy wypędził, to musiałby hojnie zapłacić, inaczej Elżbieta wystawiłaby Winterów na pośmiewisko w całej Irlandii i w Londynie też: cnotliwy młodzieniec uwiedziony widokiem kobiecych nóg tak dalece, że zgwałcił ładacznicę, o której sądził, że jest córką hrabiego! A niewiele brakowało! — Nawet teraz nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Michał przygryzł wargi.

— Ale pani du Maurier byłaby... skompromitowana.

— Nie dbała o to. I tak zamierza rzucić pana ojca. Jakiś stary bogacz w Paryżu podobno chce się z nią ożenić. Nie będzie miała z niego wielkiej pociechy, tyle tylko że może dostanie forszę w spadku. A teraz proszę mnie wypuścić. Obiecał pan. Ja tam się nie patyczkuję, ale ta cała sprawa to dla mnie za dużo...

— Albo za mało, co? — zapytał złośliwie Michał. — Wszystko by było dobrze, gdyby się dobrze skończyło, prawda? Miałem być wciągnięty podstępem w małżeństwo tylko dlatego, żeby zaspokoić chęć zemsty rozpustnej starzejącej się kobiety, którą kiedyś odtrąciłem!

— Zmienił się pan od tego czasu — rzekła szyderczo.

— Wtedy byłem trzeźwy — odparł bez ogródek.

— Ona ma z pana ojcem także na pieńku. Powiada, że z nianie śpi dlatego, że ma w Dublinie młodszą utrzymankę.

— Dość tego. Zbieraj swoje rzeczy! — rzekł Michał.

— Mam tylko to, co mi Elżbieta dała.

— Więc się spakuj. Zarobiłaś na to. Odeślę cię do Trim. Zatrzymaj się w oberży, a pani du Maurier dołączy tam do ciebie bardzo prędko.

Dziewczyna wstała, przeciągnęła się, westchnęła. Chociaż trzeźwy teraz, Michał poczuł znowu pożądanie, jak ukłucie.

— Szkoda — powiedziała. — Myślę, że mogłabym pana kochać. I byłby pan pierwszym, którego bym kochała naprawdę, chociaż spałam z niejednym.

Wyprawił ją zawołowaną do bryczki, którą kazał postawić pod kuchenne drzwi, i fałszowana hrabianka wymknęła się, nie zwracając wśród ogólnego zamieszania niczyjej uwagi.

Większość gości już odjechała. Reszta czekała na karety lub wierzchowce. Michał dowiedział się, co spowodowało tak wczesne zakończenie balu. I nazwisko człowieka, który ponoć przekazał informację. To nazwisko wprawiło go w osłupienie. Czy to możliwe? W tej przeklętej miejscowości wszystko było możliwe. Ale nie zamierzał usłuchać polecenia ojca, by się udać za nim do spichlerza.

Idąc po schodach do pokoju matki, oczekującej jego wrzeń z balu, wykrzyknął sam do siebie:

— Niech to wszyscy diabli! Gdyby nie... mógłbym może ostrzec, uprzedzić... Teraz za późno.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### I

Stan Seana się pogorszył i chory musiał leżeć. Pielęgnowała go troskliwie Pat, a gdy wychodziła, zastępowała ją Molly Maginn. Grupa konfederatów, która usiłowała dokonać napadu, odwiedziła go następnego dnia. Nie wszyscy mogli się pomieścić wewnątrz chatki, kilku zostało za drzwiami.

Wiązali z tą akcją wielkie nadzieje. Wózek z Rorym umieścili w niewielkiej odległości od spichlerza i mieli nań załadować worki z ziarnem. Przynajmniej przez parę dni ludzie w Kilegad chodziliby z pełnymi żołądkami. Ta perspektywa odegnała przezorność: kto mógł dorwać byle jaką żywność, zjadał ją, nim mu odebrano. Rozczarowanie złagodził trochę fakt, że konfederaci w porę zorientowali się o czekającej na nich zasadzce. Wprawdzie gdy ostrożnie wycofywali się w pobliskie zarośla, szelest nadepniętej gałązki zdradził ich obecność i naprowadził na trop, jednakże dzięki wybornej znajomości okolicy — nabytej w wyprawach kłusowniczych — zdołali ujść, zanim ich zobaczono.

— Bo mi się wydawało, jakby woda zaszumiała, a przecież wiedziałem, że tam żadnego strumyka nie ma! — John Barry dał sygnał alarmowy i teraz w obawie, aby o tym nie zapomniano, powtarzał, jak to się stało.

— Domyślam się, jakiego rodzaju to mogła być woda!  
— śmiał się Sean. Ale zmęczył się prędko i druhowie wyszli.

— Słuchajcie, on jest bardzo chory! — mówił z niepokojem Tom Kelly, gdy schodzili ze wzgórza. — A my nie możemy go stracić.

— Lepiej mu trochę teraz, jeszcze jakiś czas wytrwa — rzekł Kevin. — Co za człowiek! Kaleka i chory, a rozumu ma tyle co my wszyscy razem wzięci. Żeby go wyratować, skoczyłbym za nim do najgłębszej wody.

— A umiesz pływać? — spytał Seamus.

— Jak kamień! — przyznał Kevin. — Wszystko jedno, skoczyłbym za nim i tak.

Gdy śmiech z tego istic irlandzkiego połączenia zapału z brakiem logiki ucichł, Seamus zaproponował, by pójść do karczmy Murphy'ego.

— Nie mamy za co — zaproponował Barry. Żona niedawno umarła mu na tyfus, zostawiając go z dwojgiem małych dzieci. — A Murphy już więcej nie skredytuje.

— Założyłbym się, że Kevin ma brzęczącą kieszeń. A jeśli już o to chodzi, to ja też — rzekł Seamus.

— Ty masz pieniądze? A to skąd? — zainteresował się O'Grady.

Nie brał udziału w napadzie, ale jako stary bojowiec poszedł razem z innymi do chaty na wzgórzu.

Pod wpływem pociągu do trunku i kompanii Seamus stał się niedyskretny. Przez chwilę nie odpowiadał, później wygadał jednym tchem:

— Józef odkłada do pończochy. Taki sam jak nasza matka. Ciuła na czarną godzinę, a kiedy już jest tak czarno, że gorzej być nie może, to i tak nie weźmie.

— A czy Józef wie...? — zaczął Kevin, ale Seamus przerwał mu prędko:

— O tak! Zgodził się, żebyśmy wzięli...

— Hm! Jesteś dużo silniejszy od niego, co? — zauważył Kevin. — Ale to wasza sprawa. Chodźmy!

Gdy konfederaci weszli do karczmy, zastali tam tylko dwóch ludzi: sklepikarza Sullivana i jedynego człowieka ponad siedemdziesiątkę, który w Kilegad jeszcze pozostał przy życiu. We wsi odnoszono się teraz do Sullivana przyjaźniej.

Od początku klęski głodowej, mimo wrzaskliwych protestów żony popartych miotłą w rękę — a był prawie o połowę mniejszy od tej potężnej niewiasty — sklepikarz udzielał wciąż kredytu wieśniakom bez wielkiej nadziei, by mu kiedykolwiek zwrócili dług.

Stary wieśniak poskrobał się w porośnięty siwą szczecina podbródek i powitał przybyłych:

— Sullivan postawił mi piwo za dykteryjkę. Który z was zrobi to samo?

— Ja — zaofiarował się Seamus, który chciał hojnością zatrzeć niemile wrażenie, jakie wywarło jego wyjaśnienie w sprawie pieniędzy.

— Otóż kiedy jeszcze byłem smarkaczem... — zaczął wieśniak. Słuchacze zbili się w ciasną gromadę jak najbliżej opowiadającego, bo stary nie miał ani jednego zęba i język plątał mu się między dziąsłami, więc trzeba było słuchać i uważać, by go zrozumieć. — Gospodarz, u którego pracowałem, najął pomocnika z miasta. Pokazał mu, jak doić krowy, i posłał na pastwisko, a po powrocie spytał: „Ile krów wydoiłeś?” „Dwanaście, ale...” „O co ci chodzi?” „No, myślę, że powinien mi pan być dać wiadro”.

Zanim uciął serdeczny uśmiech, tym głośniejszy, że podniecony piwem wypitym na prawie puste żołądki, od drzwi odezwał się nowy głos:

— Dobry wieczór. Czy można?

Syn intendenta dworu Boyne stał w wejściu. Śmiech ustał jak akord urwany na sygnał dyrygenta orkiestry. Murphy znikł w komórce, która mu służyła za skład na beczki. Konfederaci popatrzyli po sobie, później z ukosa na Michała. Jego obecność na pewno nic dobrego nie wróżyła. Nie był co prawda tak zniechęcony jak jego ojciec, pamiętano, że nieraz okazywał im sympatię. Ale przecież był synem pana Wintera. A zaledwie ubiegłej nocy... O'Grady starał się ukradkiem wyjrzeć za okno: czy młody panicz przyprowadził ze sobą innych?

— Czekam na wasze zaproszenie albo choćby zgodę — powiedział Michał.

Kevin pierwszy opamiętał się i odzyskał głos:

— Oczywiście. To znaczy, przepraszamy, że tak jakoś zamarudziliśmy. Ale przyzna pan, że to niezwykle. Ostatni raz, kiedy panowie szlachta tu zawitali...

Michał podszedł do lady, zastukał monetą o deskę.

— Gdzie Murphy? Możemy się napić po jednym piwie, mam nadzieję? To, co przyszedłem wam powiedzieć, będzie wymagało przeplukania gardła.

Konfederaci znowu wymienili spojrzenia, tym razem pytające. Co on chciał im powiedzieć?

## II

Michał spędził bezsenną noc. Afera z Urszulą Gordon — jeśli tak rzeczywiście brzmiało jej nazwisko — zostawiła mu posmak goryczy. Ale nie to spędzało mu sen z powiek. Nie przejmował się też szczególnie losem Elżbiety du Maurier. Gdy ojciec dowie się o oszukańczych projektach i ich autorce, rozprawi się z gospodynią. Elżbieta dojedzie via Trim i Dublin do Paryża zapewne prędzej, niż tego oczekiwał jej podstarzały adorator. Główną troską Michała była sprawa donosu o napadzie na spichlerz. Początkowo chciał ostrzec napastników przed grożącym im niebezpieczeństwem; teraz zapragnął, aby napad się udał, zanim oranczycy dotrą na miejsce.

— Niechby wieś miała ziarno! Im to więcej potrzebne niż tym, dla których ziarno się przechowuje. — Tak sobie powiedział i wciąż powtarzał.

Ale inna sprawa gnębiła go bardziej od kwestii, kto będzie miał ziarno. Kim byli napastnicy — i gdzie się teraz znajdowali?

O świcie — tupot końskich kopyt. Michał zbiegł na dół. Pan Winter oddał swego wierzchowca pod opiekę gajowego Currana.

— Odesłałem moich młodych gości do domów — rzekł Winter. — Ziarno jest bezpieczne. Słyszałeś chyba, czemu przerwaliśmy bal? Ale nie złapaliśmy tych przeklętych zło dziei, nawet nie widzieliśmy ich.

Michał stłumił westchnienie ulgi i postarał się o zatroskany ton głosu:

— Co się właściwie stało? Jak...?

— Kiedy się zorientowałem, że przyjechalіśmy na miejsce pierwsi, rozstawiłem ludzi, by mogli się załatwić z tymi łobuzami, kiedy się pojawią. Ale ten młody Smith nie wytrzymał, musiał pójść na stronę. Prawdopodobnie hałas, jakiego narobił... Zaraz potem usłyszałem jakieś poruszenia w zaroślach. Nie złapaliśmy nikogo, ale dzięki donosicielowi uratowało się ziarno. Ale co ja tu słyszę o tobie i o hrabianie Urszuli? No, pogadamy o tym później. Teraz chcę się przespać.

Nie było o czym rozmawiać. Kiedy Elżbieta usłyszała o wyprawieniu Urszuli, zorientowała się, że wyszło szydło z worka. Gdy Winterowie siadali do spóźnionego śniadania, gospodyni już była w drodze, zabrawszy ze sobą wszystkie swoje rzeczy.

Rankiem Michał pojechał do wsi, ale nie zamierzał odwiedzić O'Donovanów — to by była nieostrożność. Spodziewał się tylko, że może spotka ojca O'Leary'ego albo... albo Seana i dowie się szczegółów o... sytuacji we wsi. Nie ujechał stu metrów od dworskiej bramy, gdy natknął się na jadącego bryczką wielebnego Horacjo Ffolliotta. Michał przypomniał sobie, że z pewnym zdziwieniem czytał w Neapolu w liście od matki o tym, jak pastor robił, co mógł, by ulżyć niedoli głodujących. Jakoś mu to nie pasowało do tego Ffolliotta, którego znał. Zdziwił się też, że pastora nie było na balu.

Rzeczywiście, w pierwszym roku klęski głodowej Ffolliott zachowywał się tak, jak można było przewidzieć. Uciekł ze wsi i zatrzymał się w Belfaście u swego brata, pułkownika w czynnej służbie. Ale Winter ściągnął go z powrotem, grożąc, że go pozbawi prebendy. I wreszcie cierpienia wieśniaków pozbawionych jedyne go źródła utrzymania — cierpienia, na które musiał dzień po dniu patrzeć — prze-



biły skorupę egoizmu zrodzonego z jego ambicji do biskupstwa, a później z niezaspokojenia tych ambicji. Poświęcił wszystkie finansowe zasoby na ratowanie swoich parafian, a i parafian ojca O'Leary'ego, bez różnicy. I przekonał się, że jego pieniądze znikły w ciągu kilku miesięcy, a inni tuzinami nadaremnie błagali o pomoc.

Ledwie pastor na swej irlandzkiej bryczce dostrzegł Michała, kiwnął ręką, by go zatrzymać.

— Rad jestem, że cię widzę. Nie byłem wczoraj na balu, który jeśli mam być szczery, wydał mi się trochę nie na czasie, oczywiście w pewnym znaczeniu, bo pod innym względem miał uczcić niewątpliwie radosną okazję. Ale w tej chwili jechałem, by się z tobą zobaczyć.

— Co mogę zrobić dla wielebnego pastora?

— Dla mnie nic, mój chłopcze, ale dla wsi. Na próżno próbowałem przekonać twego ojca, by potraktował swe obowiązki nieco, że tak się wyrażę, bardziej wielkodusznie w tych strasznych czasach, zaiste strasznych czasach... Ale teraz, gdy ty jesteś w domu, z pewnością mógłbyś, jeżeli zechcesz, wyrzucić wpływ... Zaobserwowałem dawniej, przed twoim wyjazdem, że nieco inaczej podchodziłeś... Czy nie zechciałbyś teraz pojechać ze mną do dworu? Może nasze połączone wysiłki ułagodzą trochę twego ojca. To godny człowiek, prawy, żyjący w bojaźni Bożej, ale wybaczone, że to powiem, trochę twardy...

— Całym sercem spróbuję pomóc — odrzekł Michał.

Dla dwóch co najmniej członków społeczności Kilegad klęska głodowa okazała się zbawiennym, oczyszczającym doświadczeniem odwracającym myśli, przynajmniej chwilowo, od nich samych i kręgu ich własnych, ciasnych interesów ku nieszczęsnym wieśniakom.

Ale Winter nie chciał słuchać ani swego syna, ani pastora, gdy prosili, by usunął sprzed oczu wieśniaków pokusę takiego łamania prawa, jakiego zamierzali się dopuścić ubiegłej nocy.

— Nie dam się zastraszyć — powiedział. — Każde ziarenko w moich spichlerzach jest zakontraktowane. Nie złamię słowa. Ani też nie zawiodę moich sąsiadów, właści-

cieli ziemskich i intendentów w całej Irlandii, którzy wierzą jak i ja, że Bóg zesłał nieurodzaj na ziemniaki, jak zsyłał kary na dzieci Izraela na pustyni, by okazać swój gniew za rebelię i gwałty.

I wyjechał tego samego popołudnia do Londynu, gdzie niebawem wygłosił w Izbie Gmin przemówienie:

— Prawa ekonomiczne rządzące wszelką ludzką społecznością ustaliła boska mądrość i każda próba walki z nimi za pomocą ludzkiego ustawodawstwa w nieunikniony sposób pogarsza sytuację.

Na próżno radykalny oponent dowodził, że wiązanie klęski głodu z „mądrością boską” równa się bluźnierstwu. Anglicy kopnęli Irlandczyków do rowu i zapowiedzieli im, że mają być zadowoleni z położenia, w którym ich umieściła wszechmądra Opatrzność.

Nieprzejednanie starego Wintera wzmogło jeszcze sympatię, z jaką jego syn odnosił się do wsi. Prócz tego Michał znalazł przypadkiem na biurku ojca kartkę — pogniecioną, ale wiele mówiącą. W jego sercu zawrzała walka między dwoma lojalnościami: czy być wiernym swojej sferze czy samemu sobie? Postanowił przestrzec konfederatów, że hodujana swym łonie zdrajcę. Już w szkole pogardzał szpiclami i uważał, że należy każdego donosiciela demaskować i karać. W tym przypadku powzięcie decyzji komplikowała świadomość, że od afery z Urszulą Gordon Pat O'Donovan narzucała się jego myślom z jeszcze większą uporczywością. A nie umiał przewidzieć, jak Pat zareaguje na jego ostrzeżenia.

### III

— Żałuję, ale ja już nie mam czasu — powiedział pośpiesznie Seamus, gdy Murphy napełniał kufle.

Z wymuszonym, trochę głupim uśmiechem skierował się w stronę drzwi. Michał szybkim ruchem chwycił go za ramię.

— Nie odchodźcie, nikt z was... na razie — powiedział.

— Przepraszam, panie... ale mój brat czeka...

Michał nie zwolnił mocnego uchwytu ręki.

— Chciałbym, żebyśmy wszyscy wypili po piwie i wyszli na dwór. Naszą sprawę tam lepiej załatwimy! — I spojrział nieufnie na karczmarza i starego wieśniaka.

Teraz z kolei Kevin wyjrzał przez okno, rozglądając się w dół i w górę drogi. Uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem.

— Proszę wybaczyć — powiedział. — To nie pułapka?

— Daję wam słowo, że jestem sam — odparł Michał.

— Prócz wierzchowca nie mam innego towarzystwa. Może cie mi zaufać. Przypomnijcie sobie flagę spaloną na wieży kościoła.

Wychylił kufel, a wszyscy prócz Seamusa zrobili to samo.

— Wydaje mi się, że O'Donovan nie ma apetytu na piwo. Proszę je wypić za niego — powiedział Michał do starca.

Seamus uwolnił się z uchwytu ręki Michała, mówiąc agresywnie:

— Nie może mnie pan popychać, chociaż jestem tylko dzierzawcą.

Michał poprowadził całą kompanię na gościniec. Kevin pilnował Seamusa.

— Tu za żywopłotem jest zagajnik. Będzie się nadawał — zaproponował Michał.

Konfederaci poszli za nim, szepcząc między sobą. I zaraz natknęli się na Józefa, który ze zdziwieniem spojrział na nie-dobraną kompanię.

— Chodź z nami — rzekł Kevin.

Murphy wyglądał za nimi przez okno, ale żywopłot wkrótce zasłonił mu widok, a karczmarz był za wielkim tchórzem, by pójść ich śledzić.

Pod drzewami, kręgiem otaczającymi polankę pośrodku zagajnika, Michał bez straty czasu przystąpił do rzeczy.

— To jest winowajca — rzekł, wskazując palcem Seamusa — który przekreślił szanse waszego najazdu. Dał znać memu ojcu.

— To łgarstwo! Przeklęte łgarstwo! — krzyknął Seamus, przysuwając obrzmiałą, zaczerwienioną twarz do szczupłej twarzy swego oskarżyciela.

— A jeżeli to nie łgarstwo — powiedział ciężko O'Grady — obydwa piekielne płomienie były twym posłaniem na zawsze!

— On kłamie! — krzyczał Seamus. — Puśćcie mnie! Na Chrystusa i jego matkę, on... — Rzucił się w uścisku żelaznych dłoni kowala, który go teraz trzymał, i dodał: — Pozwól mi... już ja mu sprawię lanie!

— Słowo jednego przeciw słowu drugiego — mruknął O'Grady, drapiąc się hakiem.

Michał mógł przeciąć sprawę, pokazując im kartkę z donosem. Ale nie chciał tego. Czuł, że powinien sam osobiście wymierzyć karę winnemu. I że mało co tak mu zyska uznanie jak odważna walka. Powiedział więc:

— Więc go puść, niech mi sprawi lanie, jeżeli potrafi.

— To stary sposób rozstrzygania kłótni i może nie najgorszy — zgodził się O'Grady.

— Śmiałości mu nie brak, choćby sił nie dostawało — mruknął Kevin i dodał, potrząsając Seamusem: — Jesteś dwa razy większy od niego!

Przesadzał, oczywiście, ale Seamus z pewnością był znacznie cięższy, miał szersze bary i silniej rozwinięte mięśnie.

Michał wzruszył ramionami z uśmiechem.

— Zbiję go na kwaśne jabłko! — wrzeszczał Seamus.

— Puśćcie mnie do niego!

— Nie tak prędko — powiedział Kevin. — Jeśli macie się bić, to w uczciwej walce. Zróbcie koło, chłopcy! Ty, Sullivan, będziesz sędzią. Jesteś najmniejszy i nie będziesz im zawadzał. Boks uczciwy, pamiętajcie, bez brudnych kawałów!

Popchnął Seamusa do koła, które konfederaci spieszenie utworzyli wewnątrz kręgu drzew na polanie, i spytał:

— Jak z sekundantami?

Wszystko rozegrało się tak szybko, że nikt nie miał czasu pomyśleć o konsekwencjach takiego spotkania: wieśniak przeciw synowi intendenta!

— Ja będę sekundantem mojego brata — rzekł Józef, dodając z powątpiewaniem: — I tylko ufam, dla dobra naszej rodziny, że panicz Michał się omylił.

Ale chociaż przychodząc do nich Michał działał dla ich dobra, by zapobiec przyszłym zdradom, sekundowanie przedstawicielowi dworu w walce z wieśniakiem i konfederatem oznaczało przekroczenie przepaści i mogło być poczytane za zdradę. Nikt się nie kwapił. Michał spoglądał na jednego, to znowu na drugiego, ale każdy unikał jego wzroku, aż odezwał się Kevin:

— Gdyby tu był Sean, sekundowałby nawet przeciwko własnemu bratu. Sean ceni odwagę. Ale go nie ma. Ja go zastąpię.

Duch Seana władał nimi nawet wtedy, gdy ciałem był nieobecny.

— Zdejmij koszulę — powiedział Kevin do Michała i dodał ze śmiechem: — I lepiej się pomódl, bo to się może źle skończyć.

Szybko zdjęto kurtki i koszule. Seamus wyglądał teraz rzeczywiście na dużo silniejszego od swego przeciwnika. Miał mięśnie wyrobione pracą przy gospodarce, olbrzymie dłonie, był stosunkowo dobrze odżywiony. Tylko wypite piwo przemawiało przeciw niemu. Michał był szczupły i wyprostowany, ale na oko nie mógł się mierzyć z tym osiłkiem. Natomiast znał się na boksowaniu. W szkole i na uniwersytecie często ćwiczył, nauczył się pracy nóg, a co najważniejsze — taktyki na ringu.

Barry szepnął na ucho O'Grady'emu:

— Dwór Boyne nie wytrwa nawet jednej rundy przeciw gospodarce Wolfe Tone. Żeby Seamus go tylko nie zabił.

O'Grady wydobyl z kieszeni małe metalowe pudełko i zaczął się rozglądać za kijkiem.

— To nam posłuży za dzwonek — powiedział. — Ale kto ma zegarek?

Michał podał mu swój.

— No! Zaczynamy! — ponaglił Sullivan. — Ściemni się niedługo.

Seamus i Michał pozostawili swoich sekundantów i ostrożnie śledząc się nawzajem, zaczęli podchodzić do środka zaimprovizowanego ringu. Stali przez chwilę, patrząc na siebie. Różnice urodzenia i majątku znikły, przekreślone żądzą walki i zwycięstwa. Seamus, pogardliwy, pewny siebie, stał mocno na rozkraczonych nogach; Michał, lekko podskakując na palcach, zbliżał się do przeciwnika.

Seamus powitał go potężnym zamachem pięści. Michał przyjął cios na ramię, z wysuniętą lewą ręką odskoczył w tył, jakby w tańcu. Seamus ruszył na niego. Szli tak w kółko i w kółko, Michał tańcząc, Seamus ciężko, na całych stopach. Seamus przystanął, dysząc chrapliwie — i nagle skoczył na przód.

Ale Michał był szybszy, odskoczył w bok i w następnej chwili zadał Seamusowi cios lewym sierpowym w twarz... i drugi... i na ukos prawą pięścią w szczękę... i znowu odskoczył poza zasięg ramion tamtego.

— Umie się bić, ale za słabo wali — odezwał się jeden z widzów.

Seamus nie odczuł nawet otrzymanych ciosów i schyliwszy głowę jak rozjuszony byk, wciąż nacierał... Cios Michała zadarł nagle tę głowę... raz... drugi... prosto między oczy..., ale nie dość mocno, by pohamować potężną siłę Seamusa... ciężka pięść dosięgła Michała w żebra... zadygotał i aż jęknął... drugi cios, prawie w to samo miejsce... Michał przeszedł do zwarcia, każdy łyk powietrza sprawiał mu ból... Seamus otrząsnął się i oderwał od przeciwnika... Michał wydawał się niezupełnie przytomny...

Wśród konfederatów rozległy się szept:

— Ma dość...

— Nigdy nie myślałem, że potrafi tak zwinnie...

— Dobrze, że nie odniósł poważniejszych...

Seamus podchodził, uśmiechając się złowrogo... O'Grady uderzył w swój zaimprovizowany dzwonek.

— Koniec pierwszej rundy! — zawołał Sullivan.

Zawodnicy siedli na trawie, oddychając głęboko, w oczekiwaniu na ponowne rozpoczęcie walki.

— Trochę mocniej, jeśli możesz! Celne masz ciosy, ale za słabe! — doradzał Kevin Michałowi.

I znowu ci dwaj stanęli naprzeciw siebie. Seamus stał ciężko i czekał na atak. Teraz był już pewien zwycięstwa. Tak pewien, że na ułamek sekundy spojrzął z uśmiechem na Józefa. W następnym momencie zlizywał krew z rozciętej wargi. Lewa pięść Michała wystrzeliła skokiem żmii. A on znowu tańczył naokoło potężnej postaci Seamusa, zadał jeszcze jeden cios, trochę lżejszy, i odskoczył lekko przed ciężkim kontratakiem... ale Seamus, raczej rozzłoszczony niż osłabiony, wciąż szedł na przeciwnika...

Michał zastosował trik, którego się nauczył jeszcze na szkolnym ringu. Uniósł się na stopach, wyraźnie zapowiadając cios lewą ręką... by temu zapobiec, Seamus zamachnął się ciężko... a Michał tego właśnie chciał... nie było go tam, dokąd zamierzył się Seamus, jego prawa ręka aż się zawinęła od ciosu w pustkę... Ktoś z patrzących jęknął... a Michał rąbnął z całej siły prawą pięścią w splot słoneczny... Seamus opuścił ramiona, szczeka mu opadła, przykląkł na jedno kolano...

Sullivan odsunął Michała i zaczął wyliczać:

— Jeden, dwa, trzy... cztery...

Michał stał, oblizując rozkrwawione z wierzchu pięści.

Dzwonek O'Grady'ego zadźwięczał znowu. Tym razem uratował Seamusa.

Trzecia runda zaczęła się gwałtownym atakiem Seamusa. Przed siłą rozpędu Michał musiał się cofać... nagle przeszedł do zwarcia, próbując stłumić ulewę ciosów. Wśród widzów zapanowało podniecenie, podchodzili bliżej. Sullivan odwrócił się od zawodników, by zawołać:

— Cofnąć się! Zrobić miejsce!

— Sędzia się boi, że sam zafasuje jeden z tych zamasyztych ciosów — zaśmiał się John Barry.

Morderczy ból przeszył Michała...

— Faul! — krzyknął Kevin i skoczył na ring.

Sullivan, który niczego nie widział, odepchnął go, a jeden z widzów pociągnął kowala do tyłu za kurtkę.

Ledwie przytomny z bólu Michał instynktownie trzymał się potężnej postaci swego przeciwnika. Kevin nadal wołał, że był faul, ale ci, których uwagę odwrócił Sullivan i wobec tego niczego nie dostrzegli, przytrzymywali go i zakrzyczeli, doradzając Seamusowi:

— Wykończ go! Wykończ!

Jednakże Michałowi wracała z wolna przytomność i trzymał się mocno Seamusa, unieruchamiając mu ramiona... a razem z powracającą przytomnością ogarnęła go niepohamowana wściekłość.

— Przeklęta świnia! — mruknął i prawą pięścią z furią przejechał po policzku Seamusa, raniąc go dość głęboko.

Michała ogarnął szal. Seamus, połykając spływającą do ust krew, zaczął się cofać, przerażony błyskiem szaleństwa w oczach przeciwnika, który teraz zasypywał go lawiną ciosów jak mechaniczny młot.

Konfederaci krzyczeli:

— Osłoń się, Seamus!

— Przejdź do zwarcia... A

Kevin:

— Teraz go pan ma, przekłętego bękarta! Wykończ go!

Prawa... lewa... prawa... lewa... Głowa Seamusa opadła na piersi, opuścił ramiona.

— Dosyć! — zawołał Józef, korzystając z przysługującego sekundantowi prawa. I nawet Kevin krzyknął:

— Przerwij walkę, Sullivan! On ma dość.

Ale teraz nic nie mogło powstrzymać Michała. Odepchnął Sullivana, cofnął prawe ramię i z całą siłą, z całą szybkością, całą celnością, jakich się nauczył — rąbnął w tę odsłoniętą szczękę.

Seamus padł jak kłoda.

— Jeden... dwa... trzy... cztery...

Nie było już żadnej szansy, żeby się podniósł w porę. A zegarek Michała wskazywał jeszcze pół minuty do końca rundy.

— Im kto większy, tym ciężiej pada — zauważył jeden z widzów.



Reszta milczała. Jeżeli Seamus był donosicielem i kłamcą, to dostał za swoje. Ale jeżeli nie? A ponieważ ta sprawa pozostała nierozstrzygnięta, trzeba było dużej sportowej obiektywności, by znajdować przyjemność w zwycięstwie odniesionym nad ich towarzyszem.

Zwycięzca osunął się ostrożnie na trawę. Powoli zaczął sobie zdawać sprawę, gdzie jest i co zaszło. Wciąż przeszywający ból...

— Co mu się nagle stało? — spytał Sullivan. — Jakby diabeł w niego wstąpił!

— Kolano Seamusa — rzekł Kevin. — Próbowałem ci to powiedzieć, ale ty...

Teraz wszyscy pojęli, co się stało.

— Tu właśnie — wskazał Michał. Kevin

klepnął go po ramieniu i zaśmiał się:

— Jaja w porządku! Posłużą długie lata, bez obaw.

Ból rzeczywiście zelżał. Ale Michałowi zrobiło się niedobrze. Usta mu krwawiły, a nad lewym okiem szybko narastało spuchnięcie. Podniósł się z wolna i pochylił do przodu, opierając ręce na kolanach.

— Chciałbym tę historię... zachować w tajemnicy — wykrztusił. — Żle by było dla was... i dla mnie... gdyby to doszło do ojca.

— Jeśli ktokolwiek szepnie choć słówko, rzucę na niego klątwę.

Był to głos ojca O'Leary'ego. Podszedł niezauważony, właśnie gdy Michał zadawał swój ostatni, raczej zbyteczny cios.

— Ale jak to się zaczęło?

Seamus wracał do przytomności. Józef ścierał mu krew z policzka.

— Złamana! — oznajmił Seamus, troskliwie obmacując szczękę.

Józef odsunął jego rękę i własnymi palcami zbadał twarz brata.

— Boleć to będzie — rzekł w końcu. — Ale wydaje mi się, że żadnego złamania nie ma.

Tymczasem O'Grady opowiadał o wszystkim księdzu.

Dwaj kompani pomogli Józefowi podnieść Seamusa i wyprowadzili go z zagajnika w stronę przeciwną do gościńca, aby uniknąć ciekawskich oczu karczmarza Murphy'ego.

— Co z nim? — pytał Michał.

— Jeśli ich kto spotka, pomyśli, że Seamus się upił — odrzekł O'Grady. — Seamusowi to się często zdarza. Ale myślę, że jednego się dziś nauczył. Mianowicie, na drugi raz będzie unikał walki z panem.

— No to trzeba naszego zwycięzcę trochę połatać, zanim pójdzie do domu — dodał Kevin i spytał zwracając się do Michała: — Czy może pan dosiąść konia?

Michał skrzywił się i skurczył.

— To nic, spacer panu dobrze zrobi. Bez pośpiechu. Idziemy do Pat O'Donovan. Kiedy się dowie, co Seamus przeskrobał i jak pan mu zapłacił, to połata pana jak święty obrazek.

— Ja doprowadzę pańskiego wierzchowca — powiedział ojciec O'Leary. Zawrócił do karczmy i chociaż wychudzony i słaby, skoczył zwinnie na siodło.

Michał naciągał koszulę, a deszcz właśnie zaczął padać, Sullivan i inni konfederaci zwracali się w stronę domów, przynębieni, z przykrym poczuciem współodpowiedzialności za brudną walkę Seamusa. Nie wiedzieli, co właściwie powiedzieć do Michała na pożegnanie. Ale kiedy Kevin prowadził go już do chaty na wzgórzu, O'Grady zawrócił jeszcze, machając hakiem.

— Winniśmy panu podziękowanie — powiedział z zakłopotaniem. — Może byśmy się wcale nie dowiedzieli...

— O ile się orientuję — wtrącił ojciec O'Leary — to szczerze mówiąc, nadal niewiele wiecie prócz tego, kto wygrał walkę. Jeden mówi: „On doniósł”, a drugi: „Nie doniosłem”.

Michał wzruszył ramionami i przy tym ruchu znowu skrzywił się z bólu.

#### IV

Minęły prawie dwa lata, odkąd Michał po raz ostatni widział Pat. Kiedyś, na Tarze, Pat powiedziała, że nie wierzy w elfy, ale „one są”. Myśląc wciąż o niej, Michał doszedł do tego, że stała się w jego wspomnieniach prawie tak nierealna jak elfy. Różne ich spotkania układały się w jego umyśle we fresk baśniowy. Pat była, ale tak jakby jej nie było — była nie dla niego. Michał jakby pragnął, żeby mogła być „dla niego”, nie wiedząc dokładnie czemu.

Teraz gdy wszedł do chaty, trochę orzeźwiony pieszym marszem, wiedział już czemu. W dwudziestym pierwszym roku życia Pat była po prostu śliczną i godną pożądaną dziewczyną. Zbyt szczupłą zapewne, choć może nie tyle z powodu niedożywienia — ona i Sean dawali sobie jakoś radę — ile z powodu fizycznej pracy i współczującej troski o innych.

Michał spojrział na leżącego pod kocem Seana i powiedział:

— Przepraszam. Obawiam się, że sprawiam kłopot. Robi się późno, i przemokłem.

Pat ogarnęła go spojrzeniem i ignorując jego tłumaczenia, rzekła żywo:

— Proszę usiąść! Tu, przy świecy jest jaśniej.

Bosą nogą podsunęła mu stołek. Gdy trzeba było nieść ulgę, leczyć albo opatrywać, Pat nigdy nie pytała, skąd się wzięły rozcięte wargi, podbite oczy, guzy i sińce. Przyniosła zaraz wodę, czyste szmaty i zabrała się do obmywania, robienia okładów i opatrunków. Molly Maginn krzątała się dookoła, jak zwykle niezbyt zaradna i nie na wiele przydatna.

Michał siedział w milczeniu, poddając się z rozkoszą niosącym ulgę zabiegom Pat, jej chłodnym, zręcznym dłoniom, jej bliskości, przelotnym dotknięciom jej piersi o jego ramiona, jej kolan o jego uda. A Kevin opowiadał Seanowi zajścia tego wieczoru.

— Seamus? — pytał z niedowierzaniem j ego brat. — Czy jesteście tego pewni? On pije, wiem. Po pijanemu mógł coś wygadać. Ale donosiciel...?

— Bardzo mu podejrzenie brzęczało w kieszeni, kiedyśmy stąd wieczorem wychodzili — przypomniał Kevin.

— Ponoć Józef opróżnił dla niego swój schowek.

— A to kto ci powiedział? — przerwała mu Pat.

— Sam Seamus.

— Tak? Ciekawe, bo Józef oddał swoje oszczędności mnie — rzekła Pat. — Tylko parę szylingów, żebym je schowała, właśnie przed Seamusem. Ale to jeszcze nie dowodzi, że Seamus jest donosicielem...

Michał wydobyl teraz z kieszeni mocno pogniecioną kartkę, której nie chciał wcześniej pokazać, i podał ją ojcu O'Leary'emu. Książd wyglądził zmięty papier i przy blasku świecy razem z Pat, Seanem i Kevinem, zaglądającymi mu przez ramię, odczytał kilka słów napisanych koślawo i z błędami:

„Pilnujcie spichlerza zbożowego dziś w nocy. Seamus O'Donovan”.

Nie mogło być już żadnej więcej dyskusji.

— Rodzony brat — wykrzyknął Sean — chciał się przy czynić do ujęcia siostry!

Od pierwszej chwili gdy Seamus wstąpił do Klubu, dziewczyna czuła niepokój. Ale nigdy jej do głowy nie przyszło, że... Świeżym chłodnym kataplazmem dziobnęła gniewnie guz nad okiem Michała. Pacjent drgnął, a Pat rzekła szorstko:

— Wy, Anglicy, nie umiecie znieść bólu. Nie przywykliście. My, Irlandczycy, uważamy ból za zwykłego towarzysza życia. Nauczylismy się wytrzymałości. Tego nie mogliście nam odebrać: wytrzymałości.

Michał uważał nie bez racji, że dobrze się przysłużył konfederatom. A ostatnim postępkim, w razie gdyby go wykryto, narażał się na ryzyko potępienia przez swoich jako zdrajcy donoszącego na donosiciela. Więc atak Pat wydał mu się co najmniej niesprawiedliwy. Nie zdawał sobie sprawy, że dziew-

czyna usiłowała w ten sposób pokryć upokorzenie z powodu zdemaskowania jej najmłodszego brata.

— Wasz plan był szaleństwem — powiedział. — Czy nikt z was nie pomyślał, co by się stało, gdyby was złapano?

— Głodny lis, porywający kurę z grzędę, nie dba o strzelbę gospodarza — odparła Pat. — A poza tym więzienie czy nawet zsyłka nie są nam straszne. Może byśmy tam przynajmniej nie umarli z głodu.

Cicho, tak że tylko Pat go usłyszała, Michał powiedział:

— Nie mogę myśleć o tobie w więziennej odzieży albo w karnej osadzie w Australii.

Spojrzała uważnie na niego, splonęła rumieńcem i odwróciła się, a Michał dodał, głośniejszym i trochę pompatycznie:

— Rabunek jest rabunkiem, w każdej sytuacji.

Na to odezwał się ojciec O'Leary:

— Słabi walczący przeciw silnym, głodujący przeciw na jedzonym, mają moralne prawo łamać przepisy. Robin Hood ma swego odpowiednika w każdym kraju, który cierpi pod uciskiem tyrana. Oni chcieli ziarna nie dla siebie, ale dla umierających z głodu sąsiadów.

Michał potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Mój ojciec, urzędnik państwowy, i wielebny Ffolliott, jako duchowny, powiedzieliby, że ksiądz wbrew swemu powołaniu sprzeciwia się dziesięciu przykazaniom.

— Studiowałem... — zaczął O'Leary, ale Michał mu przerwał:

— Teologię?

— Studiowałem na uniwersytecie medytacji — uśmiechnął się ojciec O'Leary. — Studiowałem ludzi za pomocą odrobiny miłości i innych podobnych stymulantów.

Sean, grożąc palcem Michałowi, zwrócił rozmowę z powrotem na bliższe tematy:

— Ludzie waszego pokroju przychodzą na świat z wyolbrzymionym poczuciem własnej wartości i wszystkiego, co was dotyczy. Co do nas, jesteście — proszę wybaczyć szczerść — zbrodniczo rządzeni przez tyranów. Zanim się jeszcze nauczymy chodzić, wiemy, że naszym przeznaczeniem jest

być kopanym. Czy można się dziwić, że kopie my nawzajem, gdy się nadarzy sposobność?

— My, by przeżyć jeszcze jeden dzień — wmieszała się Pat — zdobywamy się na pomysły i wyczyny, o jakich się nie śni nikomu w Londynie czy Dublinie, jakich nie może pojąć nawet pan.

— Nie jesteśmy amoralni z zasady — mówił Sean, zanim Michał mógł wtrącić słowo. — A w każdym razie mniej niż wy, Anglicy. Zagarnęliście naszą ziemię i trzymacie ją, choć jest według prawa naszą, a my chcemy jąodzyskać i odzyskujemy ją tym czy innym sposobem.

— Wy chcecie władzy, nie ziemi — zaproponował Michał.

— Chcemy jednego i drugiego — powiedział ojciec O'Leary. — Kto ma ziemię, ma i władzę.

— Historia dała władzę nam — argumentował Michał. — Anglia pierwsza ruszyła na podbój. Gdyby Irlandia pierwsza...

Ale Pat odparła natychmiast:

— Gdyby Jonasz połknął wieloryba...

I roześmiała się, a jej śmiech, niski, nieomal męski, rozładował napięcie. Odstąpiła o krok i obejrzała kosmetyczne dzieło własnych rąk.

— W porządku — orzekła. — A co do naszej dyskusji, to lepiej nie przekonywać, bo i tak pan nas nie przekona.

— A nie chcecie próbować przekonać mnie? — spytał z uśmiechem Michał.

— Słaba nadzieja! — Zaśmiała się znowu i wróciła do tematu, od którego odbiegła: — Lepiej proszę wymyślić wiarygodną historyjkę, jak i gdzie pan zdobył te ślady bójki czy dowody miłości.

Sean przywołał ojca O'Leary'ego i Kevina, by naradzić się szeptem. Michał mógł więc zaryzykować:

— Ostatnie dowody? Z twoich niosących ulgę rąk. I ty pierwsza powiedziałaś o miłości...

Odwrociła się gwałtownie od niego. Pod obcisłymi spodniami mięśnie jej ciała poruszały się ponętnie.

— Właśnie mówimy — powiedział Sean do Michała — że jesteśmy niewdzięcznikami. Oddał nam pan wielkaprzy-

sługę, ryzykując przy tym, jak powiada Kevin, że pana pobije przeciwnik cięższej wagi, a my tu pana atakujemy, jakby wszystkie niedole Irlandii były z pana winy, a co najmniej z pana woli.

— Stoimy na innych stanowiskach — odrzekł Michał.  
— Trudno nam zrozumieć nawzajem punkt widzenia drugiej strony.

— Nie może być trudno zrozumieć... — zaczęła Pat, która już ochłonęła, ale Sean jej przerwał:

— Dosyć dyskusji. Chcielibyśmy tylko podziękować naszemu gościowi...

— I pacjentowi. — Pat zabawnie zmarszczyła nos i wykrzywiła się do Michała.

— Szczerze mówiąc, nie wiemy, dlaczego właściwie pan to zrobił, zwłaszcza gdy się zważy niektóre pana późniejsze słowa. Ale to nie nasza rzecz. Panie Michale, chciałbym panu uścisnąć dłoń.

Podając obandażowaną rękę, syn intendenta uśmiechnął się i rzekł:

— Może po prostu: Michale?

Sean zmarszczył brwi na sekundę, potem po raz drugi uścisnął mu dłoń i powiedział tonem stanowczym:

— Michale.

Pat odprowadziła go do drzwi, poklepała szyję jego konia, stała obok, gdy — nie bez grymasu bólu — dosiadał wierzchowca. Zdawało się, że żadne z nich nie dostrzega mżącego deszczu. Michał pochylił się i znowu podał rękę. I tak jak wtedy, gdy odwiózł zwłoki Dana, było to coś więcej niż formalne pożegnanie.

— Bez urazy? — spytała Pat i nie czekając na odpowiedź, dodała: — Przyjaciele Seana są zawsze moimi przyjaciółmi... Michale!

Jej uśmiech pozwolił mu zapomnieć o dolegliwościach, jakich przysparzało siodło, przez całą drogę aż do dworu Boyne.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### I

Wygląd sali balowej różnił się zasadniczo od widoku, jaki powitał Michała po powrocie z podróży. Ustawiono długimi rzędami stoły, na modłę jadalni w szkolnym internacie. Po obu stronach stołów — ławy. Zasiadła na nich dziwaczna zbieranina: wychudzeni ludzie w łachmanach, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Stół pod ścianą przy drzwiach do kuchni zapełniły dymiące wazy i garnki; na końcu wznosiły się stopy talerzy i sztućców. Wzgardliwe pokojówki wielkimi chochlami napełniały zupą z płatków owsianych głębokie wazki, podstawiane przez ostatnio przybyłych, wynieśli lokaje krajali płaty mięsa i rzucali je na talerze. Nie wiadomo, co dominowało — zapach obiadu czy woń wydzielana przez obiadujących.

Michał wyobrażał sobie naiwnie coś w rodzaju biblijnej sceny nakarmienia pięcioletniej rzeszy: siedzący potulnie i przyjmujący chleb i ryby wieśniacy... Ale ci, którzy poszli za Chrystusem na pustynię, nie głodowali przez dwa lata jak tych kilkudziesięciu, którzy ściągali tu z Kilegad i okolicy na wieść o darmowych obiadach.

Część wieśniaków, chociaż zagłodzonych, przyszła tu z zawstyżeniem, ale na widok żywności ludzie zmienili się w zwierzęta: pochłaniali jadło żarłocznie, przeważnie stojąc, nie używając widelców ani łyżek, przechylali wazki z zupą prosto do warg, wpychali płaty mięsa i kawały chleba palcami



do ust, łykali prawie bez pogryzienia, wołając o więcej z pełnymi jeszcze ustami.

— Jutro! Przyjdźcie znowu jutro! — wołał Michał.

Chciał początkowo pozwolić im najeść się do syta, ale matka i wielebny Ffolliott ostrzegali, że to by zabiło głodujących szybciej niż niedojadanie albo tyfus.

Narzekania... krzyki... co agresywniejsi rzucali się nawet ku kredansom. Dobre maniere i wdzięczność nie rodzą się w głowie. Sklepiarz Sullivan, lokaje, służba folwarczna

— Michał odrzucił propozycję Ffolliotta, by mieć pod ręką policjantów w razie takich właśnie zajść — niełatwo sobie poradzić z wyprowadzeniem tych, co już zjedli. Michał i pastor upominali, by obchodzić się łagodnie, ale gajowy Curran, jego pomocnik Keefe i inni wiedzieli, że łagodnością nic nie wskórają. Popychali i szturchali, walili pięściami i wzajem dostawali ciosy, a niejedyn talerz rozbił się o jakąś szczególnie upartą głowę. Niektórzy wyszli nie tylko za spokojniejszy głodu, ale z dokładką guzów i sińców, nie tylko nie czując wdzięczności, ale przeklinając tych, którzy chcieli być dobroczyńcami.

Kiedy wreszcie salę balową oczyszczono z wieśniaków, tak jak garnki z zupy, mięsa, sosu, kasz i płatków owsianych — zaraza ziemniaczana nie odróżniała pół intendentów od skrawków roli wieśniaków — Michał stanął w progu i wraz z Ffolliottem przyglądał się żalosemu widokowi: przewrócone ławy, potłuczone talerze, potargani lokaje i zmęczeni szarpaniną parobcy.

— Zaprosiliśmy ich na ucztę, a oni ją zmienili w bitwę — powiedział pastor, potrząsając głową.

Michał wzruszył ramionami i odrzekł:

— Nie mieli złych zamiarów. Ich głód musi być inny od tego, jaki my odczuwamy, gdy się o parę godzin spóźnimy na jeden z trzech regularnych, obfitych posiłków. — Przerwał i po chwili dodał: — Ale nigdy nie myślałem, że to będzie aż tak...

Decyzja, powzięta pod wpływem matki, by wykorzystał nieobecność ojca i wydawać we dworze codziennie jeden

gorący posiłek każdemu wieśniakowi, niezależnie od jego zajęcia i wyznania, doprowadziła do wielu kłopotów. Michał był za mało doświadczony, by je przewidzieć.

Wyobrażał sobie, że służba dworska, Irlandczycy, z tej samej co i wieśniacy sfery społecznej, urodzeni i wychowani przeważnie w Kilegad albo okolicy, będą sympatyzować z głodnymi i chętnie przyłączą się do akcji pomocy. Gorzkie przebudzenie!

Kamerdyner przyszedł powiedzieć w imieniu służby: oni przywykli do obsługiwania dam i panów. Nie zaangażowano ich do podawania tym...

— Ale to jest krytyczna sytuacja. Ludzie umierają!

— zaprotestował Michał.

Na twarzy kamerdynera nie odmalowało się żadne poruszenie — usłyszał słowa stwierdzające rzecz ogólnie wiadomą.

— Powinni wyemigrować — powiedział takim tonem, jakby sam wynalazł to genialne rozwiązanie, a nie powtarzał go za swym pracodawcą.

— Dostarczę wam pomocy. Ochotników! — zaproponował Michał.

To również nie zyskało uznania. Ochotnicy więcej przysporzą roboty, niż pomogą. I kamerdyner doszedł do zasadniczego punktu swoich zastrzeżeń:

— Służba dworska, proszę jaśnie panicza, zgodzi się na te dodatkowe obowiązki, o ile jaśnie panicz podwoi nasze wynagrodzenia.

— Podwoję na okres wydawania obiadów dla wsi!

— odrzekł w desperacji Michał. I zrozumiał, jak dalece separacja od ludzi własnej sfery odsunęła od nich służbę i zatrula znieczulicą.

Nikt z okolicznej szlachty nie przejawiał zrozumienia dla akcji Michała. Wyjąwszy dwa lub trzy dwory katolickie — najmniej zamożne — które też zorganizowały pomoc dla głodujących, reszta odmówiła udziału. Sąsiedzi przestrzegali Michała, że ojciec będzie wściekły. I za żadną cenę nie chcieli sprzedać bydła ani owiec na rzeź.

Za to sklepikarz Sullivan, który jak Ffolliott przejawiał nieoczekiwane wielką wrażliwość na nędzę chłopa, ryzykując utratę dostaw do dworów, wykorzystał wszystkie swe kontakty handlowe, by zdobyć żywność.

Nie wszyscy wieśniacy, o których wiedziano, że głodowali i byli w najgorszej nędzy, przychylnie przyjęli gest Michała. Niektórzy pozamykali swe żony i dzieci w dzień pierwszego darmowego obiadu, by nie poszły szukać ulgi od głodowych boli. Paru mówiło między sobą o „zniewadze godności”.

Drugiego dnia wydawania obiadów Denis O'Grady i paru innych przyszli i stanęli w drzwiach sali balowej, przyglądając się rozdziałowi zupy i mięsa. Michał i pastor podeszli do nich z powitaniem:

— Wejdźcie, wejdźcie! — zapraszał Michał. — Jest dosyć dla wszystkich.

— Trzymajcie jałmużnę dla siebie, wy oszuści i grabieżcy! Bóg by nas skarał, gdybyśmy tknęli choć kęs waszego jadła. Plujemy — strzyknął dla ilustracji śliną — na waszą dobroczynność, która ograbia nas z funta, by rzucić za to grosz jałmużny! Jeśli wy, Anglicy, ośmielacie się wierzyć w miłosierdzie boskie, okażcie najpierw wasze miłosierdzie! Tylko nie rzucajcie nam, Irlandczykom, ochłapów ze swoich stołów, ale—jego głos wzniósł się do okrzyku — odejmijcie mordercze kły od naszych gardeł!

Syn intendenta i pastor zdumieni się potokiem pełnych pasji słów z ust owszem, rozmownego, ale zwykle rozważnego Denisa O'Grady'ego. Zanim się opamiętali, O'Grady splunął znowu i zwracając się do swoich kompanów, rzekł:

— Chodźcie! Lepiej jeść jagody z gminnego pastwiska niż padlinę z naszych własnych umarłych, podawaną tutaj przez ich katów!

I wyszli.

Feudalny, patriarchalny w swojej wizji stosunków między dworem a wsią Michał nie mógł zrozumieć wybuchu Denisa O'Grady'ego.

— Głód mu chyba do głowy uderzył! — powiedział do Ffolliotta.

— Nie zwracaj na niego uwagi — odrzekł pastor. — Myślmy o tych, którzy mają dość rozsądku, by ratować życie. Podobno nawet Bóg pomaga tym, którzy sobie pomagają.

— To hasło kłusowników! — zaśmiał się Michał.

Ale później pojechał do chaty na wzgórzu. Gdy się zbliżał, dosłyszał dźwięki harfy rozbrzmiewające w wilgotnym wieczornym powietrzu. Przywitawszy po imieniu Pat, Michał zwrócił się do Seana.

— Czy lepiej się czujesz?

Pat wyszła z wiadrem po wodę.

— O wiele lepiej — odrzekł Sean. — Miewam takie po gorszenia, ale to nie trwa długo.

Jednakże cień wątpliwości padł na jego optymizm, bo zaraz dostał ataku gwałtownego, rozdzierającego piersi kaszlu. Michał próbował pokryć zakłopotanie z powodu własnej bezradności w obliczu tego cierpienia.

— Potrzebna mi twoja pomoc, Seanie. Czy nie mógłbyś doradzić twoim przyjaciółom i innym wieśniakom, żeby przychodzili na obiady? Winni to są sobie samym, swoim rodzinom. Przecież niczego w zamian...

— Co się stało? — przerwał mu Sean.

Michał opowiedział o gwałtownym wybuchu Denisa O'Grady'ego i zakonkludował:

— Jeżeli ty i Pat przyjdziecie, to będzie najlepszy argument.

Pat, wróciwszy właśnie, powiedziała:

— My nigdy nie przyjdziemy. Nie potrzeba nam jałmużny, a nawet gdyby było potrzeba...

Sean przerwał jej:

— Posłuchaj, Michale. Głód to jedna sprawa. Chleb upokorzenia to co innego. Są ludzie, którzy nie potrafią się zmusić do tego, by zaspokoić pierwszy drugim.

— Ależ umrą z tej dumy! — protestował Michał,

— Bywa gorsza śmierć — odparła Pat.

A Sean dodał:

— Mają prawo do wyboru między upokarzającym życiem a dumną śmiercią. Choćby człowiek był zależnym, głod-

nym nędzarzem, jego życie należy do niego. A jeśli ma odwagę, to i śmierć czasem do niego należy. Czy nie przyszło ci na myśl, że wielu z tych, których w ciągu ostatnich trzech lat odniesiono na cmentarz, przyspieszyło śmierć swoją i swoich dzieci, skoro głód uczynił ją nieuniknioną?

— Aleja... — zaczął Michał.

— Wierzę ci — Sean uprzedził jego słowa. — Pat i ja znamy cię teraz dobrze i wiemy, że nie zamierzasz nikogo upokarzać, nie wykorzystasz też ich położenia, gdy przyjdzie dzień płacenia czynszu. Ale wszystkich o tym nie przekonasz. Ja ich rozumiem. Nie mają podstaw przypuszczać, że ludzie twojego pokroju robią cokolwiek bezinteresownie. A poza tym jedzenie, które dajesz, pieniądze, za które je kupujesz, zrabowano przecież, praktycznie biorąc, tym, którzy teraz włoką wycieńczone ciała, by tę żywność od ciebie przyjąć. Twoja dobra wola — tak, ja wierzę w twoją dobrą wolę — może uratować kilku ludzi. Bądź z tego rad. Ale twoje dobroczynne obiady nie zlikwidują przyczyn głodu, nie odewrą, jak powiedział O'Grady, o ile zapamiętałem słowa, które nam powtórzyłeś: „morderczych kłów od naszych gardel”.

— Więc ty nie...?

— Nie przyjdę i Pat też nie przyjdzie. Niechaj ci, którzy chcą twojego jada i którzy mogą je przełknąć, jedzą. Nic będę ich potępiał. A ci, którym by kością w gardle stanęło, niech je odrzuca. Ich także nie zganę. Ale dam ci jedną radę, Michale: nie bądź nigdy w pobliżu podczas wydawania obiadów. Może więcej ludzi przyjdzie, jeżeli nie będą musieli ci czapkować z wdzięczności.

Odwrócił się i szarpnął struny harfy, patrząc na niski przyczerniony sufit, jakby miał tam wypisane nuty. Michał ujął rękę Pat. Nie była to delikatna biała rączka damy, lecz silna i stwardniała od pracy ręka wieśniaczki. Nie cofnęła jej.

— Za dużo myślisz — powiedziała cicho. — Spróbuj kierować się sercem. Moja matka mawiała, że sercem prędzej pojmisz różne sprawy niż umysłem. I może miała rację.

Michał uśmiechnął się do niej, a Pat pomyślała, że lubi jego uśmiech.

— Może to zależy od rodzaju uczuć — powiedział.

Podniosła na niego wzrok i popatrzyła uważnie. Przechyliła głowę trochę na bok i na jego uśmiech odpowiedziała półuśmiechem, który zdawał się mówić: „Zobaczymy...” I odeszła. Wspomniała, jak raz Sean ostrzegał ją, że koty w poszukiwaniu śmietany nie dbają o formalności. Z całą świadomością, spokojnie zapytała sama siebie: „A czy formalności są takie ważne?”

A Michał w powrotnej drodze pomyślał, że w początkach załotów pożegnania zbliżają.

## II

Wybuch Denisa O'Grady'ego zawstydził wieśniaków. Mniej ich przyszło następnego dnia, może i dlatego, że po jednym dobrym posiłku mogli łatwiej oprzeć się pokusie. I następnych dni także — chociaż Michał usłuchał rady Seana i wcale się nie pokazywał — wielu z tych, którzy nie mieli nawet zgniętego kartofla we własnych domach, zacisnęło jeszcze mocniej pasa.

Pan Winter wrócił z Anglii w wielkim pośpiechu. Dostał w Londynie od orańczyków wiadomość o zamiarach Michała, jeszcze zanim się odbył pierwszy darmowy obiad. Był wściekły. Zakazał wydawania posiłków, nawymyślał Ffolliottowi od starych głupców, rozgniewał się na żonę, ponieważ nie zapobiegła szalonym pomysłom syna. Pani Winter rozchorowała się od wstrząsu wywołanego gwałtownością męża i musiała się położyć do łóżka — a ojej chorobie świadczyło to, że przestała jeść nawet słodycze. I Winter wpędził Sullivana ostatecznie w objęcia konfederatów, ponieważ nakazał, aby ze dworu nie kupowano niczego w jego sklepiku, lecz by kamerdyner albo nowa gospodyni — która przyjechała razem z nim — jeździli po zakupy do Trim.

Bez słowa odebrał Michałowi dotychczasowe obowiązki, jakie mu przed swą podróżą powierzył. Spytał tylko:

— Czy chcesz doprowadzić mnie do bankructwa i zrobić ze mnie durnia, a co gorsza, hipokrytę w oczach innych członków parlamentu?

Później nie odzywał się do niego wcale.

Michał znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Ojciec milczał, matka leżała jak w letargu, nowa gospodyni, zupełnie innego pokroju niż Elżbieta du Maurier, była po prostu kucharką traktowaną podobnie jak reszta służby.

Co miał z sobą robić?

Zostać? Zgodzić się na wieczną zależność od ojca? Czekać na zmianę jego nastroju? Nie odpowiadało mu to. Więc — wyjechać z Kilegad? Może do Anglii, gdzie mógłby dostać posadę nauczyciela albo niższego urzędnika państwowego? Ale Michał czuł się związany z cierpiącą wsią. Nie chciał dezertować. Doszedł do wniosku, że niedola wieśniaków była częściowo i jego dziełem, gdyż była dziełem ludzi z jego sfery. Chciał im to jakoś zrekompensować. Ale jak? Zdecydował, że musi czekać, zdobyć się na cierpliwość, może coś się zdarzy. I jeszcze sprawa inna, uczucie innego rodzaju, uczucie, z którym wiązało się echo słów Pat: „Zobaczmy...”

Bolesne uczucie osobistej odpowiedzialności pogorszył jeszcze Sean:

— Twój ojciec jest bardziej konsekwentny od ciebie, jeżeli konsekwencja jest cnotą. Przyjąwszy określenie Denisa O'Grady'ego, twój ojciec jawnie grabi funt i ani myśli rzucić w zamian groszaka jałmużny.

Winter nie mieszał się do drobnej i w gruncie rzeczy mało skutecznej, choć z serca płynącej działalności charytatywnej ojca O'Leary'ego i pastora Ffolliotta. Nie nadwyrężały one jego własnej kieszeni i wydawały się całkiem odpowiednim zajęciem dla duchownych. Michał znalazł więc sobie zajęcie, pomagając księdzu i pastorowi. Obecna filantropia pastora zasługiwała na wszelkie pochwały, choć była tylko oazą altruizmu, niespodziewanie odnalezioną na pustyni pompacyjnego sobkostwa. Z ojcem O'Learym Michał spędzał dłu-

gie godziny, wypijając dużo kiepskiej, najtańszej whisky i rozprawiając o teologii, historii i filozofii. Pod dwoma wiadomymi względami ksiądz pobrażał sobie, ale Michał się przekonał, że nie było w nim krzty egoizmu. Uczynkami jego powodowała głęboka i wzruszająca pokora. Wierzył w swoje powołanie i jego świętość, ale nie wydawało mu się, aby go jako człowieka wynosiło ponad innych ludzi.

— Bóg wybiera księży od przypadku do przypadku — mówił. — Może przez losowanie? Ułomności ludzkie nie koniecznie czynią ich gorszymi pasterzami swoich trzódek. Dzięki Bogu, że wśród księży można znaleźć najlepszych i najgorszych ludzi w całej Irlandii. Tylko w sakramencie mszy świętej zwykła glina, z której jest człowiek ulepiony, staje się na chwilę cudownie wartościowa. Jest to miara mądrości Bożej: wśród wiernych może być wielu lepszych od tego, co wygłasza kazanie.

Tłumaczyło to, dlaczego wszyscy parafianie, a i wielu protestantów, tak szczerze go kochali. W najgorszych miesiącach głodu, gdy ludzie zaledwie mieli siły, by się zwlec z barłogu, chodzili jednak do kościoła, do ojca O'Leary'ego.

Sporo czasu spędzał teraz Michał w chacie na wzgórze. Między nim a rodzeństwem O'Donovanów wywiązała się przyjaźń wyrosła z antagonizmu. Ich wiara była prosta — samorząd dla Irlandii i ziemia dla chłopów. Jego wiara była nieokreślona. Trzymał się jednak uparcie w wieczornych dyskusjach swych patriarchalnych, utopijnych pojęć. Jak Daniel O'Connell wyobrażał sobie, że właściciele ziemscy będą przedkładali interesy dzierżawców ponad swoje własne. Sean i Pat śmiali się z niego, ale był to śmiech przyjacielski, bez goryczy. Nie sposób było nie lubić Michała, tak przejęte go, tak pełnego dobrej woli i tak ślepego! Lubili go szczerze i wierzyli, że jakieś zdarzenie nagle rozświetli te ciemne za kątki niezrozumienia, gdzie jego wychowanie pozostawiło tylko mrok, pył i jak twierdziła Pat — nietoperze!

Pat gotowała proste potrawy, ale umiała je smacznie przyrządzać. Michał przywykł we dworze Boyne do pożywej, ale jednostajnej kuchni: jadano wciąż wołowinę i baraninę,



bez przypraw i ziół, podawane codziennie z całym ceremoniałem na srebrze, porcelanie i kryształach, nawet gdy jadał sam z ojcem. Ze zdumieniem stwierdził, że bardzo smakuje mu posiłek spożywany na czystym drewnianym stole i że apetyt zaostrza zapach wybornej potrawy z królika (rozsądnie wstrzymał się od zapytania o pochodzenie zwierzaka), jedzonej łyżką z jednej dużej wazy, zawierającej również jarzyny i kaszę; kości ogryzało się przy tym dokładnie, palce oblizywało, by nie stracić ani odrobiny smakowitości. Nie najmniej ważną przyprawą takich „ucz” była oczywiście wyraźna radość Pat uśmiechającej się na widok jego apetytu i uznania.

Tak rosła przyjaźń, która zapowiadała wiele trosk na przyszłość. A Sean nie przejawiał teraz żadnej nieufności.

Ale do uszu Michała wciąż dolatywały echa rozpaczliwych opuszczonych starców uparcie trzymających się rodzinnej ziemi, choćby im to niosło prędką śmierć, odrzucających możliwość emigrowania z młodymi, ratującymi życie swych dzieci. I dźwięki żałobnych dzwonów pogrzebowych.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### I

Żołnierze — było ich ze dwustu, z nastawionymi bagneta-  
mi — wmaszerowali do Kilegad pewnego dżdżystego popo-  
łudnia w listopadzie 1847 roku. Pan Winter w towarzystwie  
rządcy, Anglika zatrudnionego zamiast Michała, wyszedł na  
spotkanie. Uściskał rękę dowodzącemu oddziałem majorowi,  
który wraz z młodszym oficerem spędził przed tygodniem  
miłe chwile we dworze Boyne, polując i jeżdżąc po okolicy.  
Rozbito namioty pod bezlistnymi teraz, kapiącymi od desz-  
czu wiązami w parku. Winter odmówił posiłków głodującym  
wieśniakom, kazał jednak podawać je żołnierzom. Służba tym  
razem nie protestowała ani nie żądała podwyżki wynag-  
rodzeń. Okoliczna szlachta też nie odmawiała sprzedaży  
zwierząt rzeźnych. Major i jego oficerowie obiad i śniadanie  
następnego ranka zjedli z Winterem, w jadalni — tylko  
Michał wolał im nie towarzyszyć.

Chodząc własnymi ścieżkami, Michał nadal mieszkał we  
dworze, nie z własnej chęci, ale dlatego że matka błagała go,  
by jej nie opuszczał w tych ostatnich dniach, jakie jej jeszcze  
pozostały. Winter, chociaż jego stosunek do syna uległ pew-  
nej poprawie, nie omawiał z nim, ani w jego obecności, spraw  
zarządu dobrami. Jednakże podczas którejś wizyty majora  
Michał przypadkiem usłyszał słowa ojca:

— Cena jest teraz dobra. Pewno już się nie podniesie w  
tym sezonie. A prócz tego zima nadchodzi i wieśniaków  
mogłoby podkusić do jakichś gwałtów.

Major nie potrzebował wyjaśnień. Od czasu żniw on, jak i wielu innych oficerów wraz ze swoimi oddziałami, pełnił tego rodzaju zadania w całej Irlandii.

Wiadomość sprawiła Michałowi niemało utrapienia. Gdyby ją powtórzył Seanowi i Pat, konfederaci mogliby znowu — i tym razem może z powodzeniem, kto wie? — dokonać najazdu na spichlerz, zanim zostanie opróżniony. Ale czy on, który omal nie zabił jednego donosiciela, ma prawo zostać samemu donosicielem? Jego przyjaciele O'Donovanowie, z Kevinem O'Reillym, Denisem O'Gradym i innymi konfederatami, z pewnością nie oczekiwali tego. Rozumieli trudność jego położenia — jedną nogą we dworze Boyne, drugą we wsi. Ojciec O'Leary ostrzegął:

— Nie zmuszajcie go do definitywnego wyboru. Niech sam w swoim czasie zdecyduje.

Nie omawiali w jego obecności swoich tajnych planów i nie oczekiwali, by szpiegował w domu rodziców.

W tym wypadku nie potrzebowali wcale informacji, której mógłby im udzielić. Wiedzieli dobrze na podstawie lektury czasopism „Nation” i „United Irishman” oraz sprawozdań z wydarzeń na całej wyspie, co oznacza wizyta majora. I wcale się nie zdziwili, gdy przybyli żołnierze.

Świtem w obozie zaczął się ruch. Było nadal mglisto, ale deszcz przestał padać. Żołnierze zwinęli namioty i pomaszrowali do dworu na śniadanie. Pod nieobecność Michała zajętego pilnowaniem późnej orki pan Winter wziął jego osiodłanego konia, którego mu przyprowadził stangret Tullow, cytujący Biblię odtrącony wielbiciel Pat, i pojechał gościńcem z zamiarem odwiedzenia dalszych sąsiadów.

— Wolałbym, by pana tu nie było — powiedział mu major. — Jeżeli obejdzie się bez zamieszek, nie będzie pan po trzebny. A gdyby były, lepiej bez pana to załatwić. Proszę zostawić wszystko w moich rękach.

Dobrze nakarmionych żołnierzy poprowadzono do spichlerza zbożowego, przed którym na podjeździe pod dachem stały już szeregiem wielkie platformy, zaprężone w ciężkie konie o lśniących zadach i spasionych brzuchach. Przydzielo-

no dwudziestu żołnierzy, którzy złożywszy muszkiety, pasy z amunicją i bandolety w wozowni, uformowali pod ochroną zbrojnych długą linię od wnętrza spichlerza do wozów. Worki przechodziły z rąk do rąk.

Wystawiono warty we wszystkich możliwych miejscach, skąd mógłby nadejść atak wieśniaków. Ale nie widać było nikogo. Pozostali jeszcze przy życiu dzierżawcy z rodzinami, a także wielu dniówkowych parobków folwarcznych, równie głodnych między żniwami a siewem, jak i pozbawieni ziemniaków wieśniacy — przygotowywali w swoich domach żałobne welony i wysokie czarne kapelusze, zrudziałe teraz i wytarte od częstego używania.

Ale pewna młoda wieśniaczka w spodniach siedziała na drzewie, nie dostrzeżona przez żołnierzy, obserwując postępy ładowania ziarna. Gdy oceniła, że na wozach było już mniej więcej trzy czwarte worków, odwróciła się w stronę gościńca i powoli przesunęła ręką po czole. Wartownik zauważył w rowie mężczyznę z łopatą, który wyprostował się i przycisnąwszy palcem jedną dziurkę od nosa, drugą głośno wydmuchał. Nie było w tym nic niezwykłego. Nikt nie zwrócił uwagi na drugiego i trzeciego mężczyznę, bliżej wsi, gdy wykonywali tak zwyczajne, codzienne gesty.

Ładowanie zakończono, połowa żołnierzy otoczyła kordonem platformy z workami, a druga połowa pomaszerowała do dworu na obiad. Kiedy wrócili, pierwsza zmiana, poganiana przez sierżantów i oficerów, powędrowała zaspokoić głód. Następnie major wyznaczył dwóch oficerów, każdego z pięćdziesięciu ludźmi, celem uformowania straży przedniej i tylnej. Pozostali żołnierze stanęli szeregami po obu stronach wozów jak warta honorowa w kondukcje pogrzebowym. Porównanie bardzo na czasie, jak się okazało.

Sean wiedział, że jakikolwiek zbrojny atak na żołnierzy byłby daremny. Niczego się nie zyska, a wieśniaków po prostu zmiotą salwami — jak się zdarzyło w kilku innych miejscowościach, gdzie desperacja doprowadziła ludzi do rozpaczliwych prób przeszkodzenia wywozowi tego, co mogłoby być dla nich chlebem życia.

— Może nadejdzie czas — powiedział — kiedy będziemy musieli zaryzykować wszystko i raczej zginąć, niż umierać z głodu. Z Dublina i z Corku nadchodzą wieści, jakoby się szykowało powstanie.

— Jeśli będziemy długo czekać, to już nie zostanie nikt zdolny do walki — argumentowała Pat, bojowa i niecierpliwa jak zawsze.

— Jeśli nie zaczekamy, to na pewno nikt przy życiu nie pozostanie — odparł Sean. — W hrabstwie Donegal, gdzie wieśniacy chcieli przeszkodzić w wywożeniu ziarna, zmieciono z powierzchni ziemi całą wieś, a resztki mieszkańców wygnano do lasu.

Większość konfederatów poparła go i ułożono alternatywny plan.

Gdy straż przednia i tylna oraz szeregi żołnierzy w bocznej osłonie stali gotowi do wymarszu, do majora przybiegł sierżant, zaszalutował i powiedział:

— Panie majorze, melduję posłusznie, że tłum wieśniaków gromadzi się na gościńcu, na prawo od bram.

— Niech ludzie będą gotowi do odparcia ataku! — rozkazał major oficerom i udał się za sierżantem do bocznej furtki w murze obok bramy.

— Głupiec z ciebie — burknął do sierżanta. — To pogrzeb. Czy nie dość długo byłeś w tym kraju, by nie rozpoznać...? I nie widziałeś księdza w komży i krucyfiksu?

Wrócił do oddziału uspokojony. Sprawdziwszy — był sumiennym, choć niezbyt byстрыm oficerem — że wszystko jest gotowe, wydał rozkaz otwarcia bram. Sierżant posłusznie podszedł z wyciągniętą po klucze ręką do stojącego obok dworskiego sługi — drobnego człowieczka o brzydkiej małej twarzy, ze szramą przez policzek.

W tym momencie niesamowity lament dobiegł od strony gościńca.

— Zamknąć bramę! — krzyknął major. — Musimy za czekać, aż przejdą.

Ale lament trwał tuż przed bramą. Wcale nie przechodził. Major znowu pomaszerował do furtki w murze. Na prawo od

bramy — mężczyzna niosący krucyfiks; ksiądz w komży na płaszczu i w birecie na głowie; trumna; a za nimi ze dwie setki mężczyzn, kobiet i dzieci, przeważnie tak wychudzonych, że trudno w nich było rozpoznać ludzkie stworzenia, a lamentujących tak głośno, jak nigdy jeszcze.

— Zaprześcić mi tego przekłętego hałasu! — wrzasnął major.

Ale jego głos, choć wprawiony do krzyku, zagłuszyły zupełnie żałobne zawodzenia. Podeszedł do księdza.

— Co tu się dzieje? — krzyknął.

Ojciec O'Leary odwrócił ku niemu twarz przyozdobioną pełnym niebiańskiej słodyczy uśmiechem, wskazał ręką na ucho i powiedział:

— Głuchy! Głuchy jak pień!

Major zwrócił się z tym pytaniem do mężczyzny niosącego krucyfiks. Ten również uśmiechnął się łagodnie, wskazał na ucho i rzekł:

— Głuchy!

Zawodzenie trwało bez przerwy. Żałobnikom kazano lamentować na zmianę, by jedni mogli dać odpoczynek gardłom, gdy drudzy wyli jak uwiązany na łańcuchu pies, kiedy przejdzie goniąca się suczka.

Major cmoknął z irytacją, trzepnął szpicrutą po skórzanym bryczesach i ruszył w stronę tłumu. Przystanął, by przeczytać białe litery napisu na trumnie:

„John Kilegad. Zmarł, by jego wrogowie mogli żyć.”

Major przeczytał, zmarszczył brwi, zamyslił się, jednakże nic nie mógł wywnioskować. Sumienny, ale niezbyt bystry... Zapytał młodą dziewczynę, bardzo dziwnie odzianą: w żałobny welon i w spodnie, która stała obok wózka z osiołkiem.

— Co tu się dzieje?

Podniosła czarny welon, zamrugła błagalnie oczami, wskazała ręką na ucho:

— Głucha!

I uczyniła nieokreślony gest ręką, dodając:

— On też.

Major nie wiedział, czy miała na myśli schorowanego męż-  
czynę na wózku, czy osła w uprzęży. A zawodzenie  
trwało...

— Diabli nadali! Czy oni wszyscy pogłuchli?! — krzyk-  
nął major do sierżanta. — Jeżeli często tak wyją, to się nie  
dziwię. Ja sam bym ogłuchł.

— Na to wygląda, panie majorze! — Nawet głos sierżan-  
ta ledwo przedarł się przez żałobny lament.

— Niemożliwe. Winter byłby mi powiedział. Idź tam da-  
lej, popytaj innych.

Stał dłuższą chwilę, prychając ze zniecierpliwienia, ude-  
rzając się szpicrutą po spodniach i krzywiąc z powodu hałasu.  
Sierżant poszedł — i wrócił z niczym.

— Melduję posłusznie, że nie mogę ich w ogóle wyrozu-  
mieć, panie majorze!

— Niech ich piekło pochłonie razem z ich bezużyteczny-  
mi uszami! — złościł się major. — Musimy wrócić i wywie-  
dzieć się, co to wszystko znaczy!

W tej chwili Rory postanowił przyłączyć do lamentu swój  
melodyjny głos. Major i sierżant zatkali uszy rękoma. Śledzili  
uważnie twarze dziewczyny i mężczyzny na wózku, ale pozos-  
tały zupełnie bez wyrazu, jakby niczego nie słyszeli. W pasji  
major odwrócił się i odszedł.

Pogrzeb stał w miejscu. Żołnierze czekali, oficerowie też.  
Nikt nic nie mógł usłyszeć prócz tego szarpającego nerwy  
wycia. Lament trwał.

Rządca zadowolony z opróżnienia spichlerza z ziarna, za  
które ponosił odpowiedzialność, otrzymawszy kwit za całość  
ładunku, pojechał na obiad do swego domu w odległej części  
parku. Wszyscy dworscy ludzie też poznikali. Major znalazł  
wreszcie jednego — drobnego człowieczka o brzydkiej twa-  
rzy. Chwycił go za kołnierz, pociągnął na gościniec.

— Czy ten ksiądz i wszyscy wieśniacy są głusi napraw-  
dę? — wrzasnął mu do ucha.

Pomocnik gajowego, Keefe, wykręcił się w żelaznym uści-  
sku oficerskiej ręki tak, by spojrzeć w coraz czerwieńszą twarz

majora. Z szerokim uśmiechem wioskowego idioty wskazał ręką na ucho...

Major nie czekał, by wymówił fatalne słowo. Zakręcił nim i jednym brutalnym kopnięciem wyrzucił aż do rowu. A zawodzenie trwało...

Z twarzą już teraz nie czerwoną, ale purpurową, major pomaszzerował energicznym krokiem do swego oddziału i wrzasnął na oficerów tak, jakby całe zamieszanie wynikło z ich winy:

— Przejsć na drugą stronę! Przez główny podjazd i bramę przed dworem. Zawróćcie w lewo! Tam nie napotkamy tych wyjących głuchych błotniarzy!

Lament ustał.

Droga przez park była kręta, obsadzony drzewami podjazd do dworu również wił się serpentyną, by oddzielić dom od gościńca. Wozy grzęzły w mokrym miękkim żwirze, żołnierze musieli je podpierać ramionami. Major kłął, ale błogosławiona cisza dodawała mu otuchy.

Oficer dowodzący strażą przednią wmaszerował zamaszyście na gościniec, świecąc przykładem, skrzył w lewo ostro, według regulaminu musztry.

I nagle tuż przed nim rozległo się niesamowite zawodzenie. „Pogrzeb” przybył pierwszy na miejsce i rozdzielił się: ksiądz, trumna i część żałobników na lewo od bramy, wózek z osłem i reszta — na prawo. W którąkolwiek stronę skrzyłiby teraz żołnierze i wozy z ziarnem, musieliby przedrzeć się przez tłum lamentujących żałobników. Na chwilę kapitan się zawahał. Instrukcje wojskowe, regulamin polowy, wskazówki dla oficerów na wszelkie okazje znał na pamięć, ale nie mógł przypomnieć sobie niczego, co by mu pomogło w obecnej sytuacji. Za nim żołnierze, nie otrzymawszy rozkazu, przemaszerowali mu na pięty. Kapitan ruszył naprzód. Nie miał innego wyboru, chyba żeby całą kawalkadę zatrzymał w środku lamentującego konduktu.

Major, posłyszawszy zawodzenie, straszniejsze teraz dla jego uszu od armatnich salw nieprzyjacielskich, wbił ostrogi w boki wierzchowca, popędził do bramy, ściągnął



cugle, spojrział raz tylko — i zawrócił do dworu. Jego nabrzmiałe żyły nie zniosłyby więcej tego potwornego wycia.

Zdyscyplinowani żołnierze maszerowali przed siebie, wykrzywiając twarze, gdyż i im dawał się we znaki nieludzki głos. Teraz wzmógł się jeszcze, bowiem w kondukcje wszyscy jednocześnie wyli pełnymi płucami. Ojciec O'Leary uśmiechnął się słodko do żołnierzy, umoczył kropidło w misce ze święconą wodą, którą niósł przed nim mały chłopiec, i pokropił umundurowanych heretyków.

— Nie wiadomo, czy pomoże, ale nie zaszkodzi — powiedział.

A ogłuszające wycie trwało... aż do chwili gdy straż tylna znalazła się w odległości jakichś stu metrów na gościńcu. Wtedy lament nagle ustał, a zamiast niego rozległ się wybuch ogólnego śmiechu.

Nieco później maszerujący żołnierze minęli wysokiego, barczystego młodego mężczyznę, który stał koło żywopłotu. Przyglądał się uważnie puciołowatym, rumianym policzkom żołnierskim, świadczącym o dostatku mięsa i piwa, dobrze wypełnionym kurtkom i spodniom mundurów.

— To jest myśl! — mruknął do siebie, gdy maszerujący przeszli. I powędrował dalej, na przełaj przez pola, aby uniknąć spotkania z „żałobnikami”, z których żaden nie odezwał się do niego ani słowem od owego dnia, kiedy to syn intendenta zdemaskował go i sprawił mu lanie.

W dobrą godzinę później, gdy z gościńca zeszedli głuchy ksiądz, głucha trumna i głusi żałobnicy, major pojechał konno w ślad za swym oddziałem. Jego nastrój źle wróżył temu z podwładnych, który by mu się nawinał pod rękę.

Wieśniacy nie uratowali ziarna. To było niemożliwe. Ale dzięki pomysłowości Seana, Pat i ojca O'Leary'ego, potencjalnie posepny dzień wywiezienia ziarna do portu zmienił się w kapitalną farsę, która podniosła na duchu wszystkich o tyle silnych, by mogli brać w niej udział.

## II

Niepokój i niezadowolenie z samego siebie nie były dla Michała nowością. Dręczył się tym w swych uniwersyteckich latach, podczas krótkiego pobytu w Kilegad, w czasie wielkiej podróży. Ale gdy po powrocie do domu klęska głodowa doprowadziła do jawnego zerwania z ojcem, jego sytuacja stała się nie do zniesienia. Po kilku tygodniach przymusowego próżniactwa, w poczuciu własnej bezużyteczności, pewnej bezsennej nocy Michał doszedł do wniosku, że to, co trzyma go w Kilegad, jest zbyt mgliste, by ryzykować przyszłość, a jego matce prawdopodobnie wystarczy, gdy przyjedzie co niedzielę. Więc może zamiast wyjechać do Anglii, znaleźć sobie posadę w Dublinie?

Powędrował więc do chaty na wzgórzu, by zakomunikować powziętą decyzję Seanowi i Pat. Impulsywna, nie zastanawiająca się nad znaczeniem, jakie można nadać jej słowom — co jedni określają mianem szczerości, a inni głupoty — Pat, schylona nad balią, powitała wchodzącego Michała uśmiechem i machnięciem białej od mydlin ręki, a gdy opowiedział o swoim planie, odwróciła się i zawołała bez namysłu:

— Ależ nie możesz! Co ja... Co my byśmy zrobili bez ciebie?

I prędko pochyliła się znowu nad balią. Nie żałowała swoich słów, tylko nie mogła powstrzymać rumieńca.

Gdyby Michał był tak samo porywczy jak ona, byłby skończył do niej i ucałował jej pochylony kark. Na to zresztą miał ogromną ochotę. Ale wychowanie, wykształcenie nauczyły go hamować odruchy.

— Miło, że tak mówisz — powiedział. — Ale nie mogę całe życie nic nie robić.

— Rozumiem cię — odrzekł Sean i jakby chciał zatuszować zbytnią szczerość siostry, dodał: — Ale Pat ma rację, będzie nam ciebie bardzo brakowało. Jesteś już teraz nasz, nieprawdaż?

— Tak — powiedział niepewnie Michał. — Aleja...

Sean potarł podbródek i jedną ręką szarpnął lekko struny leżącej obok niego harfy, dobywając urwane dźwięki. Michał czekał, nie wiedząc właściwie na co: po prostu nie było nic do powiedzenia. Pat opłukała ręce w wiadrze i wycierając je o ręcznik, podeszła i usiadła na stołku.

— Czemu nie weźmiesz... — zaczęła, nie patrząc na Michała, tylko z ukosa w podłogę, i mówiąc, jakby głośno rozmyślała. — Czemu nie weźmiesz jednego lub paru gospo darstw ojca, które stoją puste, od kiedy ich dzierżawcy zmarli albo wyjechali do Ameryki?

Michał podniósł opuszczoną głowę, szczeka mu opadła, usta otworzył. Nie wyglądał w tej chwili szczególnie inteligentnie — mało kto wygląda mądrze, gdy go olśni nagle światło. Sean odpowiedział za niego:

— Pat, twój pomysł jest genialny! Oczywiście, to najlepsze rozwiązanie, Michale!

Pan Winter, ku zdziwieniu Michała, przyjął pomysł bardzo gorąco. Nie pochwalał bliskich stosunków syna z wieśniakami i nie ufał mu, ale nie mógł znieść widoku siedzącego beczynnie młodego mężczyzny.

— To z ciebie zrobi człowieka — orzekł. — A już najwyższy czas!

Ciekawe, że nigdy nie traktował ciężko pracujących dzierżawców jak ludzi — raczej jak bydło, i to tak nędznego gatunku, że nie zasługiwało na pełny żłób.

— Będę płacił czynsz, jak każdy inny — oświadczył Michał. — Wezmę, powiedzmy, że dwadzieścia pięć akrów na początek. Jak się wciągnę, to może poproszę o więcej.

— Spodziewam się, że nie będziesz płacił, jak każdy inny" — rzekł z sarkazmem Winter. — Jeśli wyciągam od nich wszystkich czynsze, to tylko groźbami!

Zdecydowali, że cztery obok siebie położone, od niedawna wolne małe dzierżawy, na które nie było kandydatów z uwagi na sytuację w rolnictwie i których Winter nie zamierzał przed wiosną wcielić do majątku jako pastwiska, można połączyć w całość.

— Przyślę ci jednego lub paru parobków folwarcznych, by ci pomogli orać i siać — zaproponował Winter.

— Dziękuję ojcu, ale nie — odparł Michał. — Bez ulgowego traktowania. Sam sobie poradzę.

Jedną z chat miał zamiar odnowić i przeznaczyć na mieszkanie dla siebie, później planował powiększyć je i zatrudnić gospodynię. Ale na razie musiał jeszcze mieszkać we dworze Boyne.

— Rad jestem z tego — powiedział ojciec. — Możesz być farmerem, ale nie musisz zmieniać się w chłopca. Toteż nie zadawaj się z tą parą, rodzeństwem O'Donovanów, ani z ich kompanami. Mówiłem ci o tym już dawniej. Oni występują przeciwko mnie i mojej sferze, która jest także twoją sferą bez względu na to, czy będziesz nosił ubłocone buty czy nie. To oni, razem z księdzem, są przyczyną wszystkich naszych kłopotów. Tylko zbyt sprytni, by się dać złapać.

— Pracują ciężko i są niezależni — bronił przyjaciół Michał. — Zdołali utrzymać siebie i wielu innych przez czas...

Winter nie znosił wzmianek o „klęsce głodowej” czy „wielkim głodzie”. Może tliły się w nim iskierki sumienia i bał się, by nie zapłonęły ogniem. Przerwał Michałowi:

— Więcej bym cenił tę ich niezależność, gdyby nie żyli jak Cyganie, tylko wzięli w dzierżawę gospodarkę i płacili mi za nią czynsz.

Michał uśmiechnął się i odrzekł:

— Ale wtedy nie byłiby niezależni!

Zabrał się rażno do pracy. W każdą możliwą i niemożliwą pogodę od świtu już był na swojej ziemi, w południe zjadał tylko kanapki i popijał butelką piwa, nie odkładał narzędzi, dopóki nie zapadł zupełny zmrok. Po pierwszych kilku dniach, gdy wieczorami włókł nogi jak z ołowiu, a rano budził się z bolącymi plecami, ramionami i nogami — co mu kazało chwilami powątpiewać w genialność pomysłu Pat — dolegliwości ustąpiły, a on zaczął odczuwać satysfakcję. Wiatr, deszcz i skape słońce opaliły mu twarz. Spał mocno i budził się wypoczęty.

— Gdybym był w takiej kondycji, kiedy walczyłem z Seamusem — powiedział sobie — byłbym go wykończył w jedną minutę, jak wołu rzeźnego w zagrodzie.

Znalazł zadowolenie, którego nie zaznał, gdy przebywał w pięknym domu, w bibliotece, w stajni pełnej rasowych wierzchowców, a nawet w czasie wielkiej podróży. Po raz pierwszy zaczął dostrzegać piękno chmur. W Irlandii chmury idą zwykle nisko, jakby rodziły się z ziemi i do niej wracały, dryfując kłębami po błękitnym niebie. Nad Kilegad przeważnie wędrowały na wschód, rozdzielały się, zmieniały kształty, znowu łączyły się i obejmowały szczyt Tary. W słońcu jesiennego popołudnia wydawały się idealnym tłem do baśni o uwieżnionej w murach zamczyska śpiącej królowie czekającej na przebudzenie pocałunkiem księcia.

Odwroćcie sytuacji Michała. Pat jeszcze go nie pocałowała, ale już przebudziła i uwolniła z więzienia, w które wtrąciło go wychowanie; uwolniła z tego zamczyska obłudy, egoizmu i pychy.

Przybiegała, gdy tylko znalazła wolną chwilę, by pomagać Michałowi i uczyć go tajników gospodarowania, musiał bo wiem ze wstydem przyznać, że był ich nieświadom. Przypro wadziła wózek z Rorym i wywiozła śmieci nagromadzone przy porządkowaniu pola, zaniedbanego przez poprzednich dzierżawców po prostu z braku sił. Michał kupił konia i w ciągu kilku dni wytrwałej pracy nauczył się orać. Wkrótce pysznił się prosto wyoraną bruzdą. Poznał na własnej skórze trud rolnika, ale nie zaznał, jak sobie powtarzał, najtragicz niejszej próby — głodu. \*

Pan Winter często przebywał poza domem, w Dublinie albo w Anglii, zajęty polityką. Jego rządca okazał się energiczny i dość surowy wobec wieśniaków, by zadowolić wymagania pracodawcy. Ale zajmował się jedynie tym, co do niego należało, a od młodego Wintera oczekiwał tylko, by jako dzierżawca płacił czynsz i utrzymywał pola w dobrej uprawie. Nikt więc nie przeszkadzał Michałowi nadal odwiedzać chaty na wzgórzu.

Gdy pracowali razem, Pat i Michał zachowywali się jak para serdecznego i pogodnego rodzeństwa. Naradzali się poważnie, dokuczali sobie żartobliwie, cieszyli się sukcesami minionego dnia. Nie znaczyło to jednak, by żywili do siebie nawzajem uczucia bratersko-siostrzane. Ale głos natury był jeszcze u obojga przytłumiony różnymi rodzajami przezorności. Michał trzymał się w korbach w obawie, aby dziewczynie nie dać powodu do posądzania go o to, że jest dla niego łatwą zdobyczą. Pat, oczywiście, pewnego ciepłego, jak na tę porę roku, wieczoru powiedziała bez ogródek:

— Tylko bez marudzenia w powrotnej drodze do domu. Głód nie ucisza plotek. Wiejska dziewczyna z synem intendenta w zaroślach!

Michała trochę zaskoczyła jej bezceremonialność, ale z zadowoleniem przyjął taki układ stosunków. Powiedziała tak szczerze czy też z ukrytą myślą — nie umiał odgadnąć.

Tak więc nigdy nie poszli razem na spacer; chociaż mieli cztery puste domy do dyspozycji, nigdy razem nie weszli do żadnego. Po skończeniu codziennej pracy — a jeśli Pat zajęta była gdzie indziej, to zwykle wpadała przed zmierzchem, by zobaczyć, jak postępuje robota — szli prosto do chaty na wzgórzu albo z wesołym „Dobranoc! Zobaczymy się jutro!” rozchodzili się do swoich domów.

Nigdy nie namawiano Michała, by wstąpił do Klubu Konfederatów. Ale od kiedy stał się rolnikiem z zawodu, Sean chciał go wciągnąć do ich grona, urządzając ceremonię wyzwolin. Michał wiedział, co to znaczy, bał się trochę, ale nie zamierzał uchylać. A Pat powiedziała, mówiąc o przyjaciółach brata:

— Każda wymówka jest dobra, byle wypić, Michale! — A do Seana: — Uważaj, żebyś nie pił, bo ci zaszkodzi.

— Przy takiej okazji warto! — uśmiechnął się Sean.

W ostatnich tygodniach nawet ojciec O’Leary nie mógł znaleźć pieniędzy na butelczynę najpodlejszej whisky. Byli jednak we wsi ludzie, którzy pędzili samogon, by utopić w nim wszystkie swe niedole i rozpacz. Kilka butelek tego płynu przyniesiono do chaty na wzgórzu, gdzie prócz Kevina

i Michała zebrali się: ojciec O'Leary, John Barry, Denis O'Grady, Tom Kelly, George Keefe i najnowszy rekrut konfederatów — Sullivan.

Nie była to wieczornica dla kobiet, nawet dla tak zahartowanej dziewczyny w spodniach jak Pat. Razem z Molly podały na stół gotowaną rybę złowioną przez Kevina i pieczone króliki, które przyniósł oczywiście Keefe. Pat wręczyła Seanowi mocno podniszczoną talię kart i dyskretnie wycofała się, by spędzić wieczór z Molly, a później położyć się do snu w jej łóżku.

Następny ranek był gorszy od najgorszego, jaki Michał przeżył nawet w swych studenckich dniach. Usta miał jak dno klatki z sześciu ptakami, język, jakby bez kropli wody spędził tydzień na Saharze, w głowie waliły jednocześnie wszystkie młoty z kuźni Kevina, a żołądek zakomunikował mu niedwuznacznie, że tego dnia nie przyjmie żadnego pożywienia. Mrużąc oczy, skrzywiony niemiłosiernie, Michał zapragnął na chwilę być w Dublinie, zamiast gospodarować. Usiłował sobie przypomnieć miniony wieczór. Wysiłek dodał energii walącym w jego głowie młotom, ale na nic innego się nie przydał. Pamiętał tylko, że udało mu się dotrzeć do domu nie przewróciwszy się ani razu — stan jego ubrania to potwierdził — ale czepiając się rozpaczliwie drzew.

— Jak ja musiałem wyglądać! A oni pewnie śmiali się na mój widok, o Boże! Jakie to upokarzające!

Zgrzytając zębami, zwałował się z łóżka, umył, ogolił, ubrał. Każdy ruch był torturą. Ale choćby nie wiem jak zhańbił się ubiegłego wieczoru, musi, koniecznie musi pójść dzisiaj do pracy w polu. Śniadanie? Żołądek zaprotestował od razu na taką propozycję. Jednakże pragnienie musi zaspokoić. Kamerdyner, z zacisniętymi w dezaprobacie wargami, podał mu piwo. Michał połknął je — i w pięć minut później wymiotował gwałtownie. Wydawało mu się, że wypluje wszystkie wnętrzności. Ale przyniosło mu to ulgę, tylko stan jego gardła, ust i języka był jeszcze żałośniejszy. Chociaż gospodyni, bardziej ludzka i wyrozumiała od kamerdynera, dała mu, by zabrał z sobą w pole, olbrzymią bańkę z mlekiem, Michał

miał w ciągu dnia poznać do głębi znaczenie słów „nieugaszony pragnienie”.

Doszedłszy do swojego gospodarstwa, Michał tym razem wcale nie był zachwycony widokiem Pat i Rory'ego z wózkiem. Poczul się bardzo głupio. Pat musi wiedzieć o...

— Tak mi wstyd — zaczął, odwracając twarz od niej, bo domyślał się, że jego oddech nie jest wonią róż. — Myślałem...

— Wstyd? — powtórzyła dziewczyna ze zdziwieniem. — A czegoż ci wstyd? Że ustaliłaś swoją pozycję? Widziałam dziś rano ojca O'Leary'ego. Powiedział, że kiedy ty i on wychodziliście, reszta chrapała na podłodze. Wierzę mu, bo tak ich zastałam przed dwoma godzinami i tak ich zostawiłam niedawno. Chlusnęłam im wodą w twarz, ale tylko łypnęli ustami jak ryby na brzegu i nawet się nie ruszyli!

Ta wiadomość przyniosła mu ulgę. I dobrze, że znalazł się świadek, który widział, jak Michał, choć niepewnie, ale jednak na własnych nogach wyszedł z chaty.

— A ksiądz? — spytał.

— On ma nie lada praktykę — zaśmiała się Pat. — Nie można sobie wyobrazić ilości trunku, która by u niego wywołała chociażby czkawkę. A wydaje się, że w tobie znalazł zdolnego ucznia. To ty, jako początkujący, miałeś leżeć pod stołem, a reszta, pogardliwa, dumna z trzeźwości, miała nadal rżnąć w karty.

Zadowolenie Michała, że wyszedł z próby obronną ręką, a w każdym razie lepiej, niż sam przypuszczał, nie usunęło w zupełności zakłopotania wobec Pat.

— Musiałem się jednak bardzo upić — powiedział przez praszająco. — A zawsze myślałem, że mam mocną głowę i mogę bezkarnie pić każdy trunek.

Pat roześmiała się:

— To nie był trunek, to był dynamit. I przestań suszyć sobie tym głowę. Ja tam nie pochwalam pijaków, ale od czasu do czasu mężczyzna musi się zabawić po męsku i z mężczyznanami.



### III

Z Kilegad odchodzili jeden po drugim O'Donovanowie. Na krótko przed „pogrzebem Johna Kilegad” Eoin z żoną, dzieckiem i teściami wyemigrował do Ameryki. A po „pogrzebie” Seamus, którego od dawna nie widziano w chatce na wzgórzu, wszedł pewnego ranka z tobołkiem na ramieniu. Sean i Pat wymienili pytające spojrzenia, potem popatrzeli na najmłodszego z braci. Nikt się nie odzywał. Pat, która czyściła piec, odwróciła się z powrotem do swojej roboty.

— Ale serdecznie gościu witacie! — rzekł Seamus, arogancją starając się pokryć zakłopotanie. Rzucił tobołek na stół, usiadł i wyciągnął długie nogi. Sean nadal czekał w milczeniu. Na pozór zagłębiwszy się w oglądaniu własnych butów, kupionych przed rokiem przez Seana i Pat, Seamus mówił dalej:

— Zaszedłem po drodze do Trim. Otworzyli tam biuro dla rekrutów. Idę się zaciągnąć do wojska.

Pat zerwała się na równe nogi. Sean pochylił się naprzód, ze zmarszczonymi brwiami, z gniewnie ściągniętą wybladłą twarzą:

— Cooo?! — wykrzyknęli oboje jednocześnie.

— Słyszeliście. Idę zaciągnąć się do wojska.

— I wrócisz w przyszłym roku, by strzec ziarna Wintera, gdy je zechce wywozić do portu? — spytał Sean.

— Nie ja. Mnie wyślą do Indii — odparł Seamus.

— Gdzie będziesz musiał traktować Hindusów tak, jak tutaj traktują Irlandczyków — rzekła szyderczo Pat.

— Nie zniechęcajcie mnie — skrzywił się Seamus. — Nie dam się! Tutaj na nic się nie przydadę.

Temu nikt nie mógł zaprzeczyć, ale Sean powiedział:

— Na całym świecie pełno jest grobów Irlandczyków, którzy bili się o to, by utrwalić angielskie panowanie nad narodami tak samo jak nasz walczącymi o wolność. Jeśli musisz szukać śmierci, będziesz miał wiele okazji, i to już

niebawem, by umrzeć walcząc tutaj, na własnej ziemi, u boku swoich rodaków.

Los podchwytuje nasze słowa, zapamiętuje je, wykorzystuje, by plątać tragiczne figle.

Seamus nie odpowiedział Seanowi. Rzekł tylko gniewnie:

— Wiem, kiedy mnie nie chcą!

— No, miałeś sposobność się dowiedzieć — odrzekła Pat, a Sean ostrzegł:

— Jak kto sypia z psami, to oblażą go pchły!

Seamus wstał, zarzucił sobie tobolek przez ramię i wyszedł bez słowa.

Józef bynajmniej nie cieszył się z powodu odejścia krewniaka. Ale musiałby być nadczłowiekiem, gdyby nie odczuł teraz ulgi. Pat ponownie zaczęła nalegać, by zamieszkał z nimi na wzgórzu, nawet jeśli chciał nadal gospodarować. Józef popatrzył w ziemię i zaczął końcem buta wiercić dziurę w miękkiej glinie.

— Widzisz, Pat — zaczął, jękając się z zakłopotania. — Tam są... bliżutko... O'Dwyerowie. Teraz pomagam im trochę, a... otóż, kiedy będę sam na swoim, to może... Róża O'Dwyer może zechce... to znaczy, będzie może mogła... mnie pomagać...

— Józek! — wykrzyknęła Pat, zarzucając bratu ręce na szyję. — Ależ to wspaniale! Pierwszorzędna dziewczyna, Róża, właśnie dla ciebie! Aleś ty milczek zawsze, nikomu ani słówka! Wszyscyśmy wiedzieli, że się przyjażnisz z O'Dwyerami, ale...

— Widzisz... dopóki był tu Seamus... a ja wiem, że jestem do niczego... ale Róża... rozumiesz, porozumieliśmy się...

— I szczęśliwa z niej dziewczyna! — powiedziała Pat. — Co ty wygadujesz, że jesteś do niczego?! Każdy przyzwoity człowiek we wsi ciebie lubi i szanuje, a to można powiedzieć tylko o dwóch, którzy kiedykolwiek pracowali we dworze Bojne: o tobie i o George'u Keefie! Na Najświętszą Panią! Ale muszę zacząć odkładać, żeby ci wyprawić piękne weselisko.

— Nie śpiesz się, Pat... i nas nie popędzaj... Ona ma dopiero szesnaście lat, wiesz o tym! Jej rodzice woleliby... kiedy już we wsi będzie trochę lepiej... rozumiem ich.

— Ale Józek, przecież ją kochasz? Będzie ci ciężko czekać!

— Trochę ciężko, tak... dla nas obojga... Ale zaczekamy. Ja wiem... — Tu Józef zaczął znowu wiercić dziurę butem w ziemi. — Wiem, że inni... muszą czekać... a nas z Różą nie dzieli nic innego... tylko czas stoi na przeszkodzie...

Nieśmiało podniósł głowę i spojrzął na siostrę z serdecznym zrozumieniem. Ufał, że jej nie uraził.

Pat siedziała zamyślona. Szczerze cieszyła się nowiną Józefa — tak, szczerze. Ale trochę mu zazdrościła. I on, ten milczek, rozumiał, że jej nie tylko czas stoi na przeszkodzie...

#### IV

Molly Maginn kupiła w sklepiku Sullivana trochę prowiantu dla swoich rodziców. Sean zawiózł ją do nich wraz z dziećmi oślim wózkiem. Kevin wróci dopiero późnym wieczorem.

Pat uznała, że to dobra sposobność, by się swobodnie umyć w dużej miednicy. Zamknęła drzwi chaty, zaciągnęła firanki, które niedawno sama uszyła, dołożyła do ognia i rozebrała się do naga. Chlupała się z przyjemnością — sporo wody wylała na podłogę, mydło wypadło jej z rąk i ślizgało się po deskach, zostawiając ślad, jakby po przejściu wielkiego ślimaka. Wychyliła się, by je dosięgnąć, a podnosząc głowę, dostrzegła czyjeś oko w szparze firanek.

— Jezus Maria! A ja chyba nie zarygłowałam drzwi!

Rzeczywiście. Chwyciwszy ręcznik, osłoniła się, jak mogła — ręcznik był mały — gdy drzwi się otwierały.

— „Zstąpiłem do ogrodu orzechowego, abym oglądał owoce rosnące w dolinach, abym obaczył, jak kwitną winne macice, a wypuszczają pączki jabłonie granatowe...”

Na nic się nie zda wołać o pomoc. Chata stała w znacznym oddaleniu od innych domów i od drogi prowadzącej u stóp wzgórza.

— Wyoś się, ty! Czy nie widzisz, że ja...

— Widzę, widzę! — Artur Tullow stał przed niąz lubieżnym, łakomym uśmiechem. — „Obie piersi twoje jak dwoje bliźniąt sarnich, które się pasą między liliami...”

Pat prędko rzuciła okiem po sobie, ciasniej owinęła się ręcznikiem i próbowała uderzyć intruza. Artur chwycił jej rękę, przytrzymał.

— Czy nie słyszałeś, co powiedziałam?! — krzyknęła.

Podszedł bliżej. Pat wyjęła jedną nogę z miednicy i cofnęła się o krok. Miednica przechyliła się i dziewczyna upadła — wyrwała przy tym rękę, ale ręcznik owinął się wokół jej twarzy...

— „Pępek twój jako czasza okrągła, która nie jest bez napoju; brzuch twój jest jako bróg pszenicy, osadzony liliami...” — zacytował Artur i rzucił się na dziewczynę.

Pat ściągnęła ręcznik z twarzy, ale nie zdążyła się podnieść. Jej stopy i plecy ślizgały się po mokrej, namydlonej podłodze. Pięścią zamierzyła się na Tullowa. Uchylił głowę, chybiła. Ugryzła go w rękę aż do krwi, ale wyrwał się, chwycił tym razem obie jej ręce i zamknął w swojej jednej wielkiej łapie jak w kleszczach. Szarpała się, wyrывała, kopała, odpychała.

— Ty wstrętna świnió! Ty cytujący Biblię bobku! Ty...

Pat była silna, ale jednak nie mogła się z nim równać.

Artur nie tylko był silniejszy, ale i ciężki. Całym ciężarem ją przyginał, dusił, brakowało jej tchu. Wepchnął nogę między jej kolana, szarpał na sobie spodnie, sapiąc gwałtownie. Ostatnim wysiłkiem zwinęła się rozpaczliwie. Artur wolną ręką uderzył ją silnie w twarz i dysząc przesyconym piwem oddechem, mówił:

— Dasz mi się... albo dostaniesz jeszcze jeden taki... i jeszcze...

Pat odprężyła mięśnie i leżała spokojnie.

— Dobrze — powiedziała. — Ale nie tu, na podłodze. Jest mokro i twardo... Pójdziemy na łóżko...

— Nie oszukujesz? Już ja dopilnuję, żebyś mnie nie oszukała. — Podniósł się od bioder, wciąż jeszcze przytrzymując jej rękę, przygniatając uda, ale odsłaniając własny, wstrętny, włochaty brzuch. — Oddasz mi się?...

Pat odwróciła od niego głowę, ale odrzekła wyraźnie:

— Tak... jeśli potrafię... dam ci, czego potrzebujesz... Trzymał jej rękę, ale pozwolił wstać. Próbowala się odwrócić, osłonić. Nagle:

— Sz-sz-sz!... — szepnęła. — Ktoś idzie...

Instynktownie spojrzął na okno. Dziewczyna wyswobodziła jedną rękę i błyskawicznym ruchem, pochwywszy ciężką żelazną patelnię z kuchni, rąbnęła go nią z całej siły w głowę. — Masz, „czego ci potrzeba!”

Tulłow puścił ją, oczy rozwarły mu się szeroko, stanęły kołem, zachwiał się, kolana się pod nim ugięły.

Jej: „Sz-sz-sz... ktoś idzie...” było udawane. Nie słyszała nikogo. Nie mogłaby nic usłyszeć, gdy Tulłow sapał jej chrapliwie w ucho i włókł ją w stronę łóżka. Ale gdy upadł twarzą na podłogę, Pat rzeczywiście dosłyszała kroki za drzwiami.

— Na pomoc! — wrzasnęła, chwytając znowu ręcznik i okrywając się w miarę możliwości, ale nie wypuszczając pą telni z ręki.

Michał wszedł do chaty. Podbiegł do niej:

— Drań! Łajdak! Nic ci nie zrobił?

— Nie. Ale chciał.

Wyciągnął ramiona, by ją objąć, pocieszyć.

— Michale!... — szepnęła ostrzegawczo.

Odstąpił, podziwiał, czego skąpy ręcznik nie zakrywał.

— Tak mi przykro... twój policzek — powiedział, jakby to było wszystko, co widział. — Myślałem, że ci potrzeba pomocy.

— Tak... ale teraz już nie. — Kopnęła bosą stopą leżącego Tullowa. — Wszystko, czego mi potrzeba, to żebyś zabrał stąd tego wieprza... i siebie też.

Rzucił jej jeszcze jedno pełne zachwyty spojrzenie — a prawdę rzekłszy, chociaż jego wzrok ześliznął się poniżej pobitej twarzy, nie zdawała się z tego nierada — i chwyciwszy Tullowa za nogi, zaczął go wlec po podłodze.

— Zaczekaj za drzwiami, muszę się ogarnąć przyzwioi tej.

Przerwał jej z uśmiechem:

— Nie mam żadnych zastrzeżeń co do twego obecnego stroju!

Pogroziła mu patelnią i pochwyciła zsuwający się ręcznik. Michał zaśmiał się i zamknął drzwi za sobą i swoim ciężarem.

Odwrócił twarzą do góry Tullowa, który zamrugał oczyma, spojrzął i zeszytniał ze strachu. Michał trącił go nogą.

— Popraw ubranie. Wstawaj i wynoś się!

Tullow leżał nadal na ziemi, skurczył się i udawał, że jeszcze jest nieprzytomny.

Pod ścianą stał kubek z pomyjami. Michał chwycił go i chlusnął zawartością w twarz Tullowa. Ten zachłysnął się, wykrztusił:

— Tone! — I odzyskując oddech: — To były brudy...

— Brud do brudu — powiedział Michał. — Pasuje. A teraz won!

— Nie uderzysz mnie?

— Dostałeś już dzisiaj. A ja nie mam ochoty brudzić sobie rąk. Wstawaj.

Na czworakach, chyłkiem Tullow pełzł, trwożnie spoglądając za siebie. Pokusa była zbyt wielka.

— Buty mam już i tak brudne! — przypomniał sobie Michał i kopnął go z całych sił.

— On mnie zabije! — wrzasnął Tullow.

Poderwał się na nogi i trzymając się skrwawioną ręką za bolący tyłek, pokuszył się pośpiesznie w dół.

Zanim Pat otworzyła drzwi, do Michała przyłączyła się Molly z dziećmi. Michał mówił:

— Będzie wolna posada stangreta we dworze. Rządca kopnie go mocniej i dalej niż ja. I nawet mój ojciec nie zniesie próby zgwałcenia.

— Laurowy wieniec dla oswobodziciela! — zaśmiała się Molly.

— Nie jestem oswobodzicielem — zastrzegł się Michał. I spoglądając na Pat, która się odwróciła zawstydzona: — A jeśli będzie laurowy wieniec, to powinnaś go zawiesić na tej żelaznej patelni.

## V

Michał nie wszedł do chaty. Obawiał się, że jego obecność byłaby kłopotliwa dla Pat. Udał się więc na poszukiwanie rządcy.

Pat odetchnęła trochę po szoku, opowiedziała kilkakroć całą historię, przyłożyła okład na twarz i dowiodła swojej odporności przygotowując kolację bez pomocy Molly zajętej jak zwykle dziećmi. Sean zaś rozłożył na stole ostatni numer czasopisma „United Irishman”.

— „W roku 1826 — czytał głośno — wywieziono z Irlandii ziarna i bydła rzeźnego wartości 8 milionów funtów. W roku 1847 — w trzecim roku klęski głodowej — wywieziono za 17 milionów funtów... Utraciliśmy dwa miliony Irlandczyków, którzy zmarli albo musieli wyemigrować...”

— Złożeni w ofierze za zyski i dochody dziedziców — przerwał Kevin.

Sean kiwnął potakująco głową i czytał dalej:

— „Znaczną liczbę ofiar głodu i chorób eksmitowano z gospodarstw... Rząd angielski wydał rozporządzenie, że sumy, wyłożone na pomoc dla głodujących Irlandczyków, mają być traktowane jako pożyczka płatna razem z podatka mi. A w sprawie eksmisji oznajmiono, że ktokolwiek by broił swojej gospodarki, będzie potraktowany jako rebeliant...”

Przerwał czytanie i rzekł:

— Rebeliant! Cokolwiek zrobi Irlandczyk, oprócz lizania butów Anglikom, to zaraz nazywa się rebelią.

— „W północnych częściach kraju, gdzie głód jeszcze nie wyczerpał ludzi, wieśniacy rabują stodoły, młyny, strzelają do właścicieli ziemskich i ich intendentów, podpalają dwory...”

— Czas, żebyśmy i my tu coś podpalili, zrabowali — zauważyła Pat.

— Więc się przygotuj — odrzekł Sean. — Posłuchaj. John Mitchel, redaktor tej gazety, będzie nas teraz uczył zasad walki podjazdowej!

— Zamek dubliński prędko temu kres położy — rzekła Pat.

— Zapewne. Ale to wskazuje, w którą stronę wiatr wieje!

Tej nocy Pat walczyła na swoim legowisku ze wstrętnym wspomnieniem przepitego oddechu, olbrzymich łap, gniotącego ciężaru, odstręczającego wyglądu Artura Tullowa. Próbowwała skoncentrować swoje myśli na sprawie rewolty. Wyraziła chęć zorganizowania jakiejś akcji jak zwykle spontanicznie, bez namysłu.

Ale... co by wtedy począł Michał?... Z pewnością nigdy by nie walczył przeciw przyjaciółom. A jednak syn intendenta... dziedzic dworu Boyne...



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### I

— No, chyba wszyscy umiecie pływać! — rzekł O'Grady.

Konfederaci — ze trzydziestu, którzy dożyli — zdołali zebrać ponad stu mężczyzn ze swojej i sąsiednich wiosek na wiec w lesie, mniej więcej w połowie drogi między Kilegad a Kilmessan. Zanościło się na powszechne powstanie. Dyskusja o tym, czy się przyłączyć czy nie, toczyła się w burzliwej atmosferze. Z jednej strony padały oskarżenia:

— Chcecie wykończyć, co zaczął wielki głód!

A z drugiej strony:

— Nie jesteście prawdziwymi Irlandczykami!  
Zaczęto sobie wymyślać, wieśniacy gorączkowali się, wpa dali w pasję.

Aby ostudzić rozpalone głowy, Denis O'Grady zaczął mówić, zdawałoby się, nie na temat.

— A co tu ma do rzeczy pływanie? — krzyknął z irytacją ktoś z Kilmessan.

Z powrotem rozgorzały kłótnie. O'Grady poczekał na spokojniejszą chwilę i zaczął znowu:

— Chyba umiecie pływać?

Zakrzyczano go, ale on za parę minut na nowo:

— Chyba umiecie...

— Dobrze, Denis, powiedz wreszcie, o co ci chodzi! — wtrącił Sean, domyślając się zamiarów Denisa i pochwalając je.

— Otóż, wiecie, słyszałem taką opowieść o powstaniu z roku dziewięćdziesiątego ósmego. Dwóch powstańców za strzeliło paru żołnierzy, którzy płynęli łodzią po rzece Boyne. Schwytano ich i kazano powiesić na miejscu przestępstwa, na rzece. Szubienicę umieszczono na dwóch płaskich barkach. Pierwszy, którego miano powiesić, miał szczęście: węzeł na sznurze u szczytu szubienicy rozwiązał się, skazaniec wpadł do wody, popłynął do drugiego brzegu i uciekł. Wtedy drugi, który do tej pory z determinacją oczekiwał swego losu, nagle zaczął się rozglądać w prawo i w lewo, szarpać w więzach jak obłąkany. Kat żołnierz zaklął, dał mu w ucho, kazał się uspokoić. „Dobrze, dobrze” — powiedział biedaczysko. — „Tylko na litość boską zawiążcie porządnie ten sznur: jeśli puści, to ja z pewnością utonę, bo całkiem pływać nie umiem!”

Wszyscy się roześmiali. Posępne czasy rodzą posępne żarty. Sean uciszył zebranych, żeby nie ściągnęli niepożądaney uwagi. Ale po opowiadaniu Denisa O'Grady'ego dyskusja potoczyła się spokojniej, ludzie skłonniejsi byli do zgody.

Działo się to latem roku 1848. Położenie dziesiątków tysięcy irlandzkich wieśniaków było rozpaczliwe i bodaj wciąż się pogarszało. Co prawda zaraza ziemniaczana ustąpiła, ale na wiosnę nikt nie miał sadzeniaków, a gdy zwrócono się do rządu z prośbą o dostarczenie ich, urzędnik do spraw rolnych odmówił:

— Irlandia potrzebuje nasion trawy, a nie sadzeniaków.

Co przełożone na język praktyczny oznaczało: tuczyć byłoby i właściciele ziemskich, a skazywać na głodową śmierć lub wygnanie wieśniaków.

Czasopismo „Nation” zarzuciło dawną przezorność i wzywało do mobilizacji: „...jeśli nie jesteśmy niewolnikami niegodnymi wolności, utwórzmy niezależną armię irlandzką”. Ta nowa linia polityczna czasopisma miała swoje źródło nie tylko w tragicznym położeniu irlandzkich wieśniaków, ale także w wiadomościach z kontynentu: barykady na ulicach Paryża, upadek króla Ludwika Filipa... Risorgimento rozgrywające się w dramatycznym napięciu w Rzymie i Wenecji... władza Metternicha w Wiedniu obalona na skutek zamieszek

pod wodzą studentów i profesorów... walki na ulicach Berlina... zbrojne powstanie w Polsce pod zaborem pruskim... rewolta chłopska w Galicji...

Zamek dubliński, przerażony, zareagował gwałtownymi represjami. Miasto oblepiono plakatami potępiającymi „irlandzkich jakobinów” i „komunistów”, których jedynym celem jest grabież. Zakazano wydawania „United Irishman”. Nowo powstałe czasopismo pod nazwą „Irish Tribune”, które chciało zastąpić poprzednie, spotkał ten sam los po dwóch tygodniach, a następne z kolei, „Irish Felon” — po czterech numerach. Z Londynu nadszedł rozkaz, by żadnych wojsk nie wysyłało z Irlandii do kolonii, a skierowano tam kilka dodatkowych batalionów — co przekreśliło nadzieje Seamusa na wyjazd do Indii. W całym kraju rozdzielono broń orężniczką — tym w Kilegad także.

Kościół katolicki ogłosił, co bardzo odpowiadało władzom protestanckim, że rebelia jest grzechem, o ile nie jest sprawiedliwa, chrześcijańska i nie ma szans zwycięstwa. Wyższy kler nie zamierzał dopomagać powstańcom, tylko trzymać się w gotowości, by ogłosić, że powstanie jest sprawiedliwe i chrześcijańskie — o ile będzie zwycięskie. Tylko klęska, jak się wydawało, byłaby grzeszna.

Smith O'Brien i inni przywódcy konfederacy — Tomasz Meagher, James Stephens, John Mitchel, Charles Duffy, wszystko szlachta albo intelektualiści ze sfer mieszczańskich — planowali powstanie na jesień, z równoczesnymi akcjami zbrojnymi na prowincji. Po wielkim wiecu na Tarze, kiedy to trwożliwy O'Connell mógł poprowadzić tysiące pełnych bojowego zapału patriotów, powstanie miałyby szansę. Ale do roku 1848 ruch niepodległościowy poniósł olbrzymie straty z powodu śmierci, emigracji i fizycznego wyczerpania pozostałych przy życiu mieszkańców Irlandii. Wodzowie czekali za długo.

W miastach robotnicy byli gotowi przyłączyć się do powstania, ale nie mieli broni. Smith O'Brien i jego towarzysze nie chcieli jej dostarczać, podejrzewając, że robotnicy zdobyliby władzę z rezultatami niepożądanymi dla szlachty i burżu-

azji. Jednakże wobec represji władz przywódcy planowanego powstania zaczęli się obawiać aresztowania jeszcze przed jesienią. Przyspieszyli więc termin „godziny decyzji” na koniec lipca, nieopatrznie pokładając największe nadzieje w wieśniakach. Nie orientowali się, że we wsiach głód dokonał dzieła zniszczenia, zabijając ducha oporu i chęć do zbrojnej akcji.

Jednakże w Kilegad, jak w paru innych okręgach, zostało trochę ludzi, którzy mieli jeszcze w sobie iskrę energii. Więcej ją rozdmuchała desperacja niż nadzieja, ale bądź co bądź iskra zapłonęła. Większość wieśniaków pozostała na uboczu, ale Sean i Pat zdołali ściągnąć ponad stu mężczyzn z Kilegad i okolicznych wiosek na konspiracyjne zebranie w lesie.

Michał nie było, wyjechał z ojcem do Dublina, by tam pochować matkę. Pani Winter zmarła spokojnie we śnie. W wilię jej śmierci Michał w desperacji, spragniony powiernika, wyznał matce swoją miłość — beznadziejną jak sądził — do wiejskiej dziewczyny. W tej ostatniej rozmowie matka powiedziała:

— Trzeba mieć dużo cierpliwości, gdy się ma do czynienia z mężczyzną zakochanym. Taka dziewczyna nie dla ciebie, choćby i była lepsza od wielu z naszej sfery. Chociaż to, co nazywamy chwastem, bywa niczym innym jak rośliną, której wartości jeszcze nie odkryto.

— Ja znam jej wartość — zapewnił gorąco Michał.

— Ale twoja ocena wartości — odpowiedziała matka — powinna się zgadzać z oceną innych ludzi z naszej sfery.

Współczuła synowi, ale wiedziała, że mało kto z jej kręgu podzieli te uczucia.

Jeszcze dobrze nie ucichł śmiech po makabrycznej anegdocie Denisa O'Grady'ego, która była w pewnym sensie ostrzeżeniem dla przyszłych powstańców, gdy wielbny Horacjo Ffolliott podjechał swym irlandzkim wózkiem do skraju polany i zsiadł, by stanąć obok ojca O'Leary'ego, Seana, Pat i Kevina. Niektórzy wieśniacy zerknęli na niego podejrzliwie, paru nawet wymknęło się chyłkiem.

— Czy mogę się przyłączyć do narady? — spytał Ffolliott.

Jego serdeczną przychylność dla głodujących znano ogólnie. Ale dla powstania? To inna sprawa. Czy nie doniesie? Więc Sean odparł z żartobliwą przezornością:

— Wszystkich mile witamy. Ale szczerze mówiąc, nie obecność wielbnego ojca wcale by nas nie obraziła.

Pastor nie zrażał się łatwo.

— Słyszałem o celu tego zgromadzenia — powiedział — i chciałem was przestrzec, że to, co zamierzacie uczynić, sprzeciwia się zarówno rozsądkowi, jak i prawom moralnym.

Spojrzał prosto w oczy ojca O'Leary'ego, ale ten nie odpowiedział. Ksiądz zmagął się sam z sobą, niezupełnie przekonany, że można usprawiedliwiać przemoc nie wierząc przy tym, by powstanie przyniosło wieśniakom cokolwiek prócz katastrofalnych skutków, jednakże odrzucał myśl o odłączeniu się od swej wiernej trzódki.

Pastorowi odpowiedział, drapiąc się hakiem, Denis O'Grady:

— Prawo moralne! Łatwo je wymyślić, trudniej zastosować. Przepisy układają dobrze najedzeni panowie w Rzymie i w Canterbury, którzy nigdy w życiu nie widzieli irlandzkiego wieśniaka, a cóż dopiero głodującego!

— Bóg nie stanie po waszej stronie — ostrzegął Ffolliott swym najbardziej uroczystym głosem, tym od kazań. — Bo to nie jest Bóg wojny, ale Bóg miłości...

— I dlatego zapewne zezwolił — przerwał mu Sean — by tyle ludzi umarło z głodu, i dlatego zezwała, by nam Anglicy, proszę mi wybaczyć, wielbny ojcze, siedzieli na karku!

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie! — grzmiał Ffolliott. i

Pat kiedyś powiedziała Michałowi, że można umrzeć gorszą śmiercią jak z dumy. Teraz odparła pastorowi:

— Lepiej zginąć od miecza aniżeli w rowie z brzuchem wzdętym od głodu!

A Sean dorzucił:

— Chrystus żył w Palestynie przed ponad osiemnastu wiekami. Gdyby żył w dzisiejszej Irlandii, powiedziałby dużo rzeczy inaczej niż wówczas!

Ffolliott rozejrzał się. Paru jeszcze wieśniaków oddaliło się przezornie, ale wśród tych, którzy zostali, widział tylko wrogie twarze.

— Więc jeśli nawet nie wierzycie w dobroć Boga ani nie słuchacie Jego przykazań — ciągnął — to czy wasz honor pozwala wam spiskować przeciw tym, których Bóg nad wami postawił?

— Jeśli Bóg nad nami postawił Anglików, niezbyt to dobrze o Nim świadczy — rzekł George Keefe, który teraz mniej dbał o pracę we dworze, a więcej o przyjaźń towarzyszy.

— A jak powiedziała moja siostra — wtórował mu Sean — większy nam honor zginąć w walce niż...

— Szubienica to wysoka cena do zapłacenia za wasz honor — przerwał Ffolliott. — A kto przyzna honor tym, którzy zawisną na szubienicy jak opryszkowie?

— My. Wywołańcy, wyrzutki, głodni i niemocy czciliśmy naszych poprzedników — rzekł Sean. — I nas będą czcili, a co do mnie, większego honoru nie pragnę.

Odpowiadając na pompatyczną retorykę pastora, Sean dla przeciwstawienia starał się o pokorę.

Ffolliott potrząsnął głową, rozłożył szeroko ramiona gestem dobrze znanym tym, którzy siadywali w jego kościele:

— Pomyślcie, przyjaciele, pomyślcie... — wołał, wznosząc głos, jakby chciał śpiewać.

Na to ojciec O'Leary przerwał swoje milczenie. Prychnął śmiechem i powiedział:

— Po tylu latach spędzonych w Irlandii jeszcze możesz tego żądać, pastarze? Czy nie wiesz, że Anglik najlepiej myśli siedząc, Francuz stojąc, Amerykanin chodząc tam i z powrotem, a Irlandczyk — potem!

Kompania zachichotała. Pastor wzruszył ramionami i poszedł ku bryczce. Ale jeszcze odwrócił się i powiedział:

— Są tacy, co będą myśleć, że moim obowiązkiem jest zakomunikować... ale obowiązkiem jest to, czego dzień wy maga.

Nie wszyscy go zrozumieli, ale George Keefe uciszył wątpliwości:

— Nic nie poradzimy.

Sean i Pat, Kevin i O'Grady chcieli przełamać neutralność ojca O'Leary'ego. Teraz, zaraz powinien podjąć decyzję, nim inni odejdą.

— Aby przywrócić szacunek dla samego siebie — dowodził O'Grady — najlepszy jest śmiały, zdecydowany postępek! — Sam kaleka, nie lubił zachęcać innych, by ryzykowali swe życie. Ale wierzył, że ci, którzy mogą, powinni.

Rozległ się szmer potakiwania wśród sześćdziesięciu mniej więcej pozostałych wieśniaków — najbardziej bojowych, najbardziej zdesperowanych.

— Wszyscy dobrze wiecie — wtrącił ojciec O'Leary — że popieram wasze cele, ale nie wasze metody.

— Tych my nie wybieramy, one są nam narzucone!

— odparł Sean.

— A „pogrzeb Johna Kilegad”?

— Tego rodzaju podstępu nie można powtarzać.

— Zdrowy rozsądek przemawia przeciwko rewolcie!

— protestował ksiądz.

Pat podchwyciła:

— A przecież ojciec sam powiedział, że Irlandczycy my ślą potem! Więc czego się ojciec od nas spodziewa teraz?

A Sean dorzucił:

— Gdyby lew ujrzał lufę strzelby miał się namyślać, usiadłby na tylnych łapach i poprosił o życie; może by je uratował, ale przestałby być lwem.

Protesty księdza słabły:

— Czegóż wy możecie dokonać, niedoświadczeni, nie znający się na wojowaniu, banda dzieci bawiących się w Indian?!

— Na to nie można poradzić — odrzekł Kevin. — Zawodowcy, wyćwiczeni wojacy są po tamtej stronie. I nie zamierzają się bawić z nami.

— Ale spójrście prawdzie w oczy... Nie macie żadnych szans, nie macie nadziei...

— Nie możemy sobie pozwolić na taki luksus jak spoglądanie prawdzie w oczy — wyznał Sean. — Gdybyśmy to zrobili, tobyśmy sobie nawzajem wpakowali te kulki, które przeznaczamy dla Anglików.

Krótkie milczenie. Ojciec O'Leary westchnął i przecząco potrząsnął głową.

— Więc musimy iść bez ojca — powiedziała trzeźwo Pat. — Szkoda, ale... — Zwróciła się do zebranych i zawołała: — Kto idzie z moim bratem i ze mną, ręka do góry.

Wszystkie ręce podniosły się bez ociągania. Wszystkie prócz ojca O'Leary'ego.

Sean ostentacyjnie odwrócił się do niego tyłem i powiedział:

— Więc liczymy na was. Dublin przysyła broń. Czy dla wszystkich wystarczy, nie mogę powiedzieć. Ale Kevin ma zapas dzid...

— Dzidy! — wykrzyknął ojciec O'Leary jakby do siebie, a w jego głosie nie było pogardy, lecz zdumiony podziw.

I gdy Sean znowu odwrócił się do niego, O'Leary zdarł z siebie koloratkę, rzucił ją wysoko w powietrze, aż zawisła na gałęzi, śmieszna i niepotrzebna.

— Mówiłem wam, że jestem Irlandczykiem, jak każdy z was, i tak samo zwariowany! — zawołał. — Przed laty w domu ojca uchodziłem za dobrego strzelca. Zoba czymy!

## II

Późnym wieczorem po zebraniu w lesie Sean i Kevin, Tom Kelly i ojciec O'Leary siedzieli w chacie na wzgórzu.

— Barry poszedł — mówił Kelly. — Zabrał dzieci, nikt nie wie dokąd.



— Szkoda go — zauważył Kevin. — Przydałby się w walce. Twardszy z niego chłop, niżby się na oko wydawało.

— Nie można go winić — odezwał się Sean. — Ma dzieci. Gdyby coś się z nim stało...

Ojciec O'Leary wyjął zegarek. Kevin, chodząc tam i z powrotem po izbie, rzekł:

— Powinna już być.

— Nie mogła wyruszyć, dopóki się nie ściemniło — tłumaczył Sean.

— Czas tak się wlecze...

— Czas jest jak kobieta — uśmiechnął się ojciec O'Leary. — Im bardziej pragniesz pośpiechu, tym idzie wolniej.

Znowu pół godziny upłynęło, dłużąc się, jakby to były dwie godziny — aż wreszcie czterej czekający mężczyźni usłyszeli nadjeżdżający wózek z osłem. Pat weszła do chaty z obcym przybyszem — wysokim, wytornie ubranym, nieco wzgardliwym, ledwie dwudziestoparoletnim młodzieńcem.

— Kapitan Timothy Devlin — przedstawiła Pat zimnym głosem, bez cienia uprzejmości czy uznania. — Opuścił wojsko, by ofiarować swe usługi Smithowi O'Brienowi.

Czterej mężczyźni przywitali przybysza również dość chłodno.

— Mam list dla pana — powiedział Devlin do Seana. — Od Karola Dufly'ego z Dublina...

— Ach, z redakcji „Nation”.

— Tak jest. Znają tam pana, jak się wydaje.

Sean pomyślał: „Lepiej pewno niż ciebie”, ale nic nie powiedział.

Devlin podał list, w którym polecono Seanowi przekazać kapitanowi Devlinowi, doświadczonemu wojskowemu, komendy nad operacjami zbrojnymi planowanymi w okręgu Kilegad.

— Jutro rano wyjaśnię mój plan — oznajmił Devlin, od razu przyjmując ton dowódcy. — Teraz ten ładunek...

Obrzucając przybysza ukradkowymi, niezadowolonymi spojrzzeniami, Kevin, O'Leary i Kelly wyszli z chaty w ciemność nocy, by pomóc Pat znieść siano. Devlin stanął obok

i przyglądał się, jak inni pracują. Na dnie wózka, pod sianem, leżało dwadzieścia muszkietów i amunicja.

— Nie jest tego wiele — powiedział Devlin — ale tylko tyle zdołałem dostać.

Gdy broń schowano pod pryzcami, rzekł:

— To wszystko na dzisiaj. Umówiłem się, że zanoczę u George'a Nolana. — Był to ów katolicki ziemianin, u którego Pat czasem pracowała. — To przyjaciel mego ojca. Udaje, że o niczym nie wie. Muszę poprosić pannę O'Donovan i jej szlachetne zwierzę... — sarkastyczny uśmiech — by mnie tam odwieźli.

— Ja też pojedę — powiedział Kelly. — Żeby towarzyszyć Pat w powrotnej drodze.

— Jutro wczesnie rano proszę przyjść do domu mego przyjaciela — polecił Devlin Seanowi. — On się nie przyłączy do nas, nie jest oficerem Konfederacji, ale będzie przymykał oczy. Wtedy wam powiem, co trzeba. Jak słyszałem, kompania angielskich żołnierzy przybędzie tu pojutrze albo nawet jutro wieczorem. Nie spodziewają się żadnej akcji, mają tylko jej zapobiec. Drugi z oficerów Konfederacji udał się do Navan, by tam zebrać posiłki dla mnie. Mam na razie tylko związać siły nieprzyjaciela, dopóki oni nie nadciągną.

Gdy wyszli, odezwał się Kevin:

— Wiadomo, że trzeba nam doświadczonego dowódcy, ale Devlin nie zna nas, nie zna okolicy. I wydaje się, że już sobie wszystko zaplanował, nawet nie obejrzawszy terenu ani nie naradziwszy się z nami. Nie podoba mi się to wszystko.

— Nie tobie jednemu to się nie podoba — powiedział ojciec O'Leary. — Niejeden z tych, który by walczył razem z nami, nie przyjdzie, kiedy się dowie, kto ma nami komendować.

— Na nic się nie zda kręcić nosem — przerwał Sean. — Ten list zawiera rozkaz ze sztabu Konfederacji. Musimy słuchać albo się nie przyłączać. Chociaż, mówiąc między nami, mnie też się to niepodoba. Ci ważni oficerowie mają może najlepsze intencje, ale nie uprawiają ziemi i nie będą się troszczyli o wieśniaków potem, jeśli powstanie się nie uda.

— Jeśli... — mruknął Kevin. — Ale słuchaj. Ja muszę stąd wysłać Molly i dzieci. Jak?

— Bez kłopotu — uspokoił go ojciec O'Leary. — O świcie przyjadę tu po nich bryczką Ffolliotta. Pożycz mi ją z woźnicą i nawet nie zapyta po co.

Na porannej konferencji z Seanem, Pat i Kevinem kapitan Timothy Devlin doznał szoku. Wydawało mu się, że w Keli-gad stacjonuje zdyscyplinowany i wyćwiczony oddział partyzantów, rozumiejących rozkazy i umiejących je wykonać.

— Ilu macie ludzi do dyspozycji? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekł spokojnie Sean. — I nie będę wiedział, dopóki ich nie wezwiemy. Dopiero wtedy zobaczymy, ilu przyjdzie. Ponad sześćdziesięciu zgłosiło akces do powstania. Jeszcze kilku się pewno przyłączy, ale z drugiej strony nie wszyscy przyjdą z tych, co za powstaniem głosowali.

— Ależ to bardzo źle! Jak mogę przeprowadzić plan akcji bojowej, nie znając moich sił? — irytował się Devlin tonem zawodowego oficera udzielającego surowej nagany.

Pat rozzłościło określenie „moje siły”, ale ugryzła się w język i zmilczała.

— I powiedzcie każdemu, że musi przynieść ze sobą żywność na cztery dni — oznajmił Devlin.

Kevin nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Żywność na cztery dni?! Większość z nich nie wie, skąd wziąć cokolwiek, co by można jutro włożyć do gęby! Liczą na to, że się włamią do jakiejś stodoły albo spichlerza.

— Tego Smith O'Brien kategorycznie zabronił — oświadczył Devlin. — Ani bochenka, ani nawet jednego jabłka nie wolno brać bez zezwolenia właściciela, ani jednego drzewa ściąć! Oficerom polecono, by dopilnowali posłuchu dla tego rozkazu i stosowali surowe kary przeciw przestępcom.

Tego już było za wiele dla Pat.

— Więc czy to jest zbrojne powstanie czy popołudniowa herbatka?

— A wszystko jedno, co to jest, w każdym razie nie miejsce dla młodych kobiet — odparł surowo Devlin.

Sean do tej pory zachowywał się spokojnie, ale teraz stracił cierpliwość i rzekł ostrym tonem:

— Gdy przychodzi do walki na śmierć i życie, trzeba posługiwać się takimi siłami, jakie są. Moja siostra, tak się składa, warta jest dwóch mężczyzn. Ale jeśli nawet przyjdą dzieci i dziewczęta z kijami i widłami, niech idą!

Gdy trójka z Kilegad jechała z Rorym do domu, Pat zauważyła:

— Jeśli inni przywódcy wiedzą tyle o warunkach na wsiach co ten wielmożny kapitan Timothy Devlin — z gorzką ironią podkreśliła tytuł — to szanse zwycięstwa są jeszcze mniejsze, niż myślałam. Oficerowie! On cały czas tylko o oficerach! Smarkacz, ledwie potrafi spodnie wciągać bez pomocy mamusi, a już potrząsa szablą u boku!

— Uspokój się, Pat. Mamy robotę — powiedział Sean. — Do godziny piątej musimy zebrać konfederatów i wznieść barykadę.

— A to już bez pomocy kapitana! — zauważyła szyderczo Pat, a Kevin dodał:

— Barykadę! Twój pomysł z zasadzką był o wiele lepszy. Nie utrzymamy naszych ludzi za barykadą. Oni chcą się dobrać do gardeł, a nie siedzieć i czekać, aż ich wykurzą bagnetami.

— Cóż, to mój zwierzchnik, oficer! — mruknął przeciągle, sarkastycznie Sean.

I w tym momencie chwycił go gwałtowny atak kaszlu. Musiał się położyć na wózk, opierając głowę na zwiniętej koszuli, którą Kevin zdarł z siebie.

### III

Po powrocie do domu Pat przede wszystkim położyła Seana do łóżka. Potem, myśląc o Róży O'Dwyer, wysłała Józefa do Trim, by się dowiedzieć, czy powstanie zaczęło się gdzie indziej i jak się rozwija.

Sullivana, jako właściciela konia, posłano, by zaalarmował okoliczne wsie.

Gdy Pat i Kevin wyruszyli, by pomagać przy wznoszeniu barykady, Sean nadal leżał na wyrku blady, wyczerpany, z nawrotami kaszlu, chwytając z trudem dech w piersi.

— Musisz tu zostać — przykazywała Pat. — Żebyś nie ważył się ruszyć!

Krzywiąc wargi w bolesnym uśmiechu, Sean odrzekł:

— Słucham rozkazów tylko pana kapitana Timothy Devlina, który mi powiedział, bym na niego czekał na barykadzie o godzinie piątej. Gdybym się nie stawił, kazałby mnie pewnie rozstrzelać za dezercję w obliczu nieprzyjaciela.

Spodziewano się nadejścia żołnierzy od strony Trim, czyli od tego krańca wsi, gdzie stał kościół katolicki. Devlin, nie znając wsi i najwidoczniej nie zamierzając uzupełnić tego braku, pozostawił wybór miejsca na barykadę do decyzji Seana. Tak więc Pat, O'Leary i Kevin postanowili, że należy wznieść barykadę za zakrętem gościńca, to znaczy trochę bliżej wsi niż kościoła. Tak umieszczoną barykadę można było zdobyć tylko atakiem wręcz, a wówczas żołnierze stanowiliby dogodny cel między chatami a plebanią po obu stronach gościńca.

— Ale przede wszystkim — doradził ojciec O'Leary — trzeba posłać trzech ludzi, jednego z muszkietem, do domu rządcy. Poszedł właśnie na obiad. Niech mu nie pozwolą wyjechać, bo mógłby ostrzec żołnierzy. Nikt inny się nie ośmieli, bałby się naszej zemsty. Rządca ma dość rozsądku, by trzymać się z dala, o ile go się ostrzeże, ale gdyby chciał mimo wszystko zbiec, należy go postrzelić.

George Keefe, doświadczony strzelec, poszedł z dwoma towarzyszami.

Jak ksiądz słusznie przypuszczał, znalazło się sporo takich, którzy nie przyszli dowiedziawszy się, że jakiś obcy ma nimi dowodzić. Pogoda dopisywała, więc twierdzili, że muszą się zająć żniwami. Można było liczyć z pewnością, że do dyspozycji Seana, Pat i Kevina stawi się blisko setka, ale teraz przyszło nie więcej jak trzydziestu. O'Grady, zrećźnie

radząc sobie hakiem i jedną zdrową ręką, pomagał przy budowaniu barykady, ale nie był zdolny do walki.

Pierwszym rozkazem Devlina, którego nie posłuchano, był oczywiście rozkaz w sprawie drzew na prywatnych terenach. Kilka szybko ścięto, by zbudować, według wskazówek Kevena, szkielet barykady, następnie wypełniono go gałęzmi, starymi wozami, pozostawionymi w opuszczonych gospodarstwach i deskami z na wpół rozwalonych przybudówek.

#### IV

Sean zwiłkł się ze swego legowiska i z trudem stanął na nogi. Czuł się okropnie. Kaszel wstrząsał całym jego ciałem. Życie zdawało się wyciekać z każdą kroplą krwawej flegmy. Ledwo wiedząc, co robi, uchwycił się najbliższego przedmiotu, by się oń oprzeć. Harfa. Zachwiała się, przechyliła, upadła, a Sean razem z nią, na nią. Kolanem zerwał kilka strun — pękając wydały żałobny akord jak pogrzebowe dzwony.

Z mocno zaciśniętymi wargami, dźwignął się na kolana, usiadł na stołku i popatrzył na swoją zrujnowaną harfę, której żaloszny akord wciąż jeszcze rozbrzmiewał między drewnianymi ścianami chaty. Sean pokiwał głową i powiedział w głos:

— Jeśli potrzebny mi był znak, to mam go! Ale będą inne harfy w Irlandii...

W jedną rękę ujął dębowy kij, w drugą muszkiet. W chwili gdy Devlin przyjeżdżał pod kościół, by objąć komendę, Sean kuszrykał w dół po wzgórzu w kierunku barykady...

#### V

Pomimo upływu lat i pobłazania sobie pod niektórymi względami celność strzałów ojca O'Leary'ego wcale się nie

pogorszyła. Były to te nieliczne jasne momenty w ciągu krótkotrwałej rewolty w Kilegad.

Z okien pierwszego piętra plebanii rozciągał się widok na gościniec, którym mieli nadciągnąć żołnierze. O'Leary tarn się usadowił, sporządziwszy sobie rodzaj podpórki dla muszketu. Sullivan rozdzielił między konfederatów pod barykadą żywność, którą przywiózł na koniu ze swego sklepu. Najlepszych strzelców porozmieszczano w chatkach naprzeciw plebanii. W pochyłych strzechach porobiono otwory, aby można było wysunąć lufy muszketów.

— Bacznie obserwujcie to okno na plebanii — rozkazał kapitan Devlin. Przyjechał na pożyczonym koniu, którego przywiązał do drzewa za plebanią, w miejscu bezpiecznym od kul, a pod ręką w razie potrzeby. — Będę stał w tym oknie i dopóki nie machnę białą chustką, niech nikt nie waży się strzelać.

Zamierzał odczekać, aż Anglicy miną zakręt i znajdą się prawie pod samą barykadą dopiero wówczas rozpocząć strzelaninę z góry i z obu stron. Salwy te mogłyby wywołać zamieszanie i szczęśliwie zakończyć potyczkę. Dostał informację przez swego gospodarza z poprzedniej nocy, że straż przednia nadciągnie między godziną szóstą a siódmą tego wieczoru i że otrzymała rozkaz, by przygotować nocleg dla całego oddziału.

— Nadejdą o dobrej dla nas porze — powiedział Devlin do Seana, który stał obok, zmagając się z zawrotami głowy i dziwną słabością w nogach. — Zatrzymamy ich przynajmniej do zapadnięcia ciemności. Rankiem nadciągną nasze posiłki z Navan. A powodzenie powstania w innych miejscach może odciągnąć główne siły, które miały być przyślane tutaj.

Mówił, jakby ogarniające cały kraj powstanie było już rzeczywistością — zorganizowane, równoczesne, sprawne. Sean wzruszył ramionami. Chociaż tego nie mówił, zapatrywał się sceptycznie na szanse powstania. Wiedział coś niecoś o bardzo sporadycznej i amatorskiej organizacji prowincji. Jedyną nadzieją według niego polegała na tym, że iskra, skrze-

sana w jednej miejscowości, może zapalić spontaniczne ognie w innych okolicach. Ale wobec rozpaczliwego wyczerpania wieśniaków powątpiewał, czy płomienie rozpalą się na długo i czy odniosą jakiś skutek.

Konno na czele pieszego oddziału żołnierzy — było ich niewiele więcej niż ludzi za barykadą — jechał ten sam major, który dowodził oddziałem dozorującym wywóz ziarna ze dworu Boyne do portu. Za wozami taborowymi widać było grupę jeźdźców w myśliwskich strojach — orańczycy Wintera — bynajmniej nie w pełnej sile, ponieważ był to okres wakacyjny i wielu powyjeżdżało do Anglii albo na kontynent.

Devlin i ojciec O'Leary patrzyli i czekali. Żołnierze szli swobodnie z muszkietami zarzuconymi na ramię, rozmawiali, najwidoczniej niczego się nie spodziewając.

Strzał oddano z jednej z chat. Wieśniacy nie są zdyscyplinowanymi wojakami. Jeden z nich nie potrafił się oprzeć tak wspianemu celowi. Trafiony żołnierz przechylił się, padł. Devlin zaklął tak, że mógłby zgorszyć każdego innego księdza, ale nie ojca O'Leary'ego.

Ostry krzyk rozkazu... żołnierze skoczyli do rowów... major zwrócił się do oficera jadącego obok: ten z miejsca zawrócił i pogalopował z powrotem gościńcem, zapewne po to, by przyspieszyć nadejście głównych sił... sierżant pochylił się nad żołnierzem, ale zostawił go... Anglicy cofali się, nisko schyleni.

— Uciekają! — krzyknął ktoś z jednej z chat.

— Stać na barykadzie! — wrzasnął Devlin z okna plebanii. Nie powinien był tam siedzieć. Gdyby miał odwagę spacerować tam i na powrót przed barykadą, mógłby być jeszcze wtedy uratować sytuację.

Jego rozkaz na nic się nie zdał. Konfederatów poniosła dzika radość, zawsze gotowa się rozpaść w duszy Irlandczyka w chwili niebezpieczeństwa — bojowy duch narodu, wielki, ale szalony, niepohamowany, często prowadzący do bezcelowego przelewu krwi. Wdrapywali się na barykadę, wspinali, przelazili przez tę osłonę, która była ich jedyną



nadzieją na chwilowy przynajmniej sukces. Wpadli od razu na oślep w pułapkę, którą major kazał swoim ludziom na nich zastawić. Pat i Kevin musieli pójść za innymi — i Sean także, zbierając resztki sił i życia, z sercem rozpalonym patriotycznymi balladami, których tyle ułożył i wyśpiewał.

Żołnierze wyskoczyli z rowów, uformowali się na gościńcu, pierwszy szereg klęcząc, drugi stojąc, z muszkietami podniesionymi do ramion. Wieśniacy rzucili się na nich z wściekłym wrzaskiem. Major, spokojnie siedząc na koniu, podniósł rękę. O wiele lepiej radził sobie w tej chwili, niż wtedy gdy musiał się rozprawiać z „głuchymi” żałobnikami. Ale nie zdążył opuścić ręki. Błysk strzału... major odrzucił nagle w tył głowę... osunął się z konia na ziemię, na wznak... Celna kula z pewnej ręki ojca O’Leary’ego utkwiała mu w mózgu.

Komendę objął starszy sierżant... żołnierze oddali salwę... pół tuzina wieśniaków zachwiało się, potknęło, upadło... leżeli cicho albo jeszcze rzucali się w agonii... kilku wcale nie ranionych umknęło, kilku pędziło naprzód...

— Do rowów! — krzyknął Sean.

Następna salwa spokojnych, zdyscyplinowanych żołnierzy strzelających jak na paradzie... wieśniacy, niejeden ze zwisającym bezwładnie ramieniem lub wlokąc skrwawioną nogę, posłuchali rozkazu dowódcy, którego znali... ale dzieśnięciu zostało na gościńcu... A ten dowódca, którego nie znali, kapitan Timothy Devlin, wybiegł z plebanii, dosiadł swego wierzchowca — i tyle go widzieli.

Kilku z tych, którzy z opóźnieniem schronili się do rowu, poszło za przykładem kapitana — zwiąło. Sean, Pat, Kevin i jeszcze paru wraz z ojcem O’Learym w oknie — strzelali, ładowali i znowu strzelali do żołnierzy maszerujących na nich gościńcem. Powstańcy dobrze celowali, ale było ich teraz bardzo niewielu, a żołnierzy i orańczyków bardzo, bardzo wielu...

## VI

— Czy ci przekłęci O'Donovanowie i ich bandycka kompania nie narobią kłopotów? — zapytał Winter.

— Nie mam pojęcia — odmruknął Michał. Ale w głębi serca wiedział.

Ojciec i syn wracali z Dublina z dwoma stajennymi, wiozącymi przytroczone do siodeł bagaże, i podjeżdżali do Kilegad od strony przeciwnej do tej, z której nadeciągnęli żołnierze. Winterowie mieli wjechać do wsi koło kościoła protestanckiego, zamierzając zaraz skrócić w bok, do dworu Boyne.

Otrzymali w Dublinie niepokojące wiadomości — w każdym bądź razie niepokojące dla Michała. Do Kilegad skierowano z Trim oddział żołnierzy, by trzymać w ryzach całą okolicę, uznaną za niebezpieczną z powodu obecności niejakiego Seana O'Donovana, publicysty i twórcy ballad, podczas gdy główne siły rebelii pod wodzą Smitha O'Briena, Thomasa Meaghery i innych miano zgnieść w hrabstwie Tipperary. Co więcej, Michał wiedział, czego jeszcze nie wiadano w Kilegad, że główne siły już pokonano, a O'Brien i jego najbliżsi towarzysze ratowali się ucieczką — schwytano ich później, ale nie powieszono, ponieważ byli szlachtą tylko skazano na deportację na Ziemię Van Diemena. Talent i wymowę potrzebną rewolucjoniście miał Daniel O'Connell. Brak mu było woli. Smith O'Brien miał wolę — zabrakło mu talentu, koniecznej bezwzględności, umiejętności dowodzenia i wiary w robotników.

Tego samego dnia kiedy rozbito siły O'Briena, w innych częściach kraju wybuchły pojedyncze utarczki. Wojsko zgniotło je szybko. Ale, zapytywał siebie Michał, co się dzieje w Kilegad?

Nagle obaj, Winter i jego syn, zeszywnieli, wyciągnęli głowy nasłuchując, wstrzymali wierzchowce.

— Słyszałeś?

— Tak, strzelanina! — odparł Michał, ukrywając straszliwy niepokój, który nim zatargał.

Przez blisko milę galopowali po murawie wzdłuż gościńca. Dotarli do posepnego sosnowego lasu, gdzie niegdyś stała chałupka babki Hogarthy, Winter wstrzymał konia. Teraz nie było słycać strzałów.

— Jedźmy wolniej — rzekł Winter. — Przez wieś. Nie wiemy, co się tam właściwie dzieje.

Szelest, jakby po gałęziach i zeschniętym igliwiu stąpały ciężkie buciory.

— Jedź, ojczu, ze stajennymi. Ja tu się rozejrzę — powie dzał Michał, chcąc się pozbyć Wintera.

Wiedział dobrze, co by zrobił, gdyby dalej na gościńcu spotkał Pat i Seana, i gdyby oni znaleźli się w kłopotach. A to by rozwścieczyło ojca i nic by w ten sposób nie osiągnął, mniej niż nic! Lepiej teraz jechać samemu, dopóki się czegoś nie dowie. Wówczas podstępem albo wpływami potrafi im jakoś dopomóc.

Winter zawahał się, ale pojechał, mijając kościół Ffolliotta. Michał skierował konia między drzewa, zsiadł, uwiązał go i poszedł dalej na piechotę. Nie uszedł nawet dwudziestu kroków, gdy Pat prawie wpadła mu w ramiona. Cofnęła się i patrzyła na niego przez sekundę przerażona, potem wykrztusiła:

— Ratuj mnie, Michale!

Dwaj żołnierze pojawili się między drzewami. Michał zasłonił dziewczynę własnym ciałem. Żołnierze spojrzeli na jego odzież — i zatrzymali się.

— Ona jest naszym jeńcem, proszę wielmożnego pana! — powiedział jeden z nich.

— Gdzie reszta oddziału? — spytał ostro Michał.

— Na tamtym końcu wsi, proszę wielmożnego pana, pilnują tych... choć oni wcale nie chcą uciekać. Myśmy przyłapali tę. Ale zwiła nam. Twarda z niej sztuka! Sierżant wysłał nas za nią. Ledwośmy ją dogonili.

Michał przybrał ton rozkazujący.

— Ja już jej dopilnuję. Wracajcie do oddziału.

— Och, wielmożny panie, chcielibyśmy się z nią... hm...  
trochę zabawić...

Michał podniósł szpicrutę i trzepnął żołnierza z całej siły przez twarz. Żołnierz wrzasnął i skrzywiony, zlizując krew z rozciętych warg, wycofał się wraz z drugim w stronę gościńca.

## VII

— Czy mam przekazać jeńców policji, wielmożny panie?  
— pytał sierżant.

W zastępstwie oficerów on dowodził oddziałem. Ale gdy przybył Winter, od razu zorientował się w sytuacji i ujął władzę w swoje ręce.

— Nie — odparł. — Muszę dać odstraszący przykład tu, na miejscu. Niech ich kompani widzą, jaki los czeka buntowników.

— Ale jeden z nich, wielmożny panie... pamiętam go... on jest...

— Nic mnie nie obchodzi, kim on jest. Wznieście natychmiast szubienicę przed kościołem. Drewna pod dostatkiem znajdziecie na tej barykadzie. I szybko, zanim zmrok zapadnie.

Popchnął końcem buta zwłoki dwóch ludzi, ułożone przy drodze.

— A! Kelly! A ten drugi? Zdradziecki sklepikarz!

I wszedł do plebanii, by obejrzeć zwłoki majora, złożone na łóżku ojca O'Leary'ego.

Kiedy szubienicę zbudowano — pośpiesznie skleconą, chwiejną — Winter pojawił się znowu. Sierżant wymyślał jakimś żołnierzowi, wysokiemu barczystemu mężczyźnie, który mu odpowiadał tylko słowami:

— Nie będę...

— Co tu się dzieje? — zapytał Winter.

— Ten tu mi powiada, że nie będzie strzelał w plutonie egzekucyjnym, wielmożny panie!

— Wydałeś mu rozkaz?

— Tak, wielmożny panie!

Żołnierz trzymał głowę opuszczoną nisko na piersi, hełm zakrywał mu twarz. Winter popatrzył na niego bacznie.

— Stać prosto! — szczechnął sierżant.

— A! Też z tej rodziny! — zatarł ręce Winter. — Dziewczyna uciekła, mówiliście?

— Dwaj moi ludzie poszli za nią, wielmożny panie. Znajdają.

— A ten tutaj odmawia wykonania rozkazu w obliczu nieprzyjaciela — rzekł ostrym, władczym tonem Winter. — Każ umocować czwarty sznur na szubienicy i powiesić go razem z tamtymi.

— Proszę mi wybaczyć, wielmożny panie, ale zwykle bywa sąd wojenny...

— Na moją odpowiedzialność! — odparł Winter.

On sam i kilku orańczyków przyglądało się z satysfakcją, jak żołnierze i ci dwaj, którzy woleli walczyć do końca, aniżeli uciekać, zapłacili najwyższą cenę za swój patriotyzm. Czwarta pętla czekała na Kevina O'Reilly'ego. Uwagę jego strażnika odwróciła tragiczna scena rozgrywająca się przed nimi, a Kevin napiął w ostatecznym wysiłku swe potężne mięśnie kowala, zmagając się z więzami krepującymi z tyłu jego ręce.

— Przeprowadzić następnego! — rozkazał sierżant.

W tym momencie Kevin zerwał więzy. Potężnym skokiem rzucił się z wyciągniętymi rękoma na Wintera, by złapać go za szyję. Jeden z żołnierzy gwałtownie pociągnął za cyngiel naładowanego muszkietu. Chybił. Za to Winter chwycił się rękoma za brzuch i upadł — ofiara niecelnej kuli żołnierskiej, jak przed lary stary O'Donovan.

Sierżant wystrzelił z pistoletu. Kevin zachwiał się, najpierw przykleknął, później padł z szeroko rozłożonymi ramionami na ciało intendenta.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### I

— Muszę wracać...

— Dokąd?

— Do Seana... On wytrwał... wytrwał do końca... Z tą ułomną nogą i ciężko chory... nie mógł uciekać... A ojciec O'Leary i Kevin...

Zrozpaczona półprzytomna Pat załamywała ręce w strasznym niepokoju o chorego brata. Michał poprowadził ją łagodnie do leżącego pnia, posadził i usiadł obok.

— Spróbuj się trochę opanować, uspokoić. I opowiedz mi wszystko od samego początku. Może wówczas będę mógł...

Sean O'Donovan, ojciec O'Leary, Kevin O'Reilly — ujęci. Michał wiedział, że ani ona, ani nawet on sam nic już nie będą mogli zrobić, by uratować tych, których Anglicy zwali buntownikami. Chciał tylko zyskać na czasie i ochronić Pat. Gdy się ściemni, może uda mu się przeprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Nie zastanawiał się już, komu jest winien lojalność. Myślał tylko o Pat. Wzruszyło go jej zaufanie do niego, jej wiara, że ją uratuje. Musi znaleźć sposób, by ją wydostać ze wsi, ukryć gdzieś daleko. A w danych okolicznościach znaczyło to, że musi jechać z nią razem. Wcale go to nie zrażało.

W czasie opowiadania Pat uspokoiła się nieco, a skończywszy, powtórzyła znowu:

— Teraz muszę wrócić.

— Bądź rozsądna — nalegał. — Jeśli uciekli, to i dobrze. I tylko narazisz się bez powodu. Jeśli nie uciekli, nic nie poradzimy, ani ty, ani ja.

— Nie mogę ich tak zostawić. Pomyślą...

— Widzieli tych dwóch żołnierzy, jak wrócili bez ciebie. Odgadną, że uciekałeś.

— Albo pomyślą, że mnie zabili.

Michał argumentował, starał się przynajmniej zyskać na czasie. Nagle Pat zeskoczyła z pnia, zaczęła biec. Rzucił się za nią, upadł, ale udało mu się pochwycić ją za nogę w kostce. Szarpała się, wyrywała: złapał jej rękę. Próbowwała gryźć. Trzymał mocno, aż pofolgowiała zmęczona.

— Bestia! — wykrzyknęła. — Nienawidzę ciebie!

— Może i bestia — odparł. — Ale twój przyszły mąż. Zwróciła się gwałtownym ruchem ku niemu, wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta.

— Powtórz...

— Twój mąż. By cię chronić, teraz i zawsze.

Trzymał nadal jej rękę, a ona teraz położyła głowę na jego piersi.

— Michale! Michale! Najdroższy, nie wiesz, co mówisz. Czy zapomniałeś kim... czym ja jestem, a kim ty?

— Od tej chwili nie „ty” i „ja”, ale „my”. Czym ty jesteś, i ja także jestem, a czym ja jestem, i ty także! — odpowiedział. Puścił jej rękę, objął ramieniem, opierając policzek na jej czapce.

— Nie rozumiem. Co ty... ja... my poczniemy? Jestem ściganą buntowniczką!

— Kiedyś dopomogłaś uciec lisowi, który jak się wydawało, był w sytuacji bez wyjścia. Teraz ty znajdujesz się w ślepych zaułku, ale ja cię uratuję, uratuję nas oboje, zobaczysz...

— Michale, zawsze wiedziałam, że jesteś...

Nie chciał komplementów. Zamknął jej usta najlepszym sposobem, jaki znał, a ona tym razem bynajmniej się nie bronila. Gdy wreszcie odsunęła się od niego, chociaż nadal w jego ramionach, powiedziała:

— Ale Sean... nie mogę go zostawić... nawet dla...

— Słuchaj, bądź rozsądna! — powiedział, prowadząc ją z powrotem do pnia. — Musisz mi zaufać. Zaczekamy do zmroku...

11

Gdy Józef dotarł do Kilegad, wioska wydała mu się dziwnie spokojna, pusta, jakby wymarła. Mieszkańcy zamknęli się za zaryglowanymi drzwiami. Żołnierze odeszli do parku i rozbijali obóz przed dworem. Kilku swoich rannych umieścili we dworze, gdzie zajęły się nimi gospodyni i dziewczęta służebne. Zmrok już zapadał i sierżant uznał, że szukanie buntowników po ciemku w chatach wiejskich, za opłótkami, może kosztować życie niejednego żołnierza... huk i błysk wystrzału zniemacka, co gorsza, cichy cios sztyletem. Jeśli już ma być polowanie, lepiej je odłożyć do rana. W każdym razie sierżant wołałby, żeby na czele tej operacji stanął oficer. A jak na razie nie nadciągały główne siły. Żołnierze mieli za sobą długi marsz, krótką, ale zaciętą potyczkę i wstrząsającą scenę na zakończenie. Muszą teraz odpocząć, nawet gdyby w ciemnościach nocy miało uciec kilku rebeliantów.

Cisza. Nawet podczas wielkiego głodu w ciepły czerwcowy wieczór starsi wychodzili przed chaty, chłopcy i dziewczęta spacerowali... Ciemne plamy na drodze. Józef pochylił się nad jedną, dotknął. Wiedział już — była bitwa i... gdyby wieśniacy zwyciężyli, wystawiliby warty w obawie nowego ataku... Minął zakręt przy kościele katolickim i z ust mu się wyrwał okrzyk przerażenia:

— Jezus, Mario!

Upadł na kolana, złożył ręce.

— Niech Bóg ma ich dusze w swej pieczy — powiedział głośno. — Ich szlachetne dusze...

Z pochyloną głową modlił się i płakał.

— Idź do domu. Lepiej, by tej nocy każdy był w domu.



Głos przestraszył go. Chłopiec zerwał się na nogi, odwrócił: przed nim stał rządcą. Gdy strzelanina ustała, George Keefe posłał jednego ze swych towarzyszy po wiadomości. A dowiedziawszy się, że rewoltę zgnieciono, wymknął się, oswabadzając rządcę z domowego aresztu.

Ten oficjalista wywiązywał się ze swoich obowiązków w stosunku do Wintera sumiennie; ani się go nie bał, ani o żadną łaskę nie prosił. W stosunku do wieśniaków nie był ani okrutny, ani miłosierny, a oni nie lubili go specjalnie, ale szanowali, gdy Wintera tylko się bali. W obecnej chwili rządcą był najważniejszą osobą w wiosce. Winter nie żył, jego syn znikł. Anglik powtórzył Józefowi, co wiedział o walce, o śmierci majora i Wintera, wyraził się ze współczuciem o trzech powieszonych.

— Ciężki dla ciebie dzień — powiedział. — Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

— A co z moją siostrą? — spytał Józef.

— Nic o niej pewnego nie wiem. Ktoś wspominał, że uciekła i że wysłano za nią dwóch żołnierzy, i że jej nie schwytali... Ale naprawdę nie wiem.

Józef ukląkł znowu, przeżegnał się, usta poruszały mu się w milczeniu. Wreszcie wstał z wielkim znużeniem.

— Dziękuję panu, dziękuję... — powiedział do odchodzącego rządcy. Ale mówił jakby we śnie.

Bez słowa więcej ruszył w dół drogą przez wieś. Najpierw szedł jak błędny, później próbował się opanować, kiedy dochodził do chaty, gdzie mieszkała Róża O'Dwyer. Dowiedział się, że jej ojciec, stary, schorowany człowiek, trzymał przez cały czas potyczki drzwi zaryglowane, a kobiety pod kluczem.

W godzinę później z trwogą w sercu Józef wspinał się po wzgórzu do chaty pogrążonej w ciemności. Półgłosem rozmawiał sam z sobą.

— Ojciec O'Leary, dobry pasterz i lojalny Irlandczyk... jeden z braci bądź co bądź odkupił swoje winy... drugi... może lepiej tak, niżby miał po kawałku wykastywać płuca... ale Pat? Boże, Boże, spraw, aby Pat...

Zastukał ostrożnie do drzwi chaty. Odpowiedział mu głos Michała Wintera: — Kto tam?

### III

O świcie następnego ranka sierżant pobudził żołnierzy, postawił strażę na obu krańcach wsi i rozesłał patrole na tyły zabudowań. Rozmawiał właśnie ze swoimi podkomendnymi koło kościoła protestanckiego, gdy nadjechał wózek zaprzężony w osła. Młoda kobieta trzymała lejce. Siedziała wyprostowana i wyzywająco prezentowała zaawansowaną ciążę, widoczną mimo fałdzistych spódnic. Długie włosy opadały jej na twarz, skrywając ją częściowo, chociaż można było dostrzec, że ma zaczerwienione oczy i twarz opuchniętą, w brudnych plamach. Siedział z nią stary wieśniak, zgięty prawie w pół, w szerokim czarnym kapeluszu i w czarnym płaszczu na ramionach, wstrząsanych starczym kaszlem.

Sierżant podniósł ręce i zatrzymał ich.

— Kto jesteście? Dokąd jedziecie? — indagował surowo.

— Do sąsiedniej wsi, Kilmessan — odrzekła młoda kobieta. — Tam mieszka moja chora siostra. Nie ma przy niej nikogo. Musimy...

— A on kto taki? — spytał sierżant, wskazując na brudnego zgarbionego starca.

— Mój dziadek. I na wszystkich świętych przysięgam, że nie wiadomo, kto zlegnie pierwszy: on w grobie czy ja z dzieckiem!

— Nie możecie jechać — zdecydował sierżant. — Nikogo nie wypuszczę, dopóki nie zidentyfikuję, kto zacz!

Drzwi domu pastora otworzyły się. Ffolliott wyszedł w szlafroku, siwe włosy rozrzucone.

— Co za kłopoty, panie sierżancie? — zahuczał uroczy stym, stentorowym głosem.

— Tych dwoje. Wolałbym dzisiaj nikogo z tej wsi nie wypuszczać. Ona powiada, że jej siostra jest chora. A skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

Pat uniosła cokolwiek głowę. Przypomniała sobie słowa pastora: „Obowiązkiem jest to, czego wymaga dzisiejszy dzień”. Nie doniósł o zebraniu powstańców w lesie, bo żołnierze by tu byli o dwa dni wcześniej. Warto było może zaryzykować, zwracając się do niego wprost:

— Proszę, wielebny ojcze Ffolliott! Proszę mu powie dzieć, żeby nas przepuścił... moja siostra może umrzeć...

Pastor podszedł blisko do wózka, popatrzył na znajomego osła i zmarszczył brwi. Spojrzał z bliska w twarz Pat i... czy mu się zdawało, czy ona rzeczywiście mrugnęła do niego? Położył rękę na ramieniu starego człowieka, który zakasłał schrypniętym głosem i odwrócił się od niego. Ffolliott wyciągnął dłoń, ujął starego pod brodę i zajął mu w twarz.

— Znam ich, panie sierżancie — powiedział pastor Ffolliott. — Możecie ich przepuścić. To nie rebelianci, spokojni ludzie. I to prawda o jej chorej siostrze.

— No to, wielebny ojcze... ale regulamin!

— Ręczę za nich. Puśćcie ich na moją odpowiedzialność.

Po krótkim wahaniu sierżant odstąpił na bok. Młoda kobieta potrząsnęła lejcami. Osioł pociągnął, ruszył wolno, potem lekkim truchcikiem.

Sierżant poszedł w stronę wsi. Ffolliott przystanął na gan-ku swego domu, patrząc za oddalającym się wózkiem. Pokiwał głową z zadowoleniem i po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu, zdobył się na szyderczy żart:

— Niechaj mi Bóg odpuści ten dobry uczynek!

#### IV

Gdy dojechali do strumienia o kilka kilometrów za Kilegad, Michał powiedział:

— Na parę minut jesteśmy tu bezpieczni. Możemy się zatrzymać i pozmywać brud z twarzy.

— I zrzucić tę przeklętą spódnicę — odrzekła Pat.

— Sierżant widział nas w tym przebraniu — wyjaśnił Michał. — Więc teraz najlepszym przebraniem będzie nasz normalny wygląd.

Pat wyciągnęła najpierw spod spódnicy dużą poduszkę, mówiąc:

— Przyda się na wezglówek dzisiejszej nocy!

Z kolei zdjęła dostarczoną przez starą O'Dwyerową spódnicę, odsłaniając zwykle spodnie.

Michał wrzucił do wózka pod poduszkę czarny kapelusz i płaszcz, które Józef wy dostał od Denisa O'Grady'ego — reszta odzieży niskiego, szczupłego kaleki nie pasowałaby na Michała. Pozostał w wieśniaczej koszuli, kurtce i spodniach, starych, połatanych — od ojca Róży. I takie ubranie zamierzał nadal nosić, gdyż jego własne mogłoby ściągnąć niepożądaną uwagę. Więc Pat wtrąciła:

— I ty to nazywasz twoim normalnym wyglądem?

Michał odparł:

— Bo odtąd będę zawsze nosił taką mniej więcej odzież!

Umyli się w strumieniu, a Pat zwinęła włosy i wepchnęła pod czapkę, jak zwykle. Roty zaspokoił pragnienie i skubał trawę.

Z chaty zabrali wszystką żywność, zabrali też wszystko, co Józefowi i O'Dwyerom udało się dla nich zdobyć. Ale postanowili jeszcze tych zapasów nie ruszać.

— Lepiej oddalmy się od Kilegad, ile tylko zdołamy — mówił Michał. — Gdy się zorientują, żeśmy zniknęli, mogą wysłać za nami konnych.

Pat westchnęła.

— Czy myślisz, Michale, że my w ogóle dojedziemy do mego wuja w Kerry?

— A, tak! — odparł wesoło Michał. — W każdym bądź razie próbujemy, co, Rory? — I poklepał osła po szyi.

Rory, z pyskiem pełnym trawy, popatrzył na niego arogancko, jakby chciał powiedzieć:

— Ja tam wszystko zrobię, co do mnie należy!  
Później tego dnia Pat odezwała się po dłuższym milczeniu:

— Mój wuj to prosty człowiek, ale żyje mu się nie najgorzej, o ile klęska głodowa tego nie zmieniła. Chyba nie, bo on zawsze więcej zarabiał na szmuglu jak na gospodarce. Ale widzisz, pewnie będzie ci się wydawało bardzo prymitywnie u niego... Boję się, że... zabraknie ci dworu Boyne i... tego wszystkiego... Gdybyś został, byłbyś bogaty.

— Poczekamy, zobaczymy! — odrzekł pogodnie.

— Zresztą my wcale nie chcemy mieszkać u twego wuja. Chcemy tylko, żeby nam dopomógł się urządzić. Będziemy mieli trochę pieniędzy, niedużo, bo ojciec zostawił sporo długów. Mój dubliński adwokat zajmie się sprawami spadkowymi. Mnie wiele nie potrzeba, jeśli tobie nie potrzeba!

— Uśmiechnął się i dorzucił: — Nie jest źle być bogatym, tylko że wtedy trzeba żyć z bogatymi!

Tuż przed zmrokiem natrafili na opuszczoną, na wpół rozwaloną przedółkę. Było tam trochę słomy, więc ją wygrzebali i dołożyli suchych liści; starczyło, by wymościć jedno jakieś posłanie. Pat popatrzyła na nie, popatrzyła na Michała. Nawet w cieniu tragedii młoda krew śle wezwanie. Pat przeszła do wejścia, stała patrząc na mżący, zimny deszcz. Michał podszedł do niej, objął ją, przytulił policzek do jej włosów.

— Słyszałem — powiedział — że Murzyni w Ameryce nie biorą ślubu w kościele. Zamiast tego odprawiają taką ceremonię: ktoś trzyma przed nimi miotłę w poprzek, a oni ją przeskakują, razem, ręka w rękę.

Z uśmiechem odwróciła ku niemu głowę i dotknęła ręką jego policzka:

— Nie mamy miotły ani nikogo, kto by ją dla nas trzymał.

— Musimy się dostosować do okoliczności — rzekł Michał. — Spójrz, tam jest poprzeczna belka! Gdybyśmy tak przez nią przeskoczyli? Tylko nie zaczep o nią nogą, bo pewnie się złamie, a ty się potłuczysz.

— Masz świetne pomysły. Zróbmy tak! I zostanę twoją żoną.

— Później znajdziemy sobie księdza.

Gdy odprawili zaimprovizowaną ceremonię ślubną, Michał czule uściskał Pat. Powoli i delikatnie odpinał jej haftki i guziki, a potem szybko zdjął z siebie odzież. Położyli się, okryci płaszczem Denisa O'Grady'ego i fałdzistą spódnicą pani O'Dwyerowej. Michał wsunął jedno ramię pod plecy Pat, objął ją i przytulił.

— Czy ty naprawdę mnie kochasz, czy tylko jesteś taki szlachetny? — szepnęła.

Pogładził tkliwie jej włosy i odpowiedział jednym słowem:

— *Acushla...*

Język irlandzki zna to śliczne spieszczenie, które dosłownie znaczy: „bicie mego serca”.

Jego ręka zatrzymała się na jej piersi.

— Wybacz mi, jeśli będę niezdarny. Pierwszy raz... — powiedział.

— Ja także pierwszy raz. Podobno to ważne dla mężczyzny. Dla mnie ważniejsze, żebym była twoją ostatnią miłością.

## EPILOG

W niecały rok później dwoje skromnie ubranych młodych ludzi, wyglądających silnie i zdrowo, o spokojnym, zadowolonym spojrzeniu, uknęło przed ołtarzem w kościółku wiejskim w hrabstwie Kerry. W obliczu Boga przyrzekali niemowlę, ufnie spoczywające w ramionach kobiety, wychowywać w tradycjach walki o niepodległość Irlandii.

— I niech Bóg mu sprzyja — powiedział ojciec, gdy wyszli na dziedziniec przed kościołem. — Bo nadejdą o wiele cięższe walki od tych, jakie my przeżyliśmy.

— Nie przyniesie nam wstydu — odrzekła. — Z takimi imionami: Piotr Sean! I mając takiego ojca!

Młody mężczyzna uśmiechnął się do niej:

— Słyszałem, że i jego matka jest patriotką!